

SIŁA MARSZU NIEPODLEGŁOŚCI



PROROCY KLĘSKI. KTO SIĘ UŚMIESZYŁ W SPRAWIE NAWROCKIEGO?



BIEDROŃ I WIERZBICKI MÓWIĄ, JAK JEST



NIEMCY IDĄ NA WOJNĘ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

46 (676) 2025
10–16 listopada 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

CHCĄ GO ZABIĆ

WŁADZA STAWIA KURIOZALNE ZARZUTY, BY WSADZIĆ DO WIĘZIENIA CIĘŻKO CHOREGO POLITYKA OPOZYCJI. CZY ZBIGNIEW ZIOBRO PRZETRWA TEN ATAK?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 46
Numer w sprzedaży do 17 XI 2025 r.

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24



Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 90b70bd5a4

Pycha kroczy przed upadkiem

Gdy w czwartek walczący o życie po ciężkich operacjach Zbigniew Ziobro zwoływał konferencję prasową w Budapeszcie, portal Wirtualna Polska podał taką oto informację: „Chora na chłoniaka kobieta w poniedziałek miała dostać informację z Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej, że w tym roku nie ma już miejsc na leczenie. Dyrektor szpitala nie potwierdza zdarzenia, ale obiecuje przyjrzeć się tej konkretnej sprawie. Informacjami o odwołanych zabiegach są zaskakiwani pacjenci z całej Polski". Pacjenci, w tym chorzy na raka, są zaskakiwani, ale uważni obserwatorzy nie powinni być zaskoczeni. Ministrem finansów jest przecież człowiek, który co prawda nie potrafi trzymać w ryzach ani dochodów, ani długu państwa, ale umie zabrać opozycji należne jej dofinansowanie i cieszyć się na samą myśl o wsadzeniu Zbigniewa Ziobry za kraty, mówiąc: „Dla takich chwil warto być w polityce. To jest też sens bycia w polityce".

Dla obecnej władzy nie to jest sens poboczny czy choćby równoległy – to sens zasadniczy. Gdyby oceniać jej dokonania merytoryczne, sferę troski o podstawowe polskie interesy, a także poszanowanie podstaw demokracji, już dawno powinna upaść i odejść w niesławie. Ale kraje postkomunistyczne nie są normalnymi demokracjami. Nawet po trzech dekadach z okładem czuć tu odór zmutowanego postkomunizmu, zazwyczaj przesłoniętego unijnymi gwiazdkami. Czuć tu także fetor nowego kolonializmu, którego istotą są przemoc wobec sił patriotycznych i przyzwolenie na brutalne deptanie reguł w razie zagrożenia interesów metropolii. W naszej części Europy polityczne zmagania są czymś jakościowo innym niż na Zachodzie. Ich sensem, zwłaszcza w przypadku Polski, jest nieustająca walka o zachowanie niepodległości. W istocie więc każde wybory decydują o tym, czy będziemy podmiotowi, czy też stracimy wszystko.

Przez lata rządów Zjednoczonej Prawicy „demokraci" bezpodstawnie przestrzegali przed nowym faszyzmem, przed zamordyzmem. Gdy zdobyli władzę, sami wprowadzili metody „demokracji walczącej", w dużej mierze wyjmując opozycję spod prawa. Sięgnęli po techniki uznane za część totalitarnego dziedzictwa, w tym po świadome odczłowieczanie i niszczenie przeciwników politycznych. Niszczenie także ostateczne. Jeśli próbują zamknąć za kratami – na długie miesiące, a może i lata – Zbigniewa Ziobrę, muszą mieć świadomość, że może się to skończyć śmiercią. I być może o to chodzi. Nawet neoprokuratura ma przecież świadomość, że zarzut „kierowania zorganizowaną grupą przestępczą" postawiony byłemu ministrowi jest czystym kabaretem; na tej zasadzie „zorganizowaną grupą przestępczą" jest każda partia zmierzająca do zdobycia władzy i ukształtowania rzeczywistości według przyjętego programu. Zastosowane środki prawne nie służą więc wymierzeniu sprawiedliwości, ale same w sobie są narzędziem zemsty i niszczenia. Nie można mieć wątpliwości: sprawa Ziobry to początek, a celem jest całkowite zniszczenie jedynej prawdziwej opozycji, czyli Prawa i Sprawiedliwości.

Prawdziwych wyborów – rozumianych jako proces, w ramach którego można realnie zmienić politykę państwa w sprawach zasadniczych – ma już nie być. Będą procedury, będzie fasada, ale wybór będzie pozorny, będzie dotyczył co najwyżej odcieni.

Obóz polskiej niepodległości znajduje się dziś w bardzo trudnej sytuacji. Kryminalizowany przez władzę, atakowany z każdej strony, także przez inne formacje prawicowe, musi połączyć obronę ludzi zagrożonych więzieniem i zniszczeniem z przedstawieniem pomysłów w sprawach ważnych dla przeciętnego obywatela. Wielu sądzi, że to pułapka, z której nie można się wydostać.

Ale PiS już kilka razy dokonało niemożliwego – ostatnio w czasie kampanii prezydenckiej – i jest w stanie zrobić to ponownie. Sądzę nawet, że tak właśnie będzie. I nie trzeba do tego badań – wystarczy wziąć pod uwagę pychę, którą emanuje obóz władzy. A pycha zawsze, naprawdę zawsze, kroczy przed upadkiem.

Jacek Karnowski



Autopromocja

eprasa.pl 90b70bd5a4

SIECI

spis treści



24 Niedorzecznik rządu
Stanisław Janecki



30 W bańce wielkiego miasta
Konrad Kołodziejski



59 Z aktorką Kamilą Urzędowską
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

5 **O CO MA PROSIĆ UKRAINA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **REKOMENDACJE BEZ REKOMENDACJI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELA W SAMOBÓJCZYM UŚCISKU – ZIELONY SZNUR NA SZYJĘ GOSPODARKI**
Daniel Obajtek

13 **SKUTKI ROZDROBIENIA PRAWICY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA WOJCIECHA „KORKA" KORKUCIA**
Michał Korsun

16 **Z NOTATNIKA SATYRYKA**
Jan Pietrzak

16 **NIE MA NA CHLEB, TO RÓBMY IGRZYSKA**
Samuel Pereira

17 **ŻUREK TUSKA, CZYLI PRZEPIS NA BEZPRAWIE**
Arkadiusz Mularczyk

18 **NIEPODLEGŁA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **PO TRUPACH DO CELU**
Marek Pyza

KRAJ

24 **NIEDORZECZNIK RZĄDU**
Stanisław Janecki

27 **PROROCY KLĘSKI**
Piotr Gursztyn

30 **W BAŃCE WIELKIEGO MIASTA**
Konrad Kołodziejski

33 **SZKOŁA TO NIE SZPITAL**
Z Antonim Buchałą rozmawia Dorota Łosiewicz

36 **WIERZBICKI I BIEDROŃ MÓWIĄ, JAK JEST**
Łukasz Wróblewski

38 **NIEPODLEGŁOŚĆ NIEABSTRAKCYJNA**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

41 **WIELKA STRATEGIA KANCLERZA MERZA**
Marek Budzisz

44 **UKRAIŃCY WOBEC WOJNY**
Z dr. Mateuszem Kamionką rozmawia Piotr Słabek

47 **COP30, CZYLI SZCZYT HIPOKRYZJI W BRAZYLIJSKIM BELÉM**
Agnieszka Łakoma

50 **DWA OBLICZA ZACHODU**
Grzegorz Górny

52 **KAWIOROWY SOCJALISTA W NOWYM JORKU**
Aleksandra Rybińska

54 **TRUMP – OBROŃCA CHRZEŚCIJAN**
Goran Andrijanić

HISTORIA

56 **ZANIM NADSZEDŁ 11 LISTOPADA – JAK RODZIŁA SIĘ NIEPODLEGŁOŚĆ**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **INNA SYTUACJA, INNY CZAS**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

64 **WOJNA ATEISTÓW Z FAKTAMI**
Robert Tekieli

NATURA DLA LUDZI

67 **TAJEMNICA NIEDŹWIEDZI**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

70 **MOJE SMAKI: MOSTOWIAKOWIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **JEDEN DZIEŃ, TRZECH PIŁKARZY, TRZY PLANETY**
Ryszard Czarnecki

74 **JEST DROGA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 90b70bd5a4

BRONISŁAW WILDSTEIN

O co ma prosić Ukraina

Dwie fotografie: przestraszony Zełenski i posągowy Nawrocki. Podpis: „Ukraino, musisz poprosić!". Okładka poprzedniego numeru „Sieci" wywołuje niesmak. Wprawdzie z tekstów zamieszczonych w piśmie wynika, że chodzi o przyjazd polskiego prezydenta do Kijowa, ale przywódcę państwa zaprasza się, a nie „prosi". Natomiast zwykły czytelnik interpretuje to jednoznacznie. Ukraina ma nas prosić o pomoc.

Niemądre to i upokarzające. Co więcej, wpisuje się w narastający antyukraiński resentyment, na którym grać usiłuje specyficzna grupa prawicowych politykierów. Można odnieść wrażenie, że blisko cztery lata nierównej walki naszych sąsiadów o przetrwanie zmęczyło nas, a bezradność powoduje, iż zwracamy się przeciw ofierze. Nierzadkie to zjawisko. Oczywiście nie tylko o nie chodzi.

Piotr Gursztyn, autor „Restartu", artykułu, który dotyczy stanu relacji polsko-ukraińskich, w sposób jak zwykle wyważony pokazuje błędy rządu ukraińskiego w stosunku do Polski, a jednocześnie głęboką wspólnotę naszych interesów. W pamięci odbiorców zostaje jednak okładka.

Realizm polityczny zakłada poszukiwanie korzystnych rozwiązań. Nie sprowadza wszystkiego do krótkowzrocznego geszeftu, który jest zaprzeczeniem roztropności. Nie może pomijać fundamentu etycznego, na którym budowana winna być polityka. Negująca go postawa było zmorą Europy minionego wieku i w dalszej perspektywie prowadziła do negatywnych konsekwencji dla narodów demonstrujących pokraczną wersję „realizmu". *Ordo caritatis*, czyli zgodny z chrześcijaństwem porządek miłosierdzia, nakazuje odpowiedzialność za swoją wspólnotę, ale nie pozwala zapominać o moralnym porządku we wszystkich relacjach.

Uwagi te odnoszą się do retoryki polityków i publicystów, którzy z „realizmu politycznego" czynią pałkę do walki o swoją pozycję. Polska i Ukraina mają wspólny egzystencjalny interes: jest nim obrona niepodległości przed Rosją. Kto tego nie rozumie, jest albo durniem, albo powodowany jest złą wolą. Dlatego ci, którzy mówią, że to nie nasza wojna, albo nic nie rozumieją, albo lekceważą sobie naszą niezawisłość. Chcąc nie chcąc, Ukraińcy walczą także o polską niepodległość.

Uzależnienie Ukrainy od Rosji radykalnie obniża nasze strategiczne możliwości. Putin mówi to wprost. Podporządkowanie Kijowa to pierwszy krok w odbudowaniu przez Moskwę strefy wpływów z czasów Związku Sowieckiego. Jak wyglądała wówczas polska podmiotowość?

Międzymorze to mrzonka – słyszymy cały czas. Bo ci się kłócą z tamtymi, ci zerkają w innym kierunku, a owi zakładają, że to nierealne. A przecież w oficjalnej polityce idea ta pojawiła się dopiero osiem lat temu. To krótki czas na budowanie tego typu strategicznych, a więc siłą rzeczy trudnych projektów. Po to, aby stworzyć realną przeciwwagę dla Rosji w naszym regionie, potrzeba zdecydowanie dłuższego czasu i przezwyciężenia kryzysów, przy których obecne mogą wydać się błahe.

Reakcja Polski jako państwa i konkretnych Polaków na agresję rosyjską była niezwykła. Zwłaszcza w tym kontekście mają oni prawo być rozczarowani zachowaniem prezydenta Zełenskiego, który zwrócił się w kierunku Berlina, w dużej mierze pomijając Warszawę. Zdajmy sobie jednak sprawę, że jest to przywódca narodu walczącego o przeżycie, a rola Niemiec w Europie jest dominująca. Pośrednio także Polacy podtrzymali ją w 2023 r. To, że większość głosujących zrobiła to nieświadomie, niczego nie zmienia. Ukraińcy także nie wybierają Berlina przeciw Warszawie, ale poszukują silniejszego sojusznika. Fakt, że nie gra on o niepodległość Kijowa, ale o swoją pozycję w Europie, nie jest nawet w Polsce powszechnie rozpoznawany.

Postawa Polaków wobec Ukrainy zmieniła się poważnie od początku wojny. Przyczynili się do tego politycy i media, które na antyukraińskości robią karierę. Nie należy lekceważyć wpływu Moskwy, która wie, że na prorosyjskości w Polsce nie pojedzie, ale może to przecież zastąpić antyukraińskością. Opowieści o tym, jak polskie fundusze drenowane są na rzecz Ukraińców są bzdurą, ale jak zwykle pogłoski takie sprzedają się dobrze. Wmawianie Polakom, że gdyby nie nasze zaangażowanie w rosyjsko-ukraiński konflikt, Kreml nic by do nas nie miał, jest piramidalnym absurdem, ale trafia do myślących życzeniowo. W efekcie rośnie w siłę Konfederacja Korony Polskiej, której program, czyli antysemityzm i antyukraińskość, wygląda jak napisany w Moskwie, ale wydaje się, że ludzie wybierają ją – na razie w sondażach – jako najbardziej antysystemowe ugrupowanie. Zapracował na to establishment III RP.

Zełenski popełnił mnóstwo gaf oraz błędów wobec Polski, ale relacje między naszymi narodami wykraczają poza postawy reprezentujących nas polityków. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy oceniani po działaniach Tuska.

Współpraca z Ukrainą to jeden z ważniejszych elementów budowy naszej przyszłości.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 90b70bd5a4



Sygnalista nadaje

Pamiętacie, że kiedyś była Dobra Zmiana? To teraz będzie jeszcze lepsza. Tow. ***Czarzasty Włodek*** drugą osobą w państwie, czyli feldmarszałkiem Sejmu. Nie możemy się doczekać! Dla hejterów to stary komuch, a dla nas młodzieńcza twarz Nowej Lewicy. Miłośnik podglądania dzikiego ptactwa i jeszcze bardziej dzikiej Anki Maryśki Żukowskiej. My, ludzie lewicy, pamiętamy jego chwalebny szlak od Socjalistycznego Związku Studentów Polskich przez PZPR (od 1983 r.!) do jakże cenionego Stowarzyszenia Ordynacka. Źli ludzie oskarżali go o udział w jakiejś aferze. Jakiegoś Rywina. Szczególnie celował w tych oszczerczych oskarżeniach ziobrysta Zbigniew Ziobro. A to przecież żadna afera, Włodek czynił tylko dobro. A teraz może dopaść tych złych ludzi. A konkretnie to Ziobrę. Jak powiedział kolega ze stronnictwa sojuszniczego: „Są takie chwile, dla których się żyje”.

Tymczasem dotychczasowa druga osoba w państwie, czyli ***Szymek Hołownia***, odbyła ważną wizytę partyjno-państwową. Zaszczyciła swoją obecnością afrykańską Brukselę, czyli Addis-Abebę. Właściwie to Hołownia poleciał szukać tam roboty. W ten sposób zdobył zaszczytny tytuł pierwszego polskiego gastarbeitera, który pojechał na saksy do Afryki. Nie trzeba przecież cały czas zbierać szparagów pod Berlinem, kiedy czeka atrakcyjna robota przy zbiorze manioku pod Kinszasą. A że nie był wtedy w prokuraturze? Kogo to obchodzi? Jako usprawiedliwienie zacytujmy tu klasyka, który kiedyś nie stawił się na komisję śledczą, czyli niezapomnianego Aleksandra Kwaśniewskiego: „Mogę się stawić, zaśpiewać i zatańczyć, tylko po co?”.

Suw-Polak Jacek Ozdoba (ziobrysta, czyli typ jeszcze gorszy niż zwykły kaczysta), zaatakował praworządność zarzutem, że Zbigniew Ziobro nie dostał wniosku o uchylenie immunitetu, a TVN dostał. No i co z tego? Głupie bezpodstawne pretensje. Ozdoba nie pamięta słów wybitnego reżysera Andrzeja Wajdy, że są telewizje zaprzyjaźnione. A spośród tych zaprzyjaźnionych zawsze najbardziej przyjazna demokracji walczącej była i jest stacja TVN. A Ziobro nie jest zaprzyjaźniony, więc pretensje może mieć tylko do siebie. Poza tym – jak oficjalnie informuje zaprzyjaźniona stacja – TVN nie dostał tego wniosku, tylko wniosek do niego dotarł.

Ciekawa rzecz jest w tym wniosku: że Ziobro stworzył grupę przestępczą o charakterze zbrojnym. Czekamy teraz, jak TVP ciągle w likwidacji pokaże odkryte w domach ziobrystów magazyny broni.

We wspomnianej zaprzyjaźnionej stacji telewizyjnej prawdziwi demokraci otwierają się i szczerze opowiadają o swoich najbardziej intymnych marzeniach. Także dotyczących Zbigniewa Ziobry. Np. Wojciech Sadurski (podobno profesor prawa, ale to chyba nieprawda) zaproponował, aby nasze apolityczne służby najechały na Węgry i wzięły tam w jasyr uciekiniera Ziobrę. Przy okazji też Marcina Romanowskiego. Pomysł jest znakomity, ale oba-

eprasa.pl 90b70bd5a4

wiamy się, że służby mogą zdradzić, bo są zinfiltrowane przez pisowskie deep state. Kiedyś szukały tego Romanowskiego w jakimś kościele w Lublinie, a on wtedy czmychnął nad Balaton. Nie można im ufać, ale jest sposób. Niech Ziobrę z Węgier porwą pan Arek Szczurek z Babcią Kasią i Wojtkiem Czuchnowskim. Bo jeśli nie oni, to kto?

Jeśli chodzi o pisowskie deep state, to demokratyczną czujnością wykazał się redaktor Skalski z biuletynu Silnych Razem „Gazeta Wyborcza": „Mamy w aparacie i ludzi Kaczyńskiego, i jego pożytecznych idiotów. Z takimi daleko się nie zajedzie. Rząd powinien wobec nich stosować zasadę pruskiego króla Fryderyka II, który uważał, że żołnierz ma się bardziej bać pałki kaprala niż kuli nieprzyjaciela. Wywalać dyscyplinarnie, z utratą beneficjów, a przypadki sabotażu od razu kierować do prokuratury. Jednocześnie wszędzie zatrudniać na bardzo dobrych warunkach nowych i chętnych, nawet wiedząc, że na początku mogą nie być doskonali. Ci będą się bali powrotu PiS".



Tymczasem kaczystowskie deep state coraz bezczelniej podnosi głowę. Obecnie wyspecjalizowało się w rzucaniu kłód pod nogi drwalowi, czyli ministrowi ***Żurkowi Waldkowi***. Całkowicie zdemaskował się Rzecznik Praw Obywatelskich, niejaki Wiącek Marcin. Zaatakował on kluczowy projekt ustawy autorstwa drwala ministra. Chodzi o ustawę praworządnościową, której celem jest ostateczne rozwiązanie kwestii neosędziowskiej. A Wiącek sprzeciwia się eksterminacji neosędziów. Naczelnego drwala demokratycznej praworządności zaatakowała też Fundacja Helsińska, co jest jawną zdradą, bo jej zadanie to krytyka kaczyzmu. Oni też pomylili swoją rolę i nie potrafią odróżnić dobra od zła. A to jest proste: Iustitia dobra, neosędziowie źli (z oczywistym wyjątkiem tego jednego, u którego nasz drwal wygrał sprawę frankową).



Czołowy prowodyr kaczyzmu, czyli Kaczyński Jarosław, trafił do sądu (Silni Razem narzekają, że nie do więzienia, niestety bez rozwiązania kwestii neosędziowskiej nie jest to jeszcze możliwe). Trafił i się zdziwił. Bo spotkał tam prawdziwie praworządnego sędziego. To Tomek Trębicki. Dajemy słowo, że to fajny i zaufany facet. Syn Zośki Trębickiej, tej, co pracuje z Marcinem Kierwińskim. Sami widzicie, że nie trzeba lepszej rekomendacji. Kaczor przeżył zdziwienie, a my mu odpowiadamy: panie Jareczku, praworządność jest dla prawdziwych demokratów, a to niech najpierw udowodni swoją niewinność!



Grzesiek Braun dostał fajną nagrodę. Z Białorusi, poświęconą prawom człowieka (nie wiemy dokładnie, którego człowieka, ale na pewno kogoś ważnego). No i jest problem z oceną, bo Białoruś to Rosja. A Rosja to PiS, przy czym wiadomo, że z Rosją można zrobić reset, a z PiS – nie. Chwalić zatem czy krytykować? Na razie wstrzymamy się z werdyktem. Zwłaszcza że nagroda jest imienia niejakiego Czeczki, a o nim wiadomo to, że uciekł z Ten Kraju, gdy panowała w nim czarna kaczystowska noc. Czyli miał jakieś zalety.



Niejaki Rymanowski Bogdan (zdemaskowany kryptoprawak z telewizji Polsat) wywołał aferę, zapraszając jakąś panią profesor, która opowiadała ponoć straszne bzdury. No i jest oburzenie. Za późno, kochani, za późno. Ten Rymanowski od dawna zapraszał świrów i oszołomów. Np. przed wyborami prezydenckimi zrobił wywiad z typem, który nazywa się Donald Tusk i jest kumplem Jaculi Murańskiego. To dopiero był skandal. Ten kumpel Murańskiego najpierw powiedział, że popiera Rafała Trzaskowskiego, a potem zaczął gadać takie kocopoły, że całkowicie pogrążył kandydata strony prawdziwie demokratycznej. PS Nasza rubryka to nie tylko krytykowanie, lecz przede wszystkim konstruktywne wnioski. Panie Rymanowski, oczekujemy jakościowego dziennikarstwa. Czyli rozmów z ludźmi, którzy są niekwestionowanymi autorytetami. Oto lista tych, których powinien pan zaprosić: dr Kontek (jeśli znajdzie czas, bo jest zajęty przeliczaniem głosów z kampanii prezydenckiej), Suchanow i Tomek Piątek (dawniej Piatnica), Janek Piński, Tomek Wiejski, Eliza Michalik, Wojtek Czuchnowski i Tomek Lis (z nim to o tym, jak zwalczać mobbing). Także redaktor Opolska, specjalistka od fejk przypisów. Czyli kwiat debaty publicznej w Ten Kraju.

Zbrodni Rymanowskiego ciąg dalszy: przyszedł do niego łaskawie rzecznik Adam Stanisław Szłapka, aby opowiedzieć o niewątpliwych osiągnięciach rządu premiera Donalda Franciszka. A wszyscy wiemy, że to nieustające pasmo sukcesów. A co na to ten Rymanowski? Nie docenił okazji, a nawet ją zmarnował. Zadawał pytania o jakieś błahe, jątrzące sprawy. O to, że jacyś pacjenci onkologiczni są odsyłani ze szpitali. No są! I co z tego? Ważne, że PiS już nie rządzi. Rzecznik uprzejmie odpowiedział, że to poszczególne przypadki. Na to Rymanowski, że to tysiące przypadków. Czy on nie rozumie, że tysiące to też poszczególne przypadki?

Fot. Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

eprasa.pl 90b70bd5a4

WIEŻA BAB

Rekomendacje bez rekomendacji

W tle tej farsy mamy realne problemy. Nauczyciele od miesięcy alarmują, że „zakaz prac domowych" to eksperyment z uczniami w roli królików

Na prośbę Barbary Nowackiej Instytut Badań Edukacyjnych miał zbadać, jak sprawdziły się nowe regulacje dotyczące zadawania prac domowych. Przypomnijmy, że od 1 kwietnia 2024 r. obowiązują przepisy ograniczające zadawanie prac domowych w podstawówkach. Zgodnie z nimi w klasach I–III nie zadaje się prac domowych pisemnych i praktyczno-technicznych z wyjątkiem ćwiczeń usprawniających motorykę małą. W klasach IV–VIII prace są nieobowiązkowe i nieoceniane.

Rekomendacje IBE przerodziły się jednak w chaos, a ten – w komunikat o „ponownej analizie". Całe zamieszanie zaczęło się od publikacji na stronie internetowej IBE „Rekomendacji zmian w rozporządzeniu w sprawie oceniania, klasyfikowania i promowania uczniów i słuchaczy w szkołach publicznych opracowane przez Zespół Ekspertów ds. Prac Domowych ws. prac domowych". Instytut zaproponował m.in wprowadzenie ustawowo pojęcia „pracy własnej" jako nowej kategorii dydaktycznej w szkołach podstawowych. Zgodnie z wytycznymi IBE prace te nadal byłyby nieobowiązkowe i podlegałyby jedynie informacji zwrotnej – bez oceniania. Rekomendacje – zgodnie ze swoim komunikatem – Instytut przekazał do MEN.

I wtedy zaczęła się burza. „Jestem zbulwersowana wykorzystaniem mojego nazwiska" – powiedziała w TOK FM Danuta Kozakiewicz, dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 103 w Warszawie, komentując rekomendacje IBE. Podkreśliła, że nie jest członkinią zespołu eksperckiego w tej sprawie ani autorką tego dokumentu, który nazwała „bublem". „Uważam, że prace domowe, przemyślane przez nauczyciela, w odpowiedni sposób sformułowane, powinny być obowiązkowe dla ucznia" – podkreśliła. Zaprzeczyła, że pracowała nad rekomendacjami zawartymi w raporcie. „Nie brałam udziału w spotkaniu, gdzie ten dokument opracowywano i absolutnie się pod nim nie podpisuję" – dodała.



Po tych słowach rekomendacje zniknęły ze strony internetowej IBN. Pojawił się za to komunikat: „Decyzja ta jest efektem uzyskania informacji o niezgodnym ze standardami Instytutu sposobie procedowania ww. projektu. IBE-PIB przeprasza wszystkich ekspertów za zaistniałą sytuację. Procedura uzgodnienia treści i uzyskania akceptacji projektu przez zaangażowanych w ten proces ekspertów zostanie powtórzona, a bezpośredni nadzór nad tym procesem obejmie dyrektor IBE-PIB. Następnie zweryfikowane propozycje zostaną ponownie przesłane do Ministerstwa Edukacji Narodowej".

Zadziwiające jest tempo, w jakim zespół ekspertów przeszedł od „rewolucyjnych rekomendacji" do „przepraszamy, niczego nie było". To rekord godny Księgi Guinnessa albo przynajmniej podręcznika do zarządzania kryzysem w instytucjach publicznych – rozdział pierwszy: „Jak wprowadzić chaos, zanim zdąży to zrobić ministerstwo".

Zawiódł IBE, ale nie internauci. „Debatowali miesiącami i wymyślili synonim pracy domowej" – napisał ktoś. Inny dodał: „Chcę pracować w IBE. Znam parafrazy i eufemizmy". Trudno się dziwić, że eksperci od języka czują się zazdrośni: oto mamy urzędowy neologizm stulecia, który łączy pedagogiczny postęp z biurokratyczną poezją.

W tle tej farsy mamy oczywiście realne problemy. Nauczyciele od miesięcy alarmują, że „zakaz prac domowych" to eksperyment z uczniami w roli królików. 90 proc. z nich uważa, że zmiany zaszkodziły dzieciom, ale kto by słuchał praktyków, skoro można przeprowadzić „ponowną analizę procedury uzgadniania rekomendacji". W IBE słowa „analiza" i „uzgodnienie" mają chyba status zaklęcia ochronnego.

Szkoda tylko, że w całej tej historii chodzi o przyszłość młodego pokolenia, którą MEN do spółki z IBE właśnie przekreśla. Temu ostatniemu należałoby za „pracę własną" wystawić pałę. Może też być ocena opisowa: „Dobrze rozpoczął, lecz wymaga poprawy. Praca nie została podpisana przez wszystkich autorów".

Dorota Łosiewicz

Reklama | 08/0325/F/ZAL







Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

Pomagamy, troszczymy się, jesteśmy blisko.

Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy

FUNDACJA STEFCZYKA

eprasa.pl 90b70bd5a4



Brazylia

Bolesne zderzenie z konkurencją

Umowa handlowa między Unią Europejską a krajami Mercosur ma w założeniu otworzyć południowoamerykańskie rynki dla europejskiego (głównie niemieckiego) przemysłu motoryzacyjnego. Sprzedaż niemieckich aut w Ameryce Południowej może się jednak okazać bardzo trudnym zadaniem z powodu chińskiej konkurencji.

Na początku października w brazylijskim stanie Bahia otwarto fabrykę samochodów elektrycznych należącą do chińskiej firmy BYD. Do rangi symbolu urasta fakt, że wcześniej znajdowała się tutaj fabryka amerykańskiego Forda, który nie wytrzymał konkurencji i wycofał się z Brazylii. Teraz na jej miejscu będzie największy zakład koncernu BYD zbudowany poza granicami Chin. Docelowo ma tu być produkowanych 600 tys. aut elektrycznych rocznie, w tym spora część na eksport do Argentyny, Kolumbii, Peru i Chile. W tym ostatnim kraju chińskie marki już kolejny rok z rzędu stanowią jedną trzecią wszystkich sprzedanych samochodów.

Otwarcie zorganizowano z wielką pompą. W uroczystości wziął udział prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva, który stwierdził, że chińska fabryka przywraca suwerenność i godność obywatelom. Jego zdaniem przejęcie dawnych zakładów Forda przez Chińczyków jest dobrodziejstwem dla całego kraju, bo wiąże się z transferem nowoczesnych technologii.

W tej chwili brazylijski rynek samochodowy jest praktycznie skolonizowany przez koncerny z Chin. Według BYD osiem na dziesięć samochodów elektrycznych i trzy na dziesięć aut hybrydowych sprzedawanych w Brazylii to modele BYD, a udziały te mają wzrosnąć wraz z uruchomieniem lokalnej produkcji. Oprócz BYD działają tutaj również inne firmy, takie jak Great Wall Motors, Chery i SAIC. W sprzedaży jest pełna gama aut – od elektrycznych po klasyczne modele benzynowe.

Chińskie marki zyskały popularność w Brazylii w 2015 r., gdy rząd zwolnił pojazdy elektryczne i hybrydowe z 35 proc. podatku importowego. Później cła przywrócono, co skłoniło chińskie firmy – mocno już zadomowione w Brazylii – do uruchomienia produkcji aut na miejscu. BYD kupił i rozbudował dawną fabrykę Forda, a Great Wall stawia swój zakład w miejscu, gdzie produkował auta niemiecki Daimler.

Dawna potęga niemieckiej motoryzacji na rynkach Ameryki Południowej należy już do przeszłości. Niemcy liczą na to, że umowa z krajami Mercosur pozwoli im zwiększyć sprzedaż aut w Brazylii, ale ich kalkulacje mogą być mocno przeszacowane. Niewykluczone, że Unia straci na tej umowie podwójnie, bo Niemcy nie uratują swojego przemysłu motoryzacyjnego, za to europejskie rolnictwo zostanie zniszczone przez zalew taniej żywności z Ameryki Południowej.

Konrad Kołodziejski

Kto mówi prawdę o wojnie?

Nigeria

Niemal w tym samym czasie doszło do dwóch publicznych wystąpień na temat sytuacji w Nigerii. W Rzymie podczas prezentacji raportu na temat wolności religijnej na świecie, sporządzonego przez organizację Pomoc Kościołowi w Potrzebie, watykański sekretarz stanu kard. Pietro Parolin powiedział, że prześladowania i mordy w tym afrykańskim kraju to „nie jest konflikt religijny, lecz społeczny, np. spory między pasterzami a rolnikami".

Wypowiedź purpurata zbiegła się w czasie z publikacją raportu Międzynarodowego Towarzystwa Swobód Obywatelskich i Praworządności, według którego tylko od 10 sierpnia do 26 października br. ugrupowania dżihadystów w Nigerii porwały 120 chrześcijan, a 100 zabiły. Dokument opisuje „skoordynowane i systematyczne ataki" na bezbronnych wyznawców Chrystusa, za którymi stoją islamistyczne organizacje Boko Haram i ISWAP oraz muzułmańscy radykałowie z plemienia Fulanów. Potwierdzają to doniesienia agencji Associated Press, która w ostatnich miesiącach odnotowuje znaczący wzrost aktywności Boko Haram i jej skrajnego odłamu o nazwie Ansaru.

Nigeria liczy ok. 235 mln mieszkańców, z czego niemal połowę stanowią chrześcijanie, a drugą połowę – muzułmanie. Pierwsi dominują w południowo-zachodniej, a drudzy w północno-wschodniej części kraju. Wyznawcy Allaha zaprowadzają na kontrolowanych przez siebie ziemiach szariat. Areną zamachów są prowincje leżące między tymi dwoma strefami, gdzie ludność jest religijnie wymieszana. To właśnie tam islamiści atakują chrześcijan, próbując ich zastraszyć i zmusić do porzucenia wiary lub ziemi.

Tak postrzega ów konflikt m.in. bp Wilfred Chikpa Anagbe z diecezji Makurdi, który prezentuje całkowicie inną optykę niż kard. Parolin. Różnica polega na tym, że pierwszy mieszka w Nigerii, a drugi w Rzymie. Odległość geograficzna nie przeszkadza jednak Donaldowi Trumpowi. Prezydent USA także mówi o mordowaniu chrześcijan przez islamskich terrorystów i grozi tym ostatnim interwencją.

Grzegorz Górny



eprasa.pl 90b70bd5a4



Austria

Skandal wokół wiosek dziecięcych

SOS Wioski Dziecięce, wywodząca się z Austrii i aktywna również w Polsce organizacja opiekująca się osieroconymi dziećmi, znalazła się w głębokim kryzysie po tym, jak media ujawniły wiele przypadków znęcania się, zarówno fizycznego jak i psychicznego, nad podopiecznymi. Okazało się również, że zmarły w 1986 r. twórca wiosek Hermann Gmeiner, przez lata mający w Austrii status „świeckiego świętego", molestował seksualnie co najmniej ośmiu nieletnich chłopców.

Po ujawnieniu tych informacji zdemontowano już dwa pomniki Gmeinera, co wydaje się dopiero początkiem procesu, bo w całej Austrii jego imieniem nazwano setki ulic, parków i szkół. Organizacja wypłaciła też finansowe rekompensaty chłopcom molestowanym przez swojego założyciela, który był 103 razy nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla. To jednak nie koniec kłopotów tej aktywnej w 140 krajach organizacji prowadzącej obecnie 572 wioski.

Według austriackiego tygodnika „Falter" władze SOS Wiosek Dziecięcych zgodziły się, aby ich placówkę w Nepalu organizował i finansował oskarżany o pedofilię „filantrop", który – jak wynika z ujawnionych e-maili – dostał zgodę na „trzy noce na obozie treningowym". Co więcej, władze organizacji przez lata tuszowały liczne przypadki nadużyć i przemocy wobec dzieci. We wrześniu ten sam tygodnik opublikował wstrząsające relacje byłych podopiecznych z dwóch ośrodków w Tyrolu i w Karyntii. „Biła mnie wszystkim, co wpadło jej w ręce, trzepaczką do dywanów, linijką, płaską częścią dłoni, pięścią, często miałam zakrwawiony nos" – czytamy. I dalej: „Musieliśmy brać zimne prysznice i stać nago na balkonie w temperaturach poniżej zera". „Przez wiele dni byliśmy zamknięci w piwnicy. Musiałam wyszorować muszlę klozetową szczoteczką do zębów i używać jej później."

Władze instytucji wiedziały o sytuacji w tych dwóch placówkach, bo otrzymały raporty z wewnętrznego dochodzenia. Nie zdecydowały się jednak ani poinformować władz, ani ujawnić tych doniesień. Okazało się też, że w 2012 r. SOS Wioski Dziecięce uruchomiły poufny program ochrony ofiar pedofilii i przemocy we własnych placówkach, ale o jego istnieniu poinformowano dopiero przed dwoma tygodniami. Zdaniem mediów świadczy to o zamiarze zatuszowania afery i niezdolności do wyciągnięcia konsekwencji wobec sprawców najbardziej gorszących nadużyć.

W tej chwili władze jednego z austriackich landów zarządziły kompleksową kontrolę. Organizacja ma przejść głęboką restrukturyzację i nie można wykluczyć, że w ogóle zostanie rozwiązana.

Marek Budzisz



Australia

Sydney zakazuje grillowania

Mieszkańcy Sydney w Australii nie będą już mogli używać gazowych grillów na powietrzu. To najnowsza decyzja władz miasta, które przekonują, że działania te mają na celu „uratowanie" planety. Formalnie propozycję tę poparło 60 z 84 członków rady miasta kierowanej przez lewicową polityk Clover Moore, popierając również zakaz budowy nowych przyłączy gazowych. Od teraz wszystkie nowe budynki mieszkalne i użytkowe będą musiały przejść na energię elektryczną.

„Opieranie się na gazie jest dla planety złe, złe dla naszych finansów i złe dla naszego zdrowia" – oświadczyła burmistrz Moore, od wielu lat będąca fanatyczną wręcz zwolenniczką wszelkich postępowych eksperymentów. Kilka lat temu miasto zobowiązało się do osiągnięcia zerowej emisji netto do 2035 r., a kluczowym elementem tego planu jest redukcja zużycia paliw kopalnych, w tym gazu ziemnego. Zmiany wejdą w życie 1 stycznia 2027 r. Zakaz obejmie wszystkie zewnętrzne urządzenia gazowe, takie jak grille, które łączą się z domowymi źródłami gazu. Na razie nie obejmuje on grilli podłączonych do przenośnej butli gazowej. Moore twierdzi, że wprowadzane przez nią zmiany nie tylko wpłyną korzystnie na zdrowie mieszkańców, lecz także pozwolą im zaoszczędzić pieniądze.

Wielu mieszkańców jest jednak poirytowanych. Nie chodzi bowiem tylko o grillowanie na świeżym powietrzu. Popularny prezenter radiowy Ben Fordham z rozgłośni 2GB uderzył w panią burmistrz, bo utrzymano wprowadzony jeszcze w czasie pandemii zakaz picia drinków na stojąco na zewnątrz lokalu. „Ona traktuje nas jak dzieci. Nie stój i nie pij przed pubem, chyba że stoisz przy stole koktajlowym, ani nie gotuj na świeżym powietrzu z kumplami na podwórku, chyba że używasz grilla elektrycznego. Oto nowy porządek według pani Moore" – stwierdził sarkastycznie.

Zabawne, że utrzymywanie atmosfery zagrożenia przez Clover Moore, która stara się osobiście zapobiec zbliżającemu się ekologicznemu armagedonowi, nastąpiło kilku dni po tym, jak Bill Gates, inny kapłan religii klimatycznej, przyznał w końcu, że ludzkość ma o wiele poważniejsze problemy niż walka ze „zmianą klimatu". Zdaje się więc, że stojąca w awangardzie postępu pani burmistrz nie nadąża za sytuacją. Bo – jak wskazywał Lenin – doktryna ewoluuje na skutek zderzenia teoretycznych założeń z dynamiczną rzeczywistością polityczną.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 90b70bd5a4

Bruksela w samobójczym uścisku – zielony sznur na szyję gospodarki

Jakże groteskowa jest ta unijna pantomima! Rada UE w swojej niepoprawnej arogancji zatwierdziła cel redukcji emisji o 90 proc. do 2040 r. względem 1990 r. – niby kompromis, ale w praktyce zabójczy strzał w kolano dla całej gospodarki. To 85 proc. redukcji unijnej, a reszta – 5 proc. – załatwiona kredytami węglowymi z zagranicy



Zieloni fanatycy komentują to jako „niewystarczająco ambitne", ale w rzeczywistości to nadal kula u nogi. Nie owijajmy w bawełnę – ta regulacja zmiażdży europejski przemysł. World Resources Institute podkreśla, że aby obniżyć globalne ocieplenie o 1,5 st. Celsjusza, emisje powinny spaść o 72,5 proc., ale Bruksela upiera się przy morderczym tempie, ignorując fakt, że zmniejszy to wzrost gospodarczy o setki miliardów euro rocznie w przemyśle i rolnictwie. Kraje Europy Środkowej słusznie protestowały, bo wiedzą, że nawet to „złagodzone" szaleństwo zabije ich gospodarki, deindustrializując regiony i zwiększając bezrobocie. Prezydent Macron, ten salonowy oportunista, niby sugerował opóźnienie, by nie drażnić wyborców po klęsce w eurowyborach – oto „solidarność" – hasłami dla naiwnych, a w praktyce zagłosował za duszeniem gospodarki. I tak Unia wybrała samobójstwo, choć powinna nie tylko cel złagodzić, lecz najlepiej w ogóle go skasować, bo jest trucizną dla konkurencyjności, a nie ratunkiem dla planety.

A perła w tej koronie hipokryzji to przesunięcie ETS2, systemu handlu emisjami dla budynków i transportu, z 2027 na 2028 r. Niby ulga, ale tak śmiesznie mała, że stanowi kpinę z podatników. Ten podatek uderzy w nas wszystkich, fundując drożyznę i drenując portfele. Widać ministrowie klimatu uznali, że rok opóźnienia to aż nadto – niby z troski o kieszenie, ale tak naprawdę z tchórzostwa przed politycznym kataklizmem. Andrej Babiš z Czech kwituje to „nonsensem i hipokryzją", bo opóźnienie o rok jest żartem, sokiem z pokrzywy na raka – przecież ceny paliw dla wszystkich wzrosną o ok. 50 gr na litrze, a rachunki za ogrzewanie – o tysiące złotych. Co z tego, że rok później?

I tu wchodzimy w wyborczy kabaret – opóźnienie dotyczy roku, gdy w siedmiu unijnych krajach mają zostać przeprowadzone wybory. Bruksela, ta strażniczka demokracji, odsuwa ETS2 akurat poza te głosowania – czysty zbieg okoliczność? Nie żartujmy! ETS2 grozi „społeczno-ekonomicznymi wstrząsami", gdy zielony podatek na paliwo i ogrzewanie zacznie drenować kieszenie zwykłych ludzi. By uratować gospodarkę przed zielonym kataklizmem, ten system trzeba definitywnie skasować, a nie unikać spadku poparcia w roku wyborczym.

A rząd Tuska? Tego, który miał być „nigdy nie ogranym" twardzielem negocjacji? Właśnie dali się ograć w Brukseli jak amatorzy. Obiecywali obronę polskiego przemysłu i rolnictwa, a wyszli z kompromisem, który zmiażdży gospodarkę miliardami strat, podcinając konkurencyjność na dekady. Przegrali, bo zamiast skutecznie zablokować, zgodzili się na cel – samobójstwo ekonomiczne.

Zielony fanatyzm to nie ratunek, ale gwóźdź do trumny europejskiej gospodarki – deindustrializacja, bezrobocie, wyższe rachunki. Powinniśmy nie tylko odrzucić cel na 2040 r., lecz także zrewidować ten na 2030 r. – inaczej gorzko zapłacimy za zielone marzenia fanatyków, a reszta świata, w tym przede wszystkim Chiny, dalej będzie się z nas śmiać.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 90b70bd5a4

Skutki rozdrobienia prawicy



Marta Kaczyńska-Zielińska

Na początku tego stulecia w holenderskiej polityce zaczęły się wyłaniać dwa bieguny. Pierwsza grupa wierzy we współpracę międzynarodową, otwarte granice i silną rolę UE. Druga – ma silne pragnienie wspólnoty, jedności narodowej i odnowionego uznania dla rodziny, wiary oraz samego narodu. W ostatnich wyborach niespodziewanie zyskała na popularności socjalliberalna partia D66 Roba Jettena, ale Partia Wolności (PVV) Geerta Wildersa uplasowała się tuż za nią.

Wybory w Holandii były uważnie obserwowane nie tylko z powodu ich wpływu na sytuację w kraju, lecz także na to, co oznaczają dla politycznej przyszłości Europy.

Wydaje się, że do przegranej partii Wildersa doszło nie za sprawą polityki rządu, lecz bardziej niechęci jej lidera do kompromisów i zapory ogniowej ustawionej wokół niego przez mainstream. Socjalliberalna formacja D66 z liderem odwołującym się do swojej orientacji homoseksualnej skoncentrowała się na integracji z UE i stabilności gospodarczej. Stawiając na pierwszym miejscu cyfryzację, politykę klimatyczną, prawa kobiet i wolności osobiste oraz integrację z UE, partia zmobilizowała młodych wyborców.

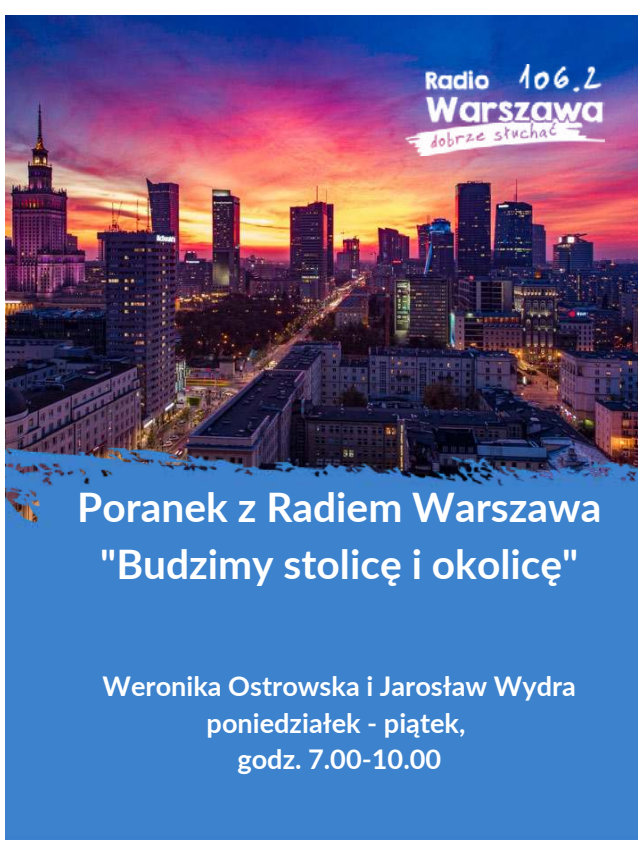
Łącznie jednak partie lewicowe uzyskały 20-proc. udział w parlamencie, co stanowi najsłabszy wynik w historii Holandii od wprowadzenia powszechnego prawa wyborczego. Jest to zaskakujące dla komentatorów zwracających uwagę na poprzedzający elekcję upadek prawicowego rządu, który uprzednio był mocno krytykowany przez mainstream. Mimo tak sprzyjających warunków partie lewicowe wypadły jednak gorzej niż kiedykolwiek. Sojusz Zielonych i Partii Pracy poniósł ciężkie straty, co skłoniło jego lidera Fransa Timmermansa do rezygnacji. Apel Chrześcijańsko-Demokratyczny (CDA), który można zaliczyć do centrum, zwiększył liczbę mandatów, ale nie osiągnął przełomu. JA21 i Forum na Rzecz Demokracji (FVD), które utrzymują złagodzoną, ale antyimigracyjną i proizraelską retorykę, podobną do Wildersa, również odnotowały wzrost poparcia. VVD Dilan Yeşilgöz zbliżyła się do prawicy, prezentując stanowisko antyimigracyjne i proizraelskie. Prawica się nie wycofała, ale podzieliła.

Holenderscy prawicowi wyborcy ukarali Partię Wolności i częściowo przeszli do skrajnie prawicowych ugrupowań, takich jak JA21 i FVD. Jak zauważył w „Guardianie" Cas Mudde, holenderski politolog, niechęć do Wildersa nie wynikała z odrazy do jego ideologii, lecz z gniewu na jego „niedojrzałe" zachowanie i wycofanie się z rządu po 11 miesiącach. Wśród zwolenników Partii Wolności powszechne jest jednak przekonanie, że blokowały go sądy, lewicowi sędziowie i „głębokie państwo". Prawica się nie cofnęła, uległa rozbiciu i nadal będzie wpływać na holenderską politykę. Podobnie jak w całej Europie w Holandii nie tylko utrzymuje ona swoją pozycję, lecz także przyciąga nowych wyborców.

Popularność prawicy w Europie Zachodniej została wygenerowana przez system liberalnej demokracji, ideologicznej lewicy, który zawodzi, sprowadził do Europy migrantów i bazuje na zabójczej dla gospodarki opowieści o kryzysie klimatycznym. Europejczycy czekają na reformy instytucjonalne i strukturalne. Polityka społeczno-ekonomiczna europejskiej lewicy znajduje coraz mniejsze oparcie w społeczeństwie. Z tego powodu poparcie zyskuje nie klasyczna i ideologiczna lewica, która twierdzi, że transformuje system, ale prezentująca się jako ugodowa i pragmatyczna liberalna partia lewicowa D66, która nie lekceważy problemów bezpieczeństwa, obrony i ochrony granic.

Przykład wyborów w Holandii, choć nie jest matrycą sytuacji politycznej w innych państwach, doskonale obrazuje, że rozdrobnienie po prawej stronie sceny politycznej nie służy zwycięstwu zdrowego rozsądku. Przyszły premier Holandii Rob Jetten wzywa bowiem do wypchnięcia USA z polityki obronnej państw UE, co, jak wiadomo, przy fatalnym poziomie ogólnym uzbrojenia Starego Kontynentu należy uznać za działanie co najmniej irracjonalne.

REKLAMA



24/1025/F

eprasa.pl 90b70bd5a4



Walizka Wojciecha „Korka” Korkucia

plakacisty

Plakatem interesowałem się już w szkole podstawowej, dla której wygrywałem plastyczne konkursy regionalne. Z kolei w liceum plastycznym to plakat zainteresował się mną. Był taki plakat na ulicach w Warszawy, który zauroczył mnie do tego stopnia, że spóźniłem się do szkoły. To był plakat Waldemara Świerzego do jego wystawy w Teatrze Nowym w 1983 r. Ujął mnie swoją lekką, radosną formą i niebywałą ekspresją... która urzeka mnie do dziś. O tym, jak to wrażenie się rozwinęło w moim życiu, będą się mogli państwo przekonać, m.in. oglądając wystawę ponad 100 moich prac w Centrum Spotkania Kultur w Lublinie. Ta wystawa jest z kolei pokłosiem sytuacji, która miała miejsce dwa lata temu na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Lublinie, kiedy to jeden z fiksowanych poznańskich artystów chciał zbojkotować całe biennale, bo mu się nie spodobał mój plakat dotyczący tragedii smoleńskiej. Artysta ów domagał się działań cenzorskich i nie życzył sobie, żeby jego plakat był eksponowany w towarzystwie mojego. Dodatkowo do bojkotu skrzyknął jeszcze kilka innych osób, temat podłapała „Gazeta Wyborcza” i zrobiła się awantura. Jury niestety postanowiło zrobić nadzwyczajne spotkanie selekcyjne, na którym wykluczono mój plakat. Artyści z zagranicy byli zdumieni taką postawą rzekomo „niezależnych i obiektywnych” członków sędziowskiego gremium, ponieważ praca dotyczyła faktycznego spotkania Tuska z Putinem i była wykonana na podstawie dokumentalnego zdjęcia. Dyrekcja Centrum Spotkania Kultur, gdzie obywało się to biennale była oburzona tym skandalicznym werdyktem jury i zaproponowała mi wystawę indywidualną, która została otwarta 7 listopada, a czynna będzie aż do maja 2026 r.



T-SHIRTY



W zależności od tego, dokąd jadę i z kim się spotykam, zabieram odpowiednią liczbę koszulek z projektami. Spontaniczne reakcje często prowadzą do interesujących dyskusji, tym bardziej że można zostać właścicielem takiej koszulki...

eprasa.pl 90b70bd5a4



„ACHTUNG PUTIN”



Zaprojektowany w czerwcu 2014 r. To była forma protestu po rosyjskiej inwazji zielonych ludzików na Półwysep Krymski, a zarazem ostrzeżenia, żeby nie wchodzić z Putinem w zbyt zażyłe relacje... Plakatem zainteresowała się prokuratura [sic!] w Polsce, bo ktoś złożył doniesienie, że praca obraża Federację Rosyjską. Byłem wzywany na policję i przesłuchiwany w charakterze świadka. Oczywiście miało to miejsce za pierwszych rządów Platformy niby Obywatelskiej.

APASZKI



Mam ich ok. 30. Ponieważ nie najlepiej się czuję spięty krawatem i koszulą ze sztywnym kołnierzykiem, na różnych eventach, festiwalach czy wystawach zakładam apaszkę, którą kolorystycznie dostosowuję do motywu na koszulce albo do koloru butów...

OJCOWIE NIEPODLEGŁOŚCI



Jest to próba znalezienia nowoczesnej, komunikatywnej formy przedstawienia postaci historycznych, która poszłaby trochę dalej niż typowe sepiowanie i koloryzowanie starych zdjęć. Nowoczesna, atrakcyjna i ciekawa forma może być na tyle komunikatywna, że będzie odbierana jako nowa jakość. Te prace wymagają dużo cierpliwości i precyzji. A niektórzy mylnie sądzą, że są wykonywane za pomocą aplikacji AI.

BLOK I SZKICOWNIK



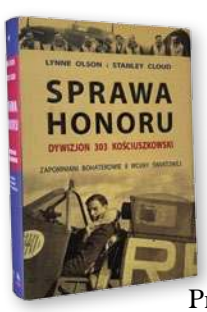
Blok na większe szkice, mały na małe rysunki. To obowiązkowe atrybuty artysty plastyka, który nie wie, kiedy przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł. Jestem zwolennikiem natychmiastowego zapisywania konceptów, bo potem umykają. A kiedy się naszkicuje jeden, wynikają z niego następne i w ten sposób uruchamia się pewien proces myślowy...

„SALONOWIEC”



Jestem dyrektorem artystycznym nowego periodyku. Jest to godna uwagi inicjatywa wypełnienia pewnej luki, żeby stworzyć jakieś inteligentne pismo satyryczne dotyczące aktualnych tematów. Teraz można nie tylko grać, lecz także czytać SalonOwca...

„SPRAWA HONORU. DYWIZJON 303 KOŚCIUSZKOWSKI”



Książka napisana przez amerykańskie małżeństwo zachwycone dziejami polskich (nie tylko) pilotów walczących w bitwie o Anglię. Dla nas, Polaków, amerykańska perspektywa naszej historii jest niezmiernie interesująca i pobudzająca do poważnej refleksji. Przeczytałem książkę kilka razy i przyznam, że mnie wzrusza za każdym razem. Często zabieram egzemplarz ze sobą, żeby sprezentować go jakiejś dobrze rokującej osobie.

PORTRECISTKA



W podróżach często mi towarzyszy moja kochana żona Agnieszka. Też jest artystką, specjalizuje się w portretach i karykaturach. Mamy wspólne plany na ciekawy projekt artystyczny.

KATALOG WYSTAWOWY



Zawsze mam ze sobą kilka egzemplarzy, żeby je wręczać. Traktuję je jako moje portfolio, bo o sztuce wizualnej można mówić, ale najlepiej ją zobaczyć.

ODZNACZENIE



W czerwcu br. otrzymałem z rąk Andrzeja Dery z kancelarii prezydenta Andrzeja Dudy Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za całokształt działalności artystycznej. Ale w podróży towarzyszy mi raczej sporadycznie...

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, Agnieszka Korkuć, materiały prasowe Wojciech Korkuć

eprasa.pl 90b70bd5a4

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Z notatnika satyryka



Jan Pietrzak

Ukazało się urzędowe oświadczenie, że polska telewizja publiczna nie będzie likwidowana. W zamian za to nie będzie ani polska, ani publiczna.

- Lenin twierdził, że nawet sprzątaczki mogą rządzić państwem, ale nigdy nie powiedział, że wyłącznie one.
- Uczeni badacze odkryli, że jednym z najcenniejszych produktów, jakimi dysponujemy, są nieprzebrane pokłady tolerancji. Wobec władzy, która nas okrada. Wobec sądów skazujących łobuzów nie tych, co trzeba. Wobec szkół nauczających tandety, głupoty i właśnie szczególnej tolerancji dla tych przedmiotów.
- Statystyka. W ub.r. kilkanaście milionów Polaków nie przeczytało żadnej książki. Czy mamy się martwić, czy cieszyć – to zależy od partyjnej przynależności.
- Po latach zza krat przedostała się do mediów wiadomość, że „Autostrada Wolności", którą otwierał z zadęciem prezydent Komorowski, była budowana przez więźniów za darmo. Jaki prezydent, taka wolność.
- Obrazek z baru. „Przepraszam, panie barmanie, czy ja tu wczoraj byłem?". „Był pan". „Czy przepiłem 5. tys. zł?". „Przepił pan". „A, to dobrze, bo już myślałem, że zgubiłem". A nadciąga prohibicja, więc trzeba pić na zapas.
- W odległym czasie, w dniu wstąpienia Polski do UE, prezydent Kwaśniewski i premier Miller przyjęli sukces na własne barki. Zapewniali o zajęciu miejsca w historii oraz poczuli się tym zaszczyceni. Co z nimi zrobimy, jak trzeba będzie uciekać z Unii?
- Główny cel strategiczny rządu Tuska to codzienne zadłużanie Polski na 1 mld zł! Bardzo ambitny cel. Gratulacje dla wyborców, którzy dożyją ustanowienia rekordu!
- Były minister Ziobro złożył wizytę w Budapeszcie. Rozbawiony premier Tusk skwitował to tak: „Albo w Budapeszcie, albo w areszcie". Ktoś dorzucił: „Albo w Brukseli, albo w celi!".
- Minister sprawiedliwości i prokurator generalny zamierza ustawowo zmienić starodawne powiedzenie o dwóch grzybkach w barszczu na „dwa grzybki w Żurku". Idzie na całość, aż kipi!
- W rejonach handlu detalicznego trwają dyskusje, dlaczego w sklepach nie ma ryb. Okazało się, że dlatego, by odwrócić uwagę od cen mięsa.
- Koalicja rządowa, nosząca dumną nazwę „koalicji październikowej", ma rzucić na ekrany archiwalny film „Lenin w październiku". Przypominam, że podczas pierwszej edycji tego dzieła na ulicznych afiszach dopisywano: „A koty w marcu".

Nie ma na chleb, to róbmy igrzyska



Samuel Pereira

Zamiast reform i ograniczenia wydatków rząd Donalda Tuska postanowił sięgnąć po najprostsze narzędzie – podwyżki podatków. Co prawda procedura nadmiernego deficytu została w Brukseli zawieszona przez kolegów obozu rządzącego, ale ten deficyt nie zniknął. „Rynki i tak wiedzą swoje, i zrobią swoje" – mówią eksperci, a władza zamiast mądrego rządzenia wybiera głupie „rozliczenia". Złapali oddech – oceniają komentatorzy i jest w tym trochę prawdy, bo po wyborach koalicja 13 grudnia i jej lider Donald Tusk byli w potężnej defensywie, której najlepszym przykładem była żałosna próba podważenia wyborczego zwycięstwa Karola Nawrockiego. Minęło półtora roku, odkąd Komisja Europejska objęła Polskę procedurą nadmiernego deficytu, a skutki tej decyzji właśnie zaczynają być odczuwalne w portfelach obywateli. W dokumencie przesłanym do Brukseli dominują nie plany oszczędności, ale nowe daniny: aż 17 pomysłów fiskalnych – od wyższego CIT dla banków po rozszerzenie systemu opłat drogowych. A na początek – uderzenie w konsumentów.

Ministerstwo Finansów zapowiedziało podniesienie VAT na piwa bezalkoholowe i napoje energetyczne z dodatkiem soków – z 5 i 8 do 23 proc. Ta decyzja, tłumaczona „koniecznością dostosowania budżetu do wymogów UE", ma dać 435 mln zł dodatkowych wpływów. To niewielka kwota wobec bilionowego długu i deficytu przekraczającego 270 mld, ale wystarczająca, by pogorszyć codzienne życie milionów Polaków.

Budżet jest w ruinie, gospodarka zwalnia, ceny w sklepach rosną, a rząd zamiast planu naprawczego woli produkować polityczne widowiska. Gdy brakuje pieniędzy, rzucają w nas emocjami, licząc na to, że przykleją do opozycji, a obywateli odkleją od rzeczywistości. Spektakle „rozliczeń", komisje, oskarżenia, łamanie prawa i wszelkich zasad, medialne przecieki. Cyrk zamiast rządzenia, igrzyska zamiast decyzji. Tymczasem obywatele nie wybierają polityków po to, żeby prowadzili wojnę z opozycją, lecz by sprawnie i bezpiecznie zarządzali państwem – w obronności, rolnictwie, gospodarce, kulturze, zdrowiu, podatkach, edukacji i pracy. Przynajmniej w teorii.

eprasa.pl 90b70bd5a4

Żurek Tuska, czyli przepis na bezprawie



Donald Tusk już nawet nie udaje, iż rządzi demokratycznie. Polska stała się dla niego poligonem władzy absolutnej. Laboratorium, w którym testuje, jak daleko można przesunąć granice bezprawia, zanim ludzie zaczną się buntować. A jego otoczenie? Posłuszne, karne, zachwycone. Bo każdy z tych ludzi wie, że szef wynagradza za wierność.

Bodnar – ten od rzekomej praworządności – okazał się dla Tuska za miękki. Łamał prawo z klasą, ale widocznie za mało skutecznie. Premier potrzebował człowieka, który nie będzie się tłumaczył przed opinią publiczną, zastanawiał się, czy wypada, tylko wykona rozkaz, nawet jeśli trzeba będzie zdeptać konstytucję. Tak do gry wszedł Żurek – dawny sędzia-aktor, teraz polityczny egzekutor.

Żurek nie ma hamulców. Dla Donalda zrobi wszystko. Wyrzuca, zawiesza, ściga, grozi. I robi to z uśmiechem człowieka, który już dostał swoją nagrodę – albo ma ją obiecaną. Bo co szef rządu obiecał swoim lojalnym wykonawcom? Europejskie stanowiska, międzynarodowe immunitety, posady w unijnych strukturach, a może ciepłe miejsca w instytucjach, które od dawna patrzą na Polskę przez pryzmat interesu Tuska, a nie prawa?

W tym układzie każdy coś zyskuje – poza Polską. Kierwiński pilnuje politycznego frontu, Żurek przejmuje sądy i prokuraturę, a Tusk załatwia milczenie Brukseli.

Tusk zbudował system, w którym nagradza się tych, którzy prawo łamią, i karze tych, którzy próbują go bronić. To perwersyjna logika władzy, która już nie potrzebuje pozorów. Bo Tusk wie, że dopóki wykonuje polityczne zlecenia europejskich elit, dopóty może w Polsce robić, co chce.

Żurek Tuska to nie przypadek. To narzędzie. I przestroga. Bo kiedy państwem zaczynają rządzić ludzie, którym władza obiecała bezkarność, kończy się demokracja, a zaczyna coś, co Polacy już kiedyś widzieli – system, w którym lojalność wobec wodza jest ważniejsza niż prawo.

Arkadiusz Mularczyk



Żywe dziedzictwo PRL

Z Moniką Luft, autorką książki „Oko prezesa. Telewizja PRL od Sokorskiego do Drawicza", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy oko prezesa „konia tuczy", czy osłabia?

Monika Luft: Tuczy, gdy prezes ma na uwadze – przynajmniej w pewnym stopniu – rozwój telewizji i pożytek widzów. Osłabia, gdy dba on wyłącznie o dobre samopoczucie swych politycznych mocodawców. I gdy jego głównym zadaniem jest pilnowanie linii ideologicznej.

Dlaczego zdecydowała się pani napisać książkę o szefach Radiokomitetu?

Siłowe przejęcie TVP w grudniu 2023 r., przerwanie nadawania, niszczenie archiwów i czystki kadrowe pokazały, jak żywe jest niematerialne dziedzictwo PRL, widoczne zarówno we wzorach zachowań, jak i decyzjach personalnych. A skoro nasza klasa polityczna garściami czerpie ze schematów ukształtowanych w poprzednim ustroju, uznałam, że należy owo dziedzictwo przypomnieć, choćby po to, by się zastanowić, jak ma wyglądać przyszłość instytucji postawionej w stan likwidacji.

Podkreśla pani, że niezależnie od epoki politycy są przekonani, że ten, kto ma telewizję – ma władzę, choć jest odwrotnie. Co nam to mówi o obecnej sytuacji TVP?

To, że wyniesione z PRL przyzwyczajenia już się nie sprawdzają, a instrumentalne traktowanie mediów publicznych obraca się przeciwko decydentom. Politycy oburzają się jednak na upolitycznienie telewizji tylko wówczas, gdy są w opozycji. Dedykuję tę książkę tym ludziom, którzy znajdą odpowiedź na pytanie, jak powinien być urządzony ład medialny w Polsce, by telewizja publiczna nie pozostawała żerem dla ekip u władzy.

Fot. Archiwum prywatne

pl 90b70bd5a4

Niepodległa



Zwykle pod nagłówkiem „Niepodległa” rutynowo wymienia się wszelkie okoliczności, jakie towarzyszyły powrotowi Polski na mapę Europy. Trójka naszych zaborców wykrwawiła się w „bratobójczej” wojnie światowej, a kilku liderów polskości (Piłsudski, Dmowski, Paderewski, Haller) wykorzystało tę szansę. Wspólnym wysiłkiem elit udało nam się zjednoczyć podzielony rozbiorami naród, utworzyć własne siły zbrojne i odwojować kraj z ponad wiekowej niewoli. Równolegle na europejskich salonach była prowadzona skuteczna ofensywa dyplomatyczna, która pozwoliła Rzeczypospolitej utrzymać granice, okupione krwią naszych żołnierzy. Dwie dekady II RP umocniły polskie państwo. Nie na tyle jednak, abyśmy w 1939 r. byli w stanie przeciwstawić się odbudowanym potęgom militarnym naszych odwiecznych wrogów. Czwartego rozbioru Polski dokonały te same nacje (w Wehrmachcie, Waffen-SS i Volkssturmie służyło ok. 1,3 mln Austriaków!).

Okrągłostołowa „transformacja ustrojowa” 1989 r. pozostawiła u władzy komunistycznych aparatczyków. Przez ponad trzy dekady tworzono w naszym kraju „stronnictwo proeuropejskie”, zdominowane przez Niemcy. Berlin i Moskwa ponownie nawiązały współpracę gospodarczą (Nord Stream). Na mapach sztabowych „linia Wisły” wytycza dziś złowrogą granicę strefy wpływów.

Czy grozi nam piąty rozbiór Polski? Niekoniecznie. W wojnie na Wschodzie wykrwawiają się nasi odwieczni wrogowie. Niemcy ściągnęli na siebie i Europę migracyjno-ideologiczną apokalipsę. Podobnie jak w 1918 r. otworzyło się więc dla Polski okienko wolności. Czy dziś pojawią się przywódcy, którzy zjednoczą laicyzujący się i skłócony naród? Czy gasnąca wiara, tożsamościowa tradycja, przepiękna historia i wspólny język wystarczą, aby nas uratować, by wskrzesić Polskę? Chciałbym w to wierzyć. Niestety bez powrotu do tradycyjnego modelu rodziny jest to niemożliwe. Zatraciliśmy *sacrum* miłości. Nie ma już o co walczyć. Wymieramy bez wojen, na własne życzenie.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR x2, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, ARCHIWUM FRATRIA, BUNDESWEHR/MARCO DORow, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, SHUTTERSTOCK/MARYIA BUZNAKOVA, BITS AND SPLITS, ARTISTDESIGN.13, CHRISTIAN MUELLER

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl 90b70bd5a4

Czytaj nas w najlepszej cenie!



Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



eprasa.pl 90b70bd5a4



Po trupach do



celu

Fot. Liudmyla Skwarczynska

To dewiza polityczna Donalda Tuska, której wielokrotnie dał wyraz. Pamiętamy 2010 r. po katastrofie smoleńskiej. Później był m.in. 2017 r. i wykorzystywanie samobójstwa Piotra Szczęsnego czy 2019 r. i skrajnie cyniczna operacja narracyjna po zabójstwie Pawła Adamowicza. Mieliśmy wreszcie marzec br. i śmierć Barbary Skrzypek w efekcie przesłuchania przez najbardziej rozpolitykowaną prokurator. Teraz, gdy szef rządu z roześmianym obliczem zaciera coraz częściej dygoczące rączki na myśl o ujrzeniu Zbigniewa Ziobry w kajdankach, też nie liczy się z konsekwencjami. A w tym przypadku za rogiem również czai się przecież niebezpieczeństwo śmierci



MAREK PYZA

„Wyjątkowo mściwy. Rudy i mściwy” – mówił o Donaldzie Tusku Aleksander Kwaśniewski w słynnej rozmowie z Ryszardem Kaliszem w jednej z warszawskich restauracji. Czy jednak diagnozując charakter obecnego premiera, zakładali, jak daleko może sięgać ta mściwość?

Czy przypuszczali, że Tusk będzie skłonny igrać ze zdrowiem i życiem tylko po to, by zaspokoić najniższe instynkty i nakarmić swój wyhodowany na nienawiści najtwardszy elektorat? Że da przyzwolenie na drwiny ze śmiertelnej choroby, a na prokuratora generalnego powoła człowieka, który sądził się z własnymi córkami o zwrot alimentów, z państwem polskim zaś o odszkodowanie za rzekomo starte w wyniku stresu zęby czy kuriozalny zamach na jego zdrowie polegający na wlezieniu na korytarzu sądowym na maszynę czyszczącą podłogi?

A przecież nie są to największe grzechy skrajnie upolitycznionego ekssędziego, a dziś oberprokuratora. Gdy dostał realną władzę, chwycił ją niczym nakoksowany osiłek tulipana, by ruszyć z nim na wrogów. Bezprawnie odwołał wielu prezesów sądów i zlikwidował losowania sędziów w sądach apelacyjnych (kluczowych do ochrony polityków, którzy dopuścili się przestępstw), pozwolił umorzyć śledztwa prowadzone w sprawach prominentnych działaczy politycznych swojego środowiska, a wobec oponentów kazał przygotować wyssane z palca zarzuty i wnioski o areszty.

Nie ma drugiego przypadku państwa w Unii Europejskiej – a może i w pozostałych częściach demokratycznego świata – w którym premier i minister sprawiedliwości w taki sposób zwalczaliby opozycję. To substandardy rodem z Rosji czy Białorusi. Przecież znamy to doskonale: sfingowane zarzuty (najczęściej gospodarcze, rzadziej szpiegowskie bądź terrorystyczne) wobec kandydatów partii opozycyjnych, by wyeliminować ich z wyborów poprzez osadzenie w kolonii karnej albo po prostu najskuteczniej, jak się da, zamknąć usta za ich dotychczasową działalność wymierzoną w reżim. Taki los spotkał m.in. Michaiła Chodorkowskiego, Olega Orłowa, Ildara Dadina, Andrzeja Poczobuta czy Dmitrija Szletgauera. Przypadek Aleksieja Nawalnego jest najjaskrawszym, choć ledwie jednym z wielu, w których przeciwnik Putina nie wyszedł żywy z więzienia.

eprasa.pl 90b70bd5a4

BARBARIA

Nie ma zbyt grubych słów, by nazwać brutalną nagonkę, jaką wokół byłego ministra sprawiedliwości rozpętał kierownik Koalicji Obywatelskiej. Zacytujmy tylko kilka.

„Jestem przekonany, że nie chce pan przejść do historii jako fujara czy miękiszon i stawi się pan przed niezależnym wymiarem sprawiedliwości w Polsce" – mówił Donald Tusk przed ubiegłotygodniowym posiedzeniem rządu w czasie swojego cyklicznego seansu podlanej kiepskim humorem nienawiści.

„Ziobro, będziesz siedział, twój zero day nadchodzi! [...] środki sobie przywłaszczył z Funduszu Sprawiedliwości, bo działał, jakby to były jego własne pieniądze" – rzucił do kamery telewizji wPolsce24 jeden z największych hejterów i intelektualnych nielotów w KO – Witold Zembaczyński.

„Zbigniew Ziobro według tego wniosku może być przestępcą zaraz potem, jak usłyszy zarzuty. Ktoś, kto jest podejrzanym, to jest przestępcą" – błysnął ograniczeniami inny poseł KO, Konrad Frysztak, absolwent prawa sprzed dwóch lat na Europejskiej Uczelni Społeczno-Technicznej w Radomiu. Muszą tam kształcić wyjątkowo słabo, skoro w czasie kilku semestrów parlamentarzysta nie zdołał przyswoić prawniczego elementarza i wciąż nie wie, że przestępcą jest dopiero ten, kogo prawomocnie skaże sąd. Ale w czasach demokratury Tuska nie trzeba już znać prawa.

„W tej komisji zdrowie pana Ziobry nie będzie mieć żadnego znaczenia" – rzucił z uśmiechem do dziennikarzy Jarosław Urbaniak z KO, wiceszef komisji regulaminowej, która dała rekomendację do aresztowania byłego ministra.

„Pamiętasz, jak o 6 rano wprowadziłeś mi do domu policję, jak położyłeś na ziemi moją żonę, gołą? Jak wszedłeś do sypialni mojej córki? Jak wszedłeś do sypialni mojego syna? Pamiętasz to? Pamiętasz, jak leżałem na podłodze, a ludzie, którzy za twoją wiedzą weszli do mnie do domu, trzymali mi pistolet przy głowie i mówili: »Jak podniesiesz łeb, to ci go, k...a, odstrzelimy«? Pamiętasz to? Więc jak ludzie się teraz pytają, czy byłeś w stanie być szefem grupy przestępczej, czy byłeś w stanie wykorzystywać ludzi, to ja ci powiem: »Byłeś w stanie«. Budapeszt cię nie uratuje" – syczał w mediach społecznościowych Włodzimierz Czarzasty. A robił to w iście Urbanowym stylu. Bo dobrze wie, że z tą pomyłką policji w 2007 r. (takie błędy się zdarzają i wielokrotnie zdarzały również za rządów Tuska – ostatnio w 2024 r. przy Jaśkowej Dolinie w Gdańsku) Zbigniew Ziobro nie miał nic wspólnego. Policję nadzorował bowiem wówczas Janusz Kaczmarek, który niedługo stał się dyżurnym autorytetem dla środowiska Platformy Obywatelskiej w tym obszarze. A Ziobro o niczym wtedy nie wiedział.

> Ziobrze zarzuca się nielegalne przekazywanie pieniędzy fundacjom, z władz których nikt nie jest objęty śledztwem, a do dziś otrzymują one środki z tego samego rządowego źródła. Absurd goni tu absurd

Wszystkich przebił jednak minister finansów, który zapytany w Polsat News, czy nie zadrży mu ręka przy głosowaniu nad aresztem dla byłego ministra, wypalił: „Nie, są takie chwile, dla których się żyje. I z całą pewnością mi ręka nie zadrży. [...] To jest też sens bycia w polityce". To wypowiedź, która od Andrzeja Domańskiego nigdy się nie odklei. W normalnym państwie zaowocowałaby dymisją, ale widocznie w Polsce Tuska każdy chce zostać bezwzględnym siepaczem, by zasłużyć na uznanie pryncypała. Wspomniany Zembaczyński szczerzył się niedawno, że „j...ć PiS" jest „hasłem przewodnim jego misji politycznej i utożsamia się z nim w 100 proc.", a Domański okazuje się być w polityce dla wsadzania przeciwników do więzień.

Można by mówić o zbydlęceniu tego środowiska, lecz przecież zwierzęta – z bydłem na czele – nie charakteryzują się takim okrucieństwem.

ZAGROŻENIE ŻYCIA

Zamykaliśmy ten numer „Sieci" jeszcze przed głosowaniami w sprawie uchylenia immunitetu Zbigniewa Ziobry, więc nie mogliśmy wiedzieć, jaki będzie ich wynik. Przed podniesieniem rąk posłowie partii koalicyjnych powtarzali jednak jak mantrę, że zarzuty są poważne, nawet gdy ich nie czytali. Uwierzyli podwładnym Żurka, którzy chcą nas przekonać, że Ziobro wymyślił, założył i kierował mafią, do której należało wielu urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości. Co prawda żaden z nich nie wziął ani grosza z Funduszu Sprawiedliwości, ale śledczym nie przeszkodziło to w stawianiu zarzutów przywłaszczenia środków. Byłemu wiceministrowi sprawiedliwości Michałowi Wosiowi zajęto z tego powodu cały majątek oraz konto bankowe na sumę 25 mln zł – tyle polecił przekazać z Funduszu Sprawiedliwości do CBA na zakup Pegasusa – a zatem każda kwota, która wpłynie na jego rachunek, zostanie zajęta przez prokuraturę.

Jak się ma ta sprawa do wielotomowych akt prokuratorskich wypełnionych dowodami na przestępstwa Sławomira Nowaka, Romana Giertycha czy Tomasza Grodzkiego, które przecież zostały umorzone? Nijak, ale to w czasach Ziobry ci bliscy współpracownicy obecnego premiera zaczęli być ścigani za swoje występki. Jest się więc za co mścić.

W skład grupy przestępczej dowodzonej przez Ziobrę mieli też wchodzić beneficjenci Funduszu Sprawiedliwości. Co ciekawe, poseł ma usłyszeć zarzuty nielegalnego przekazywania pieniędzy fundacjom, z władz których nikt nie jest objęty śledztwem, a do dziś otrzymują one środki z tego samego rządowego źródła.

Absurd goni tu absurd, a niekompetencja ściga się z lekceważeniem prawa. Do Sejmu trafił przecież wniosek prokuratora krajowego (nielegalnego), lecz podpisany przez śledczego niższego szczebla, co czyni ten dokument nieważnym – Żurek musiał z tego powodu dosyłać pismo wyjaśniające Szymonowi Hołowni, aby ten nie wyrzucił wniosków do kosza. I nie wyrzucił.

eprasa.pl 90b70bd5a4

Czy wobec tej nagonki i sfingowanych zarzutów można było liczyć na to, że którykolwiek z podkomendnych Tuska wykaże się elementarną empatią i weźmie sobie do serca list intelektualistów, w którym proszą o niewyrażanie zgody na aresztowanie polityka?

„Zbigniew Ziobro od dwóch lat zmaga się z rakiem przełyku, przeszedł ciężkie, skomplikowane operacje, cały czas poddawany jest poważnym zabiegom, w tym regularnie zabiegowi poszerzania przełyku. Jego stan zdrowia wymaga systematycznej, specjalistycznej obserwacji i kontaktu ze stałym zespołem medycznym, który przeprowadza wspomniane zabiegi. Nie ulega wątpliwości, że pozbawienie wolności oznacza przerwanie leczenia i tym samym bezpośrednie zagrożenie dla życia. Zagrożenie dla życia stwarzać będą także warunki panujące w areszcie, bowiem każda infekcja może skończyć się tragicznie". Pod tymi słowami podpisali się m.in. Bronisław Wildstein, prof. Andrzej Nowak, prof. Jan Majchrowski, prof. Alicja Grześkowiak, prof. Ireneusz Kamiński, Krzysztof Piesiewicz, Jan Maria Rokita, Marian Krzaklewski, Czesław Bielecki czy prof. Ryszard Bugaj, a zatem osoby o różnych sympatiach politycznych, często dalekie od Zbigniewa Ziobry.

Nie próbowali oni odwieść posłów od uchylania immunitetu, lecz wyłącznie od wyrażenia zgody na areszt. Podnieśli jedyny argument – zagrożenie dla zdrowia i życia byłego ministra.

Jest bowiem wiedzą powszechną, że polityk Prawa i Sprawiedliwości leczy się onkologicznie, przeszedł liczne operacje, a jego stan wciąż jest bardzo poważny. Wiedzą mniej powszechną jest to, że nie potrafi funkcjonować jak większość z nas, nie przyjmuje normalnych posiłków ze względu na zaawansowane uszkodzenia narządów wewnętrznych – po raz ostatni zabieg poszerzania przełyku przeszedł w sierpniu. Jak byłby odżywiany w areszcie? Czy gdyby odmówił spożywania więziennego jedzenia, też zostałby przywiązany pasami do ściany i na siłę karmiony poprzez rurę wepchniętą do przełyku – co spotkało przecież Mariusza Kamińskiego (i to już po decyzji sądu o zwolnieniu byłego szefa MSWiA z aresztu)?

Gdy powstaje ten tekst, nie wiemy jeszcze, czy Zbigniew Ziobro wystąpi z wnioskiem o udzielenie mu azylu na Węgrzech, gdzie ostatnio przebywał. Jeśli by się jednak na to zdecydował, nie można mu czynić z tego zarzutu. Skoro bowiem polityczni oprawcy nie zważają na przepisy czy stan zdrowia, skoro brakuje im choćby krztyny humanitaryzmu, sam ma prawo sięgać po wszelkie środki, by *de facto* chronić swoje życie.

Przecież opinia lekarska, w jaką wyposażyła się prokuratura – a w której stwierdza się, że stan zdrowia Zbigniewa Ziobry nie jest przeciwwskazaniem do aresztowania go – powstała bez zaglądania do dokumentacji medycznej znajdującej się za granicą (a to tam leczy się poseł PiS). Więcej – lekarz podpisał się pod tym dokumentem, nie widząc nawet pacjenta! Nic dziwnego, że w Naczelnej Izbie Lekarskiej szybko wszczęto postępowanie w tej sprawie.

> W sprawie Zbigniewa Ziobry ukazał się list intelektualistów, osób o różnych sympatiach politycznych. Nie próbowali oni odwieść posłów od uchylania immunitetu, lecz wyłącznie od wyrażenia zgody na areszt

TUSK DZONG IL

Decyzja zapadła. Polska przestaje być państwem demokratycznym, w którym opozycja ma jakiekolwiek prawa. Przestaje też być państwem prawa, bo to rządzącym tylko przeszkadza. Ostentacyjnie łamią więc wszelkie ustawy – z tą zasadniczą na czele. Polska zaczyna też funkcjonować bez wymiaru sprawiedliwości, bo Waldemar Żurek poszedł na jego pełną rozwałkę. Już teraz sądy uchylają wyroki wobec gwałcicieli, pedofilów, wielokrotnych morderców tylko dlatego, że byli skazywani przez sędziów, którzy nie podobają się rządzącej Patologii (pseudo) Obywatelskiej.

Premier – jeszcze zanim sprawą zajął się sąd – wyrażał pewność, że Zbigniew Ziobro zostanie aresztowany i cieszył się z tego jak dziecko z nowej zabawki. To ma być jeden z ostatnich akordów tej polityczno-bandyckiej operacji. Jednym z pierwszych było „przygotowanie" do zeznań przez Romana Giertycha byłego urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości Tomasza Mraza, zajmującego się Funduszem Sprawiedliwości, który ma przecież trudną sytuację procesową i w swoim interesie ma prawo kłamać. Najlepiej tak, jak życzą sobie ci, którzy mogą mu zapewnić łagodniejszy los.

Tusk ze swoją kamarylą mają jakieś irracjonalne poczucie bezkarności. Zachowują się tak, jakby w 2023 r. przejęli władzę w stylu północnokoreańskiej dynastii, której przez dekady nikt za nic nie może rozliczyć.

Aby to domknąć, potrzebują pójść jeszcze kilka kroków dalej. Czy mają taki plan? Tak!

Być może to berlińsko-brukselska krysza sprawia, że zdecydowali się być już nie totalną opozycją, lecz totalną bandyterką. Jak pisał w ub. tygodniu na portalu tysol.pl Andrzej Gajcy, Tusk dostał od niemiecko-unijnych mocodawców zielone światło na kolejne etapy bezprawia. Plan, który ma wdrożyć Waldemar Żurek, to scenariusz puczu, w którym przewidziano wyrzucenie tysięcy sędziów bez zważania na prezydenckie weto, a także serię aresztowań polityków opozycji.

Jeszcze dwa lata temu pukalibyśmy się w głowę, słysząc takie opowieści, ale dziś należy je traktować absolutnie serio. Celem numer jeden jest zamknięcie Ziobry, Kaczyńskiego, Morawieckiego, Błaszczaka i innych liderów największej partii opozycyjnej. I dopiero wtedy można się szykować na kolejne wybory.

Skądś to znamy. Tytuły rosyjskich gazet z 2008 r. nabierają nowego znaczenia. A pisały one wówczas o Tusku: „Nasz człowiek w Warszawie".

eprasa.pl 90b70bd5a4

Niedorzecznik rządu

Jeśli rzecznik rządu jest od mówienia nieprawdy i dezinformacji, to Adam Szłapka jest w tym wyjątkowo biegły



STANISŁAW JANECKI



Gdy 20 czerwca 2025 r. Donald Tusk przedstawiał Adama Szłapkę jako rzecznika rządu (od 1 lipca 2025 r.), rozpływał się nad jego umiejętnościami i zaletami. Twierdził, że wybrał najlepszego z najlepszych: doświadczonego i profesjonalnego. Przez cztery miesiące urzędowania w roli ust premiera Tuska i jego rządu Adam Szłapka nie pokazał tych zalet, zademonstrował natomiast sprawność – tyle że w roli jednego z najbardziej prymitywnych propagandystów władzy, często posługującego się nieprawdą i manipulacją.

Znany z weryfikowania wypowiedzi polityków portal Demagog przeanalizował 17 wypowiedzi Adama Szłapki jako rzecznika rządu Donalda Tuska i stwierdził, że tylko cztery z nich były prawdziwe, jedna – częściowo prawdziwa, osiem zaś fałszywych, trzy zmanipulowane, a jedna nieweryfikowalna. Te liczby są dla Szłapki miażdżące.

Potwierdzają dominujące wśród komentatorów przekonanie, że rzecznik Szłapka może nawet 90 proc. czasu swoich publicznych wystąpień poświęcił nie na informowanie o działaniach rządu i premiera, lecz przeważnie „znosiło" go na różne manowce. A przede wszystkim atakował Prawo i Sprawiedliwość oraz prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Pod koniec października 2025 r. Adam Szłapka insynuował PiS korupcję: „Dowodem na to, że ta sprawa [sprzedaży działki w Zabłociu] jest naprawdę gruba, jest zachowanie prezesa Jarosława Ka-

eprasa.pl 90b70bd5a4

czyńskiego. Przecież oni w bardzo wielu poważnych sprawach do upadłego bronili polityków Prawa i Sprawiedliwości. Tutaj w panice zaczynają zawieszać ważnych ludzi. […] Oni zdają sobie sprawę z tego, że to cuchnie korupcją na kilometr". Ale nie przedstawił choćby cienia dowodu, że ktoś z PiS kogoś skorumpował lub dał się skorumpować.



Fot. Andrzej Wiktor

W październiku 2025 r. występował też jako wróżka przepowiadająca złą przyszłość Prawa i Sprawiedliwości: „Spełnia się koszmar Jarosława Kaczyńskiego sprzed bardzo wielu lat. […] Niewiele wskazuje na to, że PiS jest w stanie mobilizować swoich wyborców". Mobilizować swoich zwolenników jest natomiast w stanie Koalicja Obywatelska. Zapewne z wdzięczności za to, jak im się żyje pod rządami Tuska i spółki.

KOLOROWANIE RZECZYWISTOŚĆ

O swojej już partii (Koalicja Obywatelska pożarła Nowoczesną, której przewodził Szłapka) rzecznik opowiadał wyjątkowe farmazony: „Koalicja Obywatelska jest na pierwszym miejscu, a w sondażach, może nie partyjnych, ale tych, które badają to, co ludzie czują, czy żyje im się lepiej, czy nie, mówią, że żyje się im lepiej". W żadnym sondażu większość badanych nie była zdania, że żyje im się lepiej, lecz gorzej. W badaniu United Surveys dla Wirtualnej Polski (10–13 października 2025 r.) zaledwie 19,6 proc. ankietowanych przyznało, że żyje im się lepiej niż przed dwoma laty, a tylko 7,6 proc. wybrało odpowiedź „zdecydowanie lepiej". Większość – 45,2 proc. – odpowiedziało, że żyje im się gorzej niż przed 13 grudnia 2023 r. Niemal co trzeci pytany – 32,6 proc. – stwierdził, że żyje mu się tak samo jak dwa lata wcześniej.

Być może Polacy już przywykli, że po rządzie Donalda Tuska nie mogą się spodziewać niczego dobrego, gdyż jeszcze w marcu 2025 r. (w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej") aż 57,5 proc. respondentów odpowiedziało, że żyje im się gorzej, a ich gospodarstwa domowe zbiedniały. Zmiany swojej sytuacji materialnej nie odczuło 29,8 proc. ankietowanych, a jej poprawę dostrzegło zaledwie 9,3 proc. badanych.

Jeśli Adam Szłapka domaga się danych na temat tego, co Polacy w październiku 2025 r. czuli, myśląc o rządzie Tuska, może to sprawdzić choćby w badaniu United Surveys dla Wirtualnej Polski. Aż 52,8 proc. badanych oceniło rząd Tuska negatywnie, z czego 38,7 proc. zdecydowanie negatywnie. Tylko 35,5 proc. respondentów pozytywnie wypowiedziało się na temat rządu przewodniczącego Koalicji Obywatelskiej (zdecydowanie pozytywnie – zaledwie 11,2 proc.). W sondażu CBOS z lipca 2025 r. 59 proc. respondentów zadeklarowało, że nie są zadowoleni z tego, iż na czele rządu stoi Donald Tusk. W badaniu CBOS z września 2025 r. negatywną ocenę premierowi wystawiło 53,3 proc. badanych, a pozytywną – tylko 39,7 proc.

Adam Szłapka coraz częściej jest nazywany niedorzecznikiem rządu. Dlaczego? Bo zwykle koloryzuje rzeczywistość, bez umiaru podlizuje się swemu szefowi i z upodobaniem obraża Jarosława Kaczyńskiego: „Panie Kaczyński, jak pan chce wyjść z Unii Europejskiej, to przez Terespol droga najprostsza, ale nas niech pan w to nie miesza. […] Osiem lat rządów PiS to był zamach Kaczyńskiego na Polskę, na naszą demokrację, na nasze marzenia".

Ten „zamach" przyniósł wielki skok cywilizacyjny i uczynił z Polski oazę wolności w coraz bardziej ograniczającej ją Europie. A oskarżenia o prorosyjskość to bezczelne kłamstwo, szczególnie gdy się pamięta, jak Donald Tusk latami walczył z Jarosławem Kaczyńskim jako „rusofobem", który psuł jego dobre relacje z Putinem. A już wyjątkowo zawstydzające jest to, że były minister ds. Unii Europejskiej niczego nie zrozumiał z projektu zmiany ustroju Unii i ogromnych zagrożeń, jakie ta zmiana niesie dla Polski.

ŚMIECH CYMBAŁA

Adam Szłapka był radnym i wiceprzewodniczącym rady w Kościanie (2006–2010), ale w 2010 r. nie uzyskał reelekcji. Potem został dyrektorem i członkiem rady Fundacji Projekt: Polska. W latach 2011–2015 był asystentem szefa kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego – koordynował projekty społeczne. W 2015 r. został sekretarzem generalnym Nowoczesnej Ryszarda Petru, w listopadzie 2019 r. – przewodniczącym tej partii, a właściwie masy upadłościowej po niej. I przed włączeniem do Koalicji Obywatelskiej w październiku 2025 r. praktycznie zlikwidował Nowoczesną, nie spłacając przy tym dwumilionowego długu.

W rządzie Donalda Tuska nie dał się poznać z żadnej istotnej inicjatywy czy

eprasa.pl 90b70bd5a4

projektu, a nawet z żadnej choćby jako tako błyskotliwej wypowiedzi. Podczas bezobjawowej polskiej prezydencji w UE chwalił się osiągnięciami, których nie było. Rozwijał się tylko, serwując kolejne insynuacje.

7 października 2025 r. poseł PiS Bartosz Kownacki opublikował na portalu X nagranie, na którym mówi, iż rzecznik rządu Adam Szłapka zarzucił mu, że jest pod wpływem alkoholu. „Pan jest nietrzeźwy. Czuję alkohol od pana" – mówi na nagraniu rzecznik rządu, wymachując dłonią. „Panie marszałku, czuć alkohol od posła Kownackiego" – krzyczał Szłapka na sali Sejmu. Potem Kownacki dmuchną w alkomat, który wskazał 0.00 alkoholu w wydychanym powietrzu. „Panie pośle Szłapka, czekam na przeprosiny" – apelował Kownacki. I się nie doczekał. Gdy wiceminister funduszy i polityki regionalnej Jacek Karnowski stwierdził: „Ty idź do restauracji, z [Dariuszem] Mateckim się napij". Kownacki odparł, że „poseł Matecki nie może pić, bo jest chory". Na co wesoły Szłapka stwierdził: „Chory? Kaca ma Matecki?". „Nie, ma nowotwór i się z tego nie śmiejcie" – replikował Kownacki.

W marcu 2025 r. Adam Szłapka wzbudził konsternację swoim zachowaniem w czasie posiedzenia Parlamentu Europejskiego. Gdy trwała debata na temat sytuacji w Strefie Gazy, przyszły rzecznik się śmiał. Na jego niestosowne zachowanie zareagował Marc Botenga z Robotniczej Partii Belgii. „Pan się śmieje, podczas gdy my debatujemy o śmierci Bóg wie ilu Palestyńczyków. Ich populacja głoduje. A pan tutaj siedzi, śmieje się i robi sobie żarty. To nie jest śmieszne. Palestyńczycy to też ludzie. Powinien się pan wstydzić" – krzyczał belgijski polityk, oskarżając Szłapkę o „okazywanie pogardy Palestyńczykom".

Szłapka szybko stał się negatywnym bohaterem telewizji Al-Dżazira, bliskowschodnich agencji prasowych, licznych arabskich gazet i rozsianych po świecie Palestyńczyków. Film pokazujący jego śmiech bił rekordy w muzułmańskiej części internetu. „Jeszcze tego brakowało, żeby cymbał Szłapka załatwił Polsce konsekwencje śmiania się z ludobójstwa. »Charlie Hebdo« też się kiedyś śmiało... Pamiętacie, jak to się skończyło?" – pytała Renata Acosta na portalu „Wszystko co Najważniejsze".

„Nowy rzecznik rządu Adam Szłapka rży z powodu śmierci Palestyńczyków" – napisał poseł Konfederacji Konrad Berkowicz.

DJ ADAM

Adam Szłapka zaangażował się w rozdymanie tzw. afery mailowej, która stała się głośna w 2021 r. Do internetu trafiły e-maile rzekomo pochodzące ze skrzynki ówczesnego szefa kancelarii premiera – Michała Dworczyka. Szłapka złożył wówczas zawiadomienie do prokuratury, oskarżając m.in. premiera Mateusza Morawieckiego, samego Michała Dworczyka oraz szefa Rządowego Centrum Analiz Norberta Maliszewskiego o sprowadzenie zagrożenia epidemiologicznego na obywateli poprzez instrumentalne traktowanie walki z pandemią COVID-19 w celach politycznych. „Wyłania się obraz władzy, która nie przestrzega żadnych procedur, fałszuje dokumenty, przekracza uprawnienia" – insynuował Adam Szłapka.

> Adam Szłapka poświęcił większość swoich publicznych wystąpień nie na informowanie o działaniach rządu i premiera, lecz przede wszystkim na atakowanie Prawa i Sprawiedliwości oraz prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Taki rzecznik, jaki premier

W sierpniu 2024 r. nazwisko Szłapki pojawiło się w kontekście afery wokół wulgarnych przyśpiewek na Campusie Polska Przyszłości w Olsztynie. W mediach społecznościowych zamieszczono nagranie, na którym widać, jak osoby ze słuchawkami na uszach (podczas tzw. silent disco) skandują hasło „Je...ać PiS". Za konsolą DJ było widać kilka osób, w tym Adama Szłapkę.

NIEBEZPIECZNY KIEROWCA

W kwietniu 2023 r. Szłapka na przejeździe rowerowym na Saskiej Kępie w Warszawie potrącił samochodem 16-letnią dziewczynę. Poszkodowana doznała urazu głowy i złamania kości nosowych. Obrażenia wywołały rozstrój zdrowia na ponad siedem dni, dlatego śledczy zakwalifikowali zdarzenie jako przestępstwo, a nie wykroczenie. Prokurator Norbert Woliński, rzecznik Prokuratury Okręgowej Warszawa Praga, zapowiedział, że „wniosek o uchylenie immunitetu w zakresie pociągnięcia do odpowiedzialności karnej za spowodowanie występku zakwalifikowanego z art. 177 par. 1 Kodeksu karnego zostanie skierowany w tym miesiącu". Przepis ten przewiduje karę do trzech lat więzienia. „Zrzeknę się immunitetu, jak tylko sprawa trafi do Sejmu. Nie da się tego zrobić niestety wcześniej ze względów formalnych" – deklarował Adam Szłapka.

15 czerwca 2023 r. Szłapka stawił się na przesłuchanie w Komendzie Rejonowej Policji Warszawa VII. „Przy odbieraniu danych osobowych przesłuchiwany Adam Szłapka podał, że jest pracownikiem Sejmu RP i dopiero po pytaniach doprecyzowujących o charakter zatrudnienia podał, że jest posłem na Sejm RP. Wobec chroniącego posła immunitetu odstąpiono od dalszych czynności, a sprawę przekazano do prokuratury" – wyjaśniła policja.

* * *

Jako rzecznik rządu Adam Szłapka jest tylko uprzywilejowanym – bo słuchanym na wielu konferencjach – propagandystą. Ale jest też drugim po premierze Tusku kłamcą, gdy chodzi o fakty dotyczące rządu, usprawiedliwiania jego zaniechań i opowiadania bajek o świetlanej przyszłości. Czyli niedorzecznik pełną gębą.

eprasa.pl 90b70bd5a4

Prorocy klęski



„Nie ma żadnych szans, nie dostanie się nawet do drugiej tury!” – takie były reakcje wielu komentatorów na wieść o tym, że Karol Nawrocki został kandydatem w wyborach prezydenckich. Było to dokładnie rok temu. Takie prognozy z ogromnym przekonaniem głosili znani politycy, publicyści i politolodzy. Oto przegląd najbardziej nietrafnych ocen



PIOTR GURSZTYN

Zanim pochylimy się nad najciekawszymi opiniami na temat tego, jak słabym kandydatem był Karol Nawrocki, przenieśmy się na moment do przełomu lat 2014 i 2015. Wtedy – również w listopadzie i tak samo w Krakowie – Prawo i Sprawiedliwość przedstawiło swojego kandydata w wyborach prezydenckich: 42-letniego europosła Andrzeja Dudę. Główny konkurent, czyli urzędujący prezydent Bronisław Komorowski, zareagował na to kpiną: „Kiedy dotarła do mnie wiadomość, że kandydatem jest pan Duda, pomyślałem, że coś tu jest nie tak, bo ja mam w pałacu gościa bardzo ważnego i bardzo miłego, przewodniczącego Solidarności Piotra Dudę. Ale rozumiem, że chodzi o kogo innego”.

Nie on jeden tak reagował. Publicysta Łukasz Warzecha pisał w listopadzie 2014 r.: „Andrzej Duda kandydatem PiS na prezydenta. Przegra oczywiście, ale może ugra trochę z umiarkowanego elektoratu”. Do annałów historii przeszło zdanie Adama Michnika wygłoszone 5 stycznia następnego roku: „Jeżeli tu się nie stanie coś takiego, co ja nie jestem w stanie przewidzieć: że Bronisław Komorowski po pijanemu na pasach przejedzie niepełnosprawną zakonnicę w ciąży, no to oczywiście, że będzie prezydentem!”.

Szokiem dla liberalnego establishmentu i „wszechwiedzących” komentatorów okazało się to, że Andrzej Duda był prezydentem przez dwie kadencje. Jednak nauka z tamtej historii poszła w las. Nie wszyscy komentatorzy przyjęli słowa przypisywane duńskiemu fizykowi Nielsowi Bohrowi: „Przewidywanie jest bardzo trudne. Zwłaszcza gdy dotyczy przyszłości”.

KONWENCJA POD OSTRZAŁEM

Nazwisko ówczesnego prezesa IPN jako kandydata prawicy w wyborach prezydenckich zaczęło krążyć kilka tygodni przed jego oficjalnym ogłoszeniem. Od razu pojawiły się opinie, że to kandydat bez jakichkolwiek szans na zwycięstwo. „W PiS nie ma wiary w Karola Nawrockiego – słyszymy od polityków tej partii. Z naszych rozmów wynika, że prezydencki sondaż w Wirtualnej Polsce, który pokazuje, iż prezes IPN nie ma szans w starciu z kandydatem Koalicji Obywatelskiej, może być przesądzający” – można było przeczytać na portalu wp.pl. Tygodnik „Wprost” w następujący sposób zatytułował artykuł o bieżących sondażach: „Prawybory w KO niepotrzebne? Kandydat PiS w wyborach bez szans”. A uradowany Jan Hartman pisał w „Polityce”: „Nawrocki kandydatem PiS na prezydenta? Kaczyński sam chyba nie wierzy, że mógłby wygrać”.

Fot. @NawrockiKrx.com

eprasa.pl 90b70bd5a4

24 listopada w krakowskiej hali Sokoła Karol Nawrocki został oficjalnie zaprezentowany jako kandydat obywatelski wspierany w wyborach przez PiS. W tym samym miejscu 10 lat wcześniej została też ogłoszona kandydatura Andrzeja Dudy. Na to jednak komentatorzy nie zwrócili uwagi. Skoncentrowali się na scenariuszowych niedociągnięciach konwencji oraz na tym, że Nawrocki wygłosił przemówienie, podpierając się napisanym tekstem. Dla wielu z nich był to oczywisty znak, że już przegrał.

„Słaby jest. Błąd Kaczyńskiego" – pisał w mediach społecznościowych polityk Konfederacji Stanisław Tyszka. Niepomny swojej wpadki sprzed lat Łukasz Warzecha znów przesądzał: „No nie, muszę to napisać: na razie jest tragicznie i wystąpienie kandydata tego nie zmienia. Geriatria, usypiający pan prof. Nowak, kulejący pan prezes Kaczyński, opowiadający o jakichś reaktorach i sztucznej inteligencji, co samo w sobie jest nawet pocieszne, na koniec kandydat, który czyta z kartki i jak na razie leci tekstami przygotowanymi pod najtwardszy elektorat. Oprawa na podstawowym poziomie, w kadrze co chwila osoby 70+ (z całym szacunkiem dla starszych osób, ale to źle wygląda). W wystąpieniu pana dr. Nawrockiego dotychczas żadnego akcentu, wychodzącego naprzeciwko elektoratowi centrum czy Konfederacji. To jest DRAMAT". I jeszcze dodał, że razi go „koszmarny brak spontaniczności" Nawrockiego.

Podobny komentarz zamieścił politolog z Katowic Marek Migalski: „Na partyjnym wiecu, w obecności prezesa partii, ogłoszono... bezpartyjnego kandydata. Farsa. Tylko najtwardsi kosmici mogą to łyknąć. Mam przeczucie, że to zakończy się katastrofą". W KO panowały wtedy znakomite nastroje: „Optymistycznie na kampanię patrzy Radosław Sikorski, niedawny konkurent Rafała Trzaskowskiego w prawyborach. – Wygra w cuglach – mówi nam szef MSZ" – opisywała to „Gazeta Wyborcza". W tym samym tekście można było przeczytać: „Piotr Adamowicz z PO, który trochę zna Nawrockiego, mówi, że to człowiek bardzo zideologizowany i bokser z charakteru. – Bywa impulsywny i bardzo emocjonalny – zdradza. I dodaje: – To dobrze wróży Trzaskowskiemu. Gdy się spotkają w debacie, Nawrocki może wyjść na nieopanowanego". Przegraną Nawrockiego wróżył też Tomasz Lis: „Powód, dla którego Rafał Trzaskowski wygra według mnie wybory i będzie dobrym prezydentem, paradoksalnie mieści się w prawyborczym haśle Radka Sikorskiego: Bo czasy się zmieniają".

Co ciekawe, wstrzemięźliwością wykazał się Donald Tusk: „Każdy z rywali jest poważnym wyzwaniem, kto zlekceważy konkurentów – przegra wybory. W takich wyścigach nie ma pewniaków. Coś o tym wiemy".

SONDAŻ (NIE)PRAWDĘ CI POWIE

Pierwszy sondaż po krakowskiej konwencji nadal pozbawiał Nawrockiego nadziei. Trzaskowski miał dostać w wyborach 40,4 proc. głosów, a kandydat prawicy – tylko 24,5. Prof. Rafał Drozdowski, socjolog z uniwersytetu poznańskiego, wieszczył dzień po konwencji: „PiS z góry zakłada, że wystawiając Karola Nawrockiego do walki o prezydenturę, nie ma większych szans na sukces".

Podobnie wypowiadał się sztabowiec kandydata KO Sławomir Nitras: „Kandydatura Karola Nawrockiego jest kandydaturą wskazującą na to, że dla Jarosława Kaczyńskiego nie zwycięstwo w tych wyborach jest najważniejsze, tylko wygranie z Konfederacją. Obawa o to, że Konfederacja stanie się większą siłą na prawicy, jest dla niego większym zagrożeniem niż ewentualne przegranie prezydentury. [...] Karol Nawrocki to nie jest kandydat, na którego mogą zagłosować ludzie o umiarkowanych poglądach. Nawet takich prawicowych, umiarkowanych poglądach. Tu pojawia się więc przestrzeń dla Rafała Trzaskowskiego i dla Szymona Hołowni kosztem PiS".

„Nie zgadzam się z analizą, że Nawrocki to kandydat robiony pod Konfederację i że może mieć dobry wynik dzięki PiS–Konfa. Konfa ma własnego ambitnego i popularnego młodego wilczka, napalonego na dobry wynik, przy którym sztywny, z charyzmą gwoździa, prowadzony na sznurku przez Kaczyńskiego i dukający z kartki Nawrocki nie jest atrakcyjną opcją. Poza tym dla większości Konfy mniej ważna jest II wojna i nacjonalizm niż niskie podatki, a co tu Nawrocki im da? Więc bez defetyzmu, obozie 15 X!" – cieszył się prof. Wojciech Sadurski. Dzień po konwencji smutny los dla Nawrockiego przewidywał również Kazimierz Marcinkiewicz: „Jestem co do tego absolutnie przekonany, że Nawrocki nie będzie kandydatem. Ma 10 proc. szans. Jeśli rzeczywiście te trzy miesiące przepracuje niesamowicie i jeśli poradzi sobie z tym ciężarem brutalnej walki, no to być może stanie do boju. Ale ja w to absolutnie wątpię".

Podobnie mijały następne dni. 26 listopada „Super Express" zamieścił tytuł: „Złe wieści dla PiS. Karol Nawrocki przegrywa wybory w drugiej turze. Nawet z Hołownią!". Tego samego dnia prof. Ewa Marciniak, dyrektor CBOS, oceniała: „Poparcie dla Karola Nawrockiego wśród wyborców PiS jest przeciętne".

Zapomniane dzisiaj zdarzenie, czyli jakieś nieporozumienie kandydata Nawrockiego z pytającymi dziennikarzami, urastało do rangi zwiastuna ostatecznej klęski. „Kandydat Nawrocki uciekający przed dziennikarzami koło pomnika bohaterów AK. Absolutna kampanijna katastrofa. A może to tylko złe dobrego początki" – cieszył się Tomasz Lis. Publicysta „Newseeka" Jakub Majmurek wróżył katastrofę wyborczą całej prawicy: „To wina Kaczyńskiego. Nawrocki musi odegrać swoją rolę, bo na lepszego kandydata nie pozwala prezes". Dodawał pytanie, czy Jarosław Kaczyński nie mógł znaleźć lepszego kandydata: „To wszystko, na co PiS stać?". Bliski współpracownik Romana Giertych i idol Silnych Razem Jan Piński podobnie to oceniał w swoim kanale internetowym: „Wielki błąd Kaczyńskiego. Karol Nawrocki, kandydat PiS, pogrąża się z każdym wystąpieniem publicznym".

W tamtym czasie Nawrocki rzeczywiście wypadał w sondażach dużo gorzej niż Trzaskowski, więc trudno posądzać kogokolwiek, że głównym celem była dyskredytacja kandydata prawicy. Wygląda na to, że prorocy jego klęski święcie wierzyli w to, co mówili. „Wszyscy już widzą, że to jest kandydat niestety słaby, widzimy, że to

eprasa.pl 90b70bd5a4

jest człowiek, którego przede wszystkim poglądów nie znamy i to jest trochę niebezpieczne. Nie wiemy, co on właściwie chce zrobić" – perorował w TVN24 Tyszka, zarzekając się, że Nawrocki „zostanie wymieniony" na innego kandydata PiS. Ruszyła wtedy taka narracja. Na początku grudnia 2024 r. w „Newsweeku" Andrzej Stankiewicz pisał, że w PiS są siły, które chcą zatopić Nawrockiego: „Prezydencka nominacja dla Karola Nawrockiego to dowód na to, że Kaczyński wcale nie jest wielkim strategiem i nie ma przygotowanych sześciu ruchów naprzód". Miesiąc później polityk Lewicy Robert Biedroń mówił w czasie wywiadu dla Onetu: „Rozmawiałem z kilkoma politykami PiS. Frustracja narasta. Oni widzą, że kampania im nie idzie, że nie tak miała wyglądać, że Karol Nawrocki wpada z jednych turbulencji w drugie. Orłem nie jest i marginalizuje PiS". To samo dopowiadali dziennikarze tego portalu – wspomniany już Stankiewicz i jego koleżanka Dominika Długosz: „W PiS coraz wyraźniej dostrzegane są słabości Karola Nawrockiego. Ostatnia wypowiedź dotycząca aborcji to spektakularny przykład – kandydat wyraźnie stracił kontrolę nad tym, co mówi i zaprzeczył sam sobie".

U niektórych zaczęła się pojawiać delikatna refleksja. 15 stycznia politolog Migalski napisał: „Nawrocki – beznadziejny kandydat ze świetną (na razie) kampanią. Trzaskowski – świetny kandydat z beznadziejną (na razie) kampanią". Zapewne z takimi obserwacjami wiąże się zamówienie sondażu przez „Rzeczpospolitą" z pytaniem. „Czy KN ma szansę wygrać wybory?". Został opublikowany 19 stycznia: 42,4 proc. pytanych odpowiedziało, że nie ma szansy, a 31,9 proc., że Nawrocki ją ma. Najciekawsza w tym sondażu była specyfikacja ankietowanych. Okazuje się, że bardziej wykształceni, bogaci i mieszkańcy wielkich miast są bardziej omylni niż biedni, gorzej wykształceni i żyjący na wsi: „Zwycięstwo Karola Nawrockiego za niemożliwe częściej uznają mężczyźni (46 proc.) niż kobiety (40 proc.). Podobne zdanie wyraża jedna na dwie osoby po 50. roku życia i blisko połowa badanych posiadających wyższe wykształcenie (48 proc.). Odsetek respondentów, którzy nie widzą szans Karola Nawrockiego na zwycięstwo, wzrasta wraz z dochodami (38 proc. – osoby o dochodach do 3 tys. zł netto, 51 proc. – osoby o dochodach powyżej 7 tys. zł netto). Ze względu na klasę miejsca zamieszkania takie zdanie najczęściej podzielają badani mieszkający w miastach liczących ponad 500 tys. osób (50 proc.)".

POPŁOCH I DYSKREDYTACJA

Dlaczego tylu ludzi uważało, że Nawrocki nie ma szans? „Karol Nawrocki jest niewybieralny na prezydenta. Jego kandydowanie ma sens ze względu na spór z Konfederacją, a porażka nie będzie dla PiS tak kosztowna i dotkliwa, jak kandydata partyjnego" – przekonywał politolog dr Rafał Chwedoruk w tej samej „Rzeczpospolitej". Sondaże nadal faworyzowały Trzaskowskiego. Według Opinii24 z 27 stycznia cieszył się on poparciem 35,3 proc. ankietowanych, podczas gdy Nawrocki – tylko 22,1 proc. Ale tego samego dnia ukazał się sondaż OGP z pytaniem o głosowanie w drugiej turze. Tu Nawrocki wygrywał 50,6 do 49,4 proc. Czyli prawie tyle ile głosów padło 1 czerwca (50,9 do 49,1 proc.). Był to pierwszy taki sondaż.

> Nazwisko Karola Nawrockiego jako kandydata prawicy w wyborach prezydenckich zaczęło krążyć kilka tygodni przed jego oficjalnym ogłoszeniem. Od razu pojawiły się opinie, że to kandydat bez jakichkolwiek szans na zwycięstwo

Od tego momentu lekceważenie Karola Nawrockiego zaczęło wynikać nie tyle z przekonań jego przeciwników, ile z celowej chęci jego zdyskredytowania. Trzy dni po sondażu OGP w „Newsweeku" ukazał się tekst o popłochu w sztabie Nawrockiego: „G***iana ta nasza kampania, jest strasznie. Nie wiadomo, dla kogo ta kampania ma być. Kogo chcemy przekonać? Najbardziej to samych siebie na Twitterze" – miał narzekać jeden z polityków PiS. Oczywiście anonimowy. Pojawiło się tam zdanie, że Mentzen „depcze po piętach Nawrockiemu".

Zaczęła się więc narracja, że nie warto głosować na kandydata prawicy, bo ma małe szanse na wejście do drugiej tury wyborów. W końcu lutego Onet pisał: „Sławomir Mentzen wskoczył na pozycję wicelidera w wyścigu o urząd prezydenta, wyprzedzając tym samym Karola Nawrockiego – wynika z najnowszego sondażu SW Research dla »Wprost«. To pierwsze takie badanie, w którym kandydat Konfederacji wyprzedził kandydata PiS". Ważny polityk Konfederacji Przemysław Wipler zapowiadał: „Wyborcy PiS dziś zaczynają racjonalnie wybierać Mentzena, bo zwyczajnie ma on większe szanse, by pokonać Trzaskowskiego w drugiej turze niż najlepszy możliwy kandydat PiS".

Nastąpił wysyp stosownych sondaży. 10 marca Pollster dla „Super Expressu" podawał, że w drugiej turze Mentzen dostałby 22 proc. głosów, a Nawrocki – 21 proc. Dwa tygodnie później UCE Research dla Onetu: „49,51 proc. Polaków uważa, że kandydat Konfederacji na prezydenta Sławomir Mentzen ma szansę wejść do II tury wyborów prezydenckich. Przeciwnego zdania jest 33,14 proc. ankietowanych". Finalnie Sławomir Mentzen otrzymał 14,81 proc. głosów w pierwszej turze, a Karol Nawrocki – 29,5 proc.

Obecnie prezydent Karol Nawrocki wygrywa wszystkie rankingi zaufania do polityków. W roli prezydenta pozytywnie ocenia go ponad połowa Polaków (57,5 proc. w końcu września). Szczególnie dobre oceny Nawrocki zbiera w najmłodszym pokoleniu obywateli, czyli w kluczowej dla Konfederacji grupie wyborczej.

eprasa.pl 90b70bd5a4

W bańce wielkiego miasta

Najbardziej szczelna bańka, w której żyje wielkomiejski leming, to jego przekonanie o własnej wyjątkowości. Sądzi, że jest elitą, solą tej ziemi, którą pospólstwo powinno podziwiać, naśladować i oddawać jej hołdy



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Truizmem byłoby stwierdzenie, że polskie społeczeństwo jest głęboko podzielone. Gdyby zapytać kogokolwiek, gdzie przebiega główna oś podziału, to zapewne bez większego wahania wskazałby na politykę. I miałby dużo racji, ale przecież polityka to nie jedyna sfera, która rozpala negatywne emocje. Co więcej, być może nie byłoby u nas tak silnej polaryzacji politycznej, gdyby nie fakt, że Polacy tworzą równocześnie dwie odrębne grupy pod względem tożsamościowym i ekonomicznym. Nie ma sensu wdawać się tutaj w jałową debatę, co było pierwsze – jajko czy kura, ale na pewno warto zauważyć, że te podziały nakładają się na siebie i wzajemnie napędzają.

W potocznym obiegu mówi się niekiedy, że mieszkają u nas dwie nacje: Polacy i unijczycy. To oczywiście publicystyczne uproszczenie – dość zresztą krzywdzące dla jednej ze stron, której polskość jest podawana w wątpliwość – ale zarazem całkiem nieźle oddające istotę podziału. Bo oto z jednej strony mamy ludzi, którzy w wymiarze politycznym sympatyzują z prawicą (a w każdym razie daleko im do liberalnej lewicy), kulturowo są mocno przywiązani do polskiej tradycji, a ekonomicznie sytuują się raczej wśród średnio lub gorzej zarabiających. Po drugiej stronie są bogate elity o liberalnych poglądach i silnym poczuciu odrębności od reszty społeczeństwa. Niekiedy – co nie do końca jest prawdą – pierwszą grupę utożsamia się z prowincją, a drugą z wielkimi miastami.

Obie grupy nie przenikają się nawzajem, obdarzając się nieufnością, jednak nasze umowne „wielkie miasta" są o wiele bardziej wyizolowane niż „prowincja". Mając teoretycznie znacznie więcej narzędzi i możliwości poznawania świata, wolą poprzestać na własnych wyobrażeniach i stereotypach. W tym sensie ich ogląd rzeczywistości często jest kaleki, wręcz prymitywny. To groźny defekt, bo mówimy przecież o grupie ludzi, która skupia w swoich rękach najwięcej zasobów finansowych, a więc także władzy.

NARODZINY LEMINGA

Stereotypom ulegamy wszyscy, bez względu na nasz światopogląd czy sympatie polityczne. Inna rzecz, że niektóre z nich zostały nam celowo wdrukowane. Tak jest np. z „młodymi, wykształconymi z wielkich miast". W rzeczywistości są to wyrobnicy zagranicznych korporacji, które ćwierć wieku temu zakładały swoje oddziały w Polsce i wabiły pracowników dużymi pieniędzmi oraz szybką ścieżką awansu. Większość tych „korporacyjnych wilczków" nie jest już młoda. Nie są też oni szczególnie wykształceni i zazwyczaj wcale nie pochodzą z wielkich miast. Tej formułki uparcie jednak używano do opisania liberalnego elektoratu PO, aby wyróżnić go spośród reszty społeczeństwa i wykazać w ten sposób, że ci, którzy popierają Platformę, są lepsi od innych.

Miał to być – i był – magnes dla wszystkich aspirujących, którzy oderwali się od własnych korzeni i próbowali dołączyć do wielkomiejskiej elity. Zwykle nieskutecznie, ale w niczym im to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie – im progi stawały się wyższe, z tym większą gorliwością skakali i zwierali szeregi, aby zasłużyć na upragniony wstęp do salonu.

> „Młodzi, wykształceni z wielkich miast" są rzeczywiście solą III RP, symbolem egoistycznego neoliberalizmu, rozpadu wspólnoty i kryzysu tożsamości

Tych ludzi trudno posądzać o jakąkolwiek przenikliwość intelektualną, a ich główna przewaga nad resztą społeczeństwa to liczba zer na koncie w banku. W ten sposób w ciągu ostatnich 30 lat wytworzyła się w Polsce i zasiedliła wielkie miasta specyficzna kasta, nazywana przez jednych – zupełnie nietrafnie – klasą średnią, a przez innych – lemingami.

Leming jest jedynie częścią naszego umownego „wielkiego miasta" – wraz z liberalną inteligencją, kawiarnianą hipsterką i licznymi przedstawicielami wolnych zawodów – ale stanowi najbardziej wpływową grupę. Będąc najniżej w tej hierarchii, jest niepewny własnej pozycji, cały czas aspiruje do wyższej kategorii i krzykliwie zaznacza swoją obecność. Gdy myślimy o stereotypowym mieszkańcu wielkiego miasta, zazwyczaj wyobrażamy sobie leminga.

BAŃKA WSZYSTKICH BANIEK

Mieszkaniec dużego miasta – choć bywa ofiarą stereotypów (bo przecież większość nie mieszka w strzeżonych apartamentowcach i nie każdy jest lemingiem) – również sam im ulega. Ze środka wielkomiejskiej bańki niewiele przecież widać. Jednak leming – z jego mocno wyrywkową wiedzą, pogardą wobec otoczenia i dość specyficznym trybem życia – jest tu ślepcem szczególnym.

Ktoś, kto za granicą leży na plaży lub zalicza muzea (bo aby je zwiedzać, to trzeba coś rozumieć), niewiele się dowie o świecie. Tak samo ktoś, kto każdego dnia wyjeżdża do pracy autem i jedzie nim z jednego garażu podziemnego (tego w domu) do drugiego (tego w pracy), nie wie nawet, jaka jest temperatura powietrza. Jak więc wymagać od takiego człowieka jakiejkolwiek wiedzy? Co może on powiedzieć ciekawego o świecie, własnym kraju, życiu zwykłych ludzi, skoro nie jest w stanie określić, czy za oknem jest ciepło, czy zimno? Otaczająca go rzeczywistość jest jedynie niewyraźnym tłem dla jego codziennej aktywności.

Każdy normalny człowiek popadłby z tego powodu we frustrację, ale dla leminga to żaden problem. Skoro sam niczego nie widzi, korzysta ze zmysłu stadnego, czyli z tego, co mówią jego znajomi i co podsuwają mu liberalne media. I tak we własnej głowie tworzy zupełnie wypaczony obraz rzeczywistości.

Najbardziej szczelna bańka, w której żyje wielkomiejski leming, to jego przekonanie o własnej wyjątkowości. Sądzi, że jest elitą, solą tej ziemi, którą pospólstwo powinno podziwiać, naśladować i oddawać jej hołdy. Ociera się przecież o lepsze towarzystwo, jest mądrzejszy i bardziej oświecony od innych, a miarę tych sukcesów stanowi zwykle grubość

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 90b70bd5a4

jego portfela. To właśnie złudzenie własnej elitarności jest podstawową przyczyną wszystkich innych błędów w ocenie rzeczywistości.

STRACH PRZED ZMIANĄ

Jeśli wmówimy komuś, że jest lepszy od innych – a tak właśnie działa na „wielkie miasta" liberalna propaganda – to nie tylko wzmocni się jego przekonanie o słuszności dokonanych wyborów, lecz także łatwo będzie wzbudzić w nim pogardę do otoczenia. Taka manipulacja przynosi całkiem pokaźne zyski polityczne i nadaje obecnej polaryzacji zupełnie inne, kulturowe, oblicze.

Leming nie spiera się o poglądy, bo tak naprawdę ich nie ma, nie dyskutuje merytorycznie, bo brakuje mu wiedzy – on po prostu gardzi drugą stroną. W ten sposób walczy cały obóz liberalny – nie siłą argumentów, lecz podgrzewaniem negatywnych emocji. Przemysł pogardy został zbudowany właśnie na tych podstawach.

Jego twórcami były elity późnego PRL – zarówno ci ze strony postkomunistycznej, jak i część tych ze strony solidarnościowej, którzy uważali, że ich pozycja jest zagrożona przez pospólstwo uwolnione spod totalitarnej tyranii. Odpowiedzią na to zagrożenie było masowe pranie mózgów, ułatwione dzięki monopolowi medialnemu i finansowemu.

Oczywiście nie byłoby to takie proste, gdyby nie „wielkie miasta", gdzie udało się znaleźć liczne grupy ludzi wykorzenionych ze swoich środowisk i poszukujących nowej tożsamości. Bardzo często byli to ci, którzy przybywali do miast za karierą i dużymi pieniędzmi. Spragnieni dobrego słowa i poszukujący uzasadnienia dokonanych wyborów życiowych, stali się łatwym celem dla liberalnej propagandy. Uwierzyli w to, że są przyszłością Polski, jej najlepszym pokoleniem i odwdzięczali się za te pochlebstwa bezwzględnym oddaniem i polityczną sympatią. No bo jak możesz nie wierzyć komuś, kto ci mówi, że jesteś najlepszy i że masz rację? A skoro jesteś najlepszy i masz rację, to wszyscy pozostali są gorsi i głupsi.

Liberalne elity III RP obroniły swoją pozycję, umiejętnie żerując na próżności „młodych, wykształconych z wielkich miast". Ale nie tylko. Leming jest najczęściej człowiekiem z awansu, który wyrywając się z rodzinnego środowiska, postawił w ten sposób na szali całą swoją przyszłość. Ktoś taki nie ma już odwrotu – zajął już swoje miejsce w hierarchii społecznej i nie pozwoli go sobie odebrać. Dlatego boi się wszelkich zmian społecznych, dopuszczenia innych do głosu lub do pieniędzy. Będzie stał w pierwszym szeregu obrońców starego porządku, bo – podobnie jak twórcy obecnego reżimu – czuje się osobiście zagrożony. To scementowało sojusz między liberalnymi elitami III RP a „młodymi, wykształconymi z wielkich miast". Trudno się zatem dziwić, że leming jest zainfekowany pogardą i nienawiścią do drugiej strony.

> Ze środka wielkomiejskiej bańki niewiele widać. Jednak leming – z jego mocno wyrywkową wiedzą, pogardą wobec otoczenia i dość specyficznym trybem życia – jest tu ślepcem szczególnym

ALBINOS

Pogarda utrudnia ogląd rzeczywistości. Jeśli kimś gardzimy, to nie próbujemy go słuchać ani go zrozumieć. Dlatego liberalne „wielkie miasta" żyją w kompletnym odklejeniu od świata, a wszystko, co o nim wiedzą (choć trudno to nazwać wiedzą), pochodzi z przekazów liberalnych mediów.

Nie będą się więc przejmować pełzającym kryzysem – przynajmniej do czasu, gdy sami go nie odczują. Ale nawet wtedy nie wzbudzi to ich empatii czy poczucia wspólnoty z innymi. Bo przecież inni w pełni zasłużyli na swój marny los. Zwykły człowiek, którego nie stać na przyzwoite ubranie lub na dentystę, nie jest wart uwagi, krzywda stanie się dopiero wtedy, gdy leming nie pojedzie na Malediwy. On jest przecież lepszy od innych i „ciężką pracą" zasłużył na dobre życie.

Inni nie pracują ciężko. Tylko markują, że coś robią, a tak naprawdę wyciągają łapę po 800+, aby je potem przepić w jakiejś melinie. A leming przez całe życie piął się po szczeblach korporacyjnej kariery, mówi po angielsku, potrafi obsługiwać Excela, robić projekty – to umiejętności niedostępne dla pospólstwa, wręcz magiczne. Jego wysokie zarobki są zatem całkowicie uzasadnione. Od nich płaci podatki i nie życzy sobie, żeby potem z tych podatków opłacać nierobów.

Postawa leminga przywodzi na myśl pewną znaną prawidłowość. W każdym środowisku często pojawia się ktoś, kto uchodzi za osobę odróżniającą się od innych. Coś jak albinos. Leming jest właśnie takim albinosem – kimś, kto jako pierwszy w dziejach rodu skończył studia, nauczył się języka obcego i ma pieniądze. Dlatego jest dumny z rzeczy, które gdzie indziej wydają się oczywiste i nie wzbudzają żadnej sensacji. Sądzi, że powinien być wyróżniony i uprzywilejowany z tak błahego powodu. Jego pogarda dla otoczenia bierze się więc również z błędnego przekonania o własnej wyjątkowości.

W pewnym sensie leming ma jednak rację. Otóż „młodzi, wykształceni z wielkich miast" są rzeczywiście solą III RP, symbolem egoistycznego neoliberalizmu, rozpadu wspólnoty i kryzysu tożsamości. Stanowią także jedno ze źródeł obecnej polaryzacji życia publicznego, której skala w zastraszającym tempie niszczy państwo.

Przypominają nieco – przy zachowaniu wszelkich proporcji – swoich peerelowskich poprzedników: aparatczyków partyjnych, trepów czy milicjantów, którzy byli filarami reżimu komunistycznego. Tamci nie zdołali zapobiec zachodzącym zmianom. Leming także nie ma takiej możliwości, zwłaszcza że jest coraz starszy. „Młodzi, wykształceni z wielkich miast" znikną wraz z III RP. Jedyne pytanie brzmi: kto będzie pierwszy? Oni czy III RP?

eprasa.pl 90b70bd5a4

Szkoła to nie szpital

Wygląda, jakby obecne władze oświatowe uznały, że od teraz najważniejszym zadaniem szkoły staje się wsparcie zdrowia psychicznego uczniów, a nauczanie zostaje zastąpione instrukcją obsługiwania ich emocji



Fot. ©Przemysław Keler/KPRP

Z Antonim Buchałą, profesorem oświaty, polonistą i wicedyrektorem w LO Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców w Libiążu, prezesem Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców, członkiem Rady Rodziny, Edukacji i Wychowania przy Prezydencie RP (2022–2025), rozmawia Dorota Łosiewicz

W przekazie Ministerstwa Edukacji Narodowej coraz częściej słyszymy, że nie edukacja, a dobrostan uczniów jest najważniejszy. Czy szkoła faktycznie powinna być miejscem skupionym na stanie psychicznym uczniów?

Antoni Buchała: Od co najmniej kilkunastu lat daje się zaobserwować ewolucję szkoły z instytucji, w której dzieci i młodzież zdobywają wiedzę o świecie zewnętrznym, w placówkę opiekuńczą. Jeszcze 5–10 lat temu praktyka szkolna akcentowała jaką taką równowagę między zadaniami edukacyjnymi i wychowawczymi oraz działaniami, które miały zapewnić uczniom bezpieczeństwo. Od czasu nauczania zdalnego w trakcie tzw. pandemii coraz więcej mówi się o konieczności wsparcia psychicznego. Za tym poszły odpowiednie zmiany w prawie szkolnym: od 2022 r. zalecano tworzyć etaty dla psychologów, a od poprzedniego roku szkolnego ich zatrudnienie jest obowiązkowe. Można zrozumieć intencje ustawodawcy, wynikające z tego, że dużo się mówi o nadwrażliwości i braku odporności psychicznej dzieci i młodzieży, pokoleniu płatków śniegu itd. Nie podważając kompetencji psychologów ani nie kwestionując sensowności ich obecności w szkole, można jednak zauważyć, że wraz ze zwiększającą się obecnością i dostępnością porad psychologicznych zwiększa się zapotrzebowanie na nie: tych problemów nie tylko nie ubywa, lecz wręcz przybywa. Jest to skutek paradoksalny, podejrzewam, że niezamierzony ani przez ustawodawcę, ani przez samych psychologów. Jednak te zmiany przyspieszyły obserwowaną już wcześniej tendencję społeczną – mianowicie swoistą modę na potrzebę porad psychologicznych.

Może jednak młodzież tego potrzebuje?

Chciałbym mocno podkreślić, że w żadnym wypadku nie podważam kompetencji psychologów ani nie kwestionuję sensowności ich obecności w szkole, nie bagatelizuję też autentycznych problemów psychicznych wymagających leczenia, np. coraz częstszych przypadków depresji wśród młodzieży. Zauważam jednak, że wraz ze zwiększającą się obecnością i dostępnością porad psychologicznych rośnie zapotrzebowanie na nie – tych problemów nie tylko nie ubywa, lecz wręcz przybywa. W pewnych środowiskach w dobrym tonie jest możliwość pochwalenia się pójściem po poradę albo zapisaniem na cykliczną terapię. Anegdotyczne – ale wcale nie takie rzadkie – są przypadki, że kiedy dziewczyna pokłóci się z koleżanką albo cierpi z powodu rozstania z chłopakiem, mama doradza jej wizytę u psychologa. Uczeń przewrażliwiony albo po prostu wycofany, nieśmiały, którego otoczymy bańką nietykalności, wpadnie raczej w alienację społeczną, która się będzie pogłębiać. Ale ten sam uczeń traktowany na równi z innymi, ze stopniowo zwiększanymi wymaganiami, ma większą szansę odblokować się i zacząć normalnie funkcjonować.

Dodatkowym uzasadnieniem popularności porad psychologicznych

eprasa.pl 90b70bd5a4

wśród młodzieży jest zanik praktyk religijnych. Dawniej wiele problemów rozwiązywało się w konfesjonale. Rolą psychologa powinna być przede wszystkim pomoc uczniowi w dostosowaniu go do zasad obowiązujących w szkole (i szerzej: w społeczeństwie), a nie dostosowywanie szkoły do specyficznych potrzeb ucznia. Przede wszystkim jednak uczeń potrzebuje poczucia sensu życia, bo to ono pomaga przezwyciężyć słabości, a nie tylko wsparcia psychicznego, które może go utwierdzać w jego słabościach i czynić niesamodzielnym.

Zdrowie psychiczne jest też stawiane na pierwszym miejscu w przypadku nowego przedmiotu, jakim jest edukacja zdrowotna.

To prawda. W roku ubiegłym i obecnym w związku z dyskusją o nowym przedmiocie edukacja zdrowotna temat zdrowia psychicznego urósł do rangi naczelnego zagadnienia, którym powinna się zajmować szkoła. Co ciekawe, zwolennicy tego przedmiotu nie podnoszą już wagi tematyki tzw. zdrowia seksualnego, nawet bywają wobec niej krytyczni, jednak twierdzą, że nowy przedmiot jest bardzo ważny i niezwykle potrzebny ze względu na obszerne treści odnoszące się właśnie do zdrowia psychicznego. Podstawy programowe tego przedmiotu naszpikowane są hasłami typu: dbanie o własny dobrostan, w tym dobrostan psychiczny, bezpieczeństwo emocjonalne, pogotowie emocjonalne, wsparcie psychiczne, oswajanie stresu itp. Dlatego wielu dyrektorów szkół, nauczycieli, rodziców i uczniów uważa, że jest to przedmiot wręcz niezbędny, bo wychodzi naprzeciw realnym potrzebom dzieci i młodzieży. Wygląda, jakby obecne władze oświatowe uznały, że od teraz najważniejszym zadaniem szkoły będzie wsparcie zdrowia psychicznego uczniów, a nauczanie zostanie zastąpione instrukcją obsługiwania ich emocji.

A czy pojawiający się w podstawach programowych edukacji zdrowotnej termin „sprawczość" nie pogorszy ich stanu? A jeśli poczują, że brak im sprawczości?

No właśnie – uczniowie mają być wdrażani do „poczucia sprawczości". Co zabawne, ma to być również sprawczość w odniesieniu do klimatu. Wydaje się, że wychowywanie młodego człowieka do przekonania o jego sprawczości może kolidować z nabyciem dwóch innych predyspozycji – wdzięczności i pokory. Przecież rozwój życiowych wypadków nie zawsze okazuje się zgodny z założonymi planami, dla których wdrożono następnie niezawodne procedury zapewniające ich perfekcyjną realizację, prowadzącą nie tylko do poczucia sprawczości, lecz także sprawczości faktycznej. Często się zdarza, iż życie obdarza człowieka hojniej i inaczej, niż zaplanował – wtedy naturalną reakcją powinna być wdzięczność. Ale nieraz się okazuje, że niejeden precyzyjnie zaplanowany cel – jak to w życiu – pozostaje niezrealizowany, niespełniony. Po prostu człowiek nie zawsze musi wszystko „ogarniać". Ale jeżeli człowiek nie ma w sobie pokory wobec opatrzności (lub losu), taka sytuacja może wywołać dodatkowe rozczarowanie i frustrację. Jakże dalekie od propozycji dążenia do sprawczości jest – niezmiennie poważnie traktowane przez wielu polonistów – przesłanie Herbertowskiego Pana Cogito: „Strzeż się jednak dumy niepotrzebnej / oglądaj w lustrze swą błazeńską twarz / powtarzaj: zostałem powołany – czyż nie było lepszych".

> Jeżeli nie powrócimy do tradycyjnego rozumienia słowa „wychowanie", autonomię utracą nauczyciele i utraci ją szkoła jako instytucja edukacyjna i wychowawcza

Kiedyś szkoła miała uczyć i wychowywać.

Równolegle z procesami opisanymi wyżej przedefiniowaniu uległo pojęcie wychowania: to już nie pomoc w kształtowaniu charakteru i rozwoju osobowości, aby młody człowiek uczył się odróżniać dobro od zła i prawdę od kłamstwa i aby odważnie stawał po stronie dobra, prawdy oraz sprawiedliwości, tylko instrukcja przeciwdziałania przemocy i uzależnieniom. Oto garść przykładów nazw różnych programów wychowawczych, szkoleń i materiałów kierowanych do szkół tylko w ciągu pierwszych kilku tygodni bieżącego roku szkolnego, w tym z zalecenia MEN: „Tydzień przeciwdziałania przemocy rówieśniczej w szkole", „Dzień zdrowia psychicznego" (uczniowie przez kilka godzin nie biorą udziału w zajęciach, tylko uczestniczą w warsztatach psychoedukacyjnych oraz spotkaniach na temat sztuki i emocji oraz kreatywności jako sposobu wyrażania siebie, uczą się dbania o zdrowie psychiczne poprzez opanowanie sztuki relaksacji i technik wyciszenia). Ze strony startowej dziennika elektronicznego Librus: „Porozumienie bez przemocy", „Stres w pracy nauczyciela – jak opiekować się sobą", „Hejt, mowa nienawiści i przemoc rówieśnicza w szkole", „Cyberprzemoc – specyfika, reagowanie, zapobieganie", „Uczniowie z traumą – co powinien wiedzieć nauczyciel", „Psychoseksualność – przestępczość, reagowanie, profilaktyka".

To nie są ważne sprawy?

Jeżeli nie powrócimy do tradycyjnego rozumienia słowa „wychowanie", autonomię utracą nauczyciele i utraci ją szkoła jako instytucja edukacyjna i wychowawcza. Ta opinia w żadnym przypadku nie jest deprecjonowaniem psychologii ani kwestionowaniem osiągnięć medycyny. Szkoła to bowiem nie szpital ani poradnia profilaktyczno-terapeutyczna, tylko miejsce poszukiwania i przekazywania prawdy o świecie; uczeń to nie pacjent, lecz podmiot dążący do rozwoju intelektualnego, etycznego i estetycznego. Wreszcie – nauczyciel nie jest lekarzem lub terapeutą, tylko przewodnikiem na drodze prowadzącej do prawdy.

Jak kultura woke wpłynęła na rozumienie edukacji kultury?

Tradycyjne rozumienie edukacji, szczególnie w zakresie języka polskiego

Autopromocja

eprasa.pl 90b70bd5a4

i historii, zakładało udział uczniów w przedsięwzięciach kulturalnych: szkoła organizowała wyjścia do teatru, kina, muzeów, do filharmonii. W ten sposób kultura stawała się niejako przedłużeniem działalności edukacyjnej – uczeń nabywał wiedzę o literaturze i historii, a potem miał okazję zobaczyć, jak one funkcjonują w obiegu społecznym. W praktyce edukacyjnej kontakt z kulturą miał dać uczniom narzędzia umożliwiające rozumienie świata i człowieka na innej płaszczyźnie, niż jest to możliwe za pomocą narzędzi, które daje wiedza przyrodnicza lub matematyczna. Jednak wraz z postępami ideologii woke instytucje kultury na całym świecie stają się przestrzenią dążeń równościowych i emancypacyjnych. Kultura w obecnym kształcie ma dać człowiekowi narzędzia wyzwolenia od różnych tradycyjnych ról i tożsamości, w tym wyzwolenia od tradycji narodowych. Oczywiście szkoła nie musi brać udziału w takich przedsięwzięciach, ale wiadomo, że wielu polonistów prowadzi swoich uczniów na „zdekonstruowane" „Dziady" czy „Wesele". Ale nawet jeżeli uczeń nie pójdzie do teatru lub na wystawę, to teatr lub wystawa przyjdzie do niego. Oczywiście to nie jest żadna nowość, niektóre szkoły od dawna korzystały z oferty objazdowych teatrów lub zespołów muzycznych, poszerzając zagadnienia z lekcji formami artystycznymi. Ale od niedawna owe formy artystyczne są „sprzedawane" szkołom jako działania o znaczeniu profilaktycznym lub jako element wsparcia psychicznego. Standardem staje się spektakl połączony z warsztatami psychologicznymi na kanwie przedstawienia. Również sama twórczość artystyczna, szczególnie w dziedzinie teatru i sztuk plastycznych, jest anonsowana i opisywana jako dziedzina autoterapeutyczna albo emanacja tłumionych emocji czy kanał ekspresji podświadomych lęków. Jak wynika z tytułów spotkań oferowanych przez biblioteki, pisanie książek może być literacką autoterapią, a ich czytanie – biblioterapią. Co prawda niektóre dzieła sztuki współczesnej faktycznie wyglądają jak żywcem wzięte z kliniki psychiatrycznej, ale przypisywanie terapeutycznych motywacji wybitnym twórcom dawnych epok, co jest na porządku dziennym, musi być traktowane co najmniej jako nadużycie. Na naszych oczach szkoła traci swój tradycyjny charakter jako miejsce edukacji i wychowania w galopującym tempie. Dzieje się to z poparciem władz oświatowych wszystkich szczebli, samorządów, a także organizacji pozarządowych, ośrodków szkoleniowych oraz szerokich kręgów społeczeństwa. Szeroko pojęta kultura traci autonomię, bo w społecznej świadomości zarówno literatura, teatr, jak i muzyka czy sztuki plastyczne stają się dodatkami do przedefiniowanej edukacji i wychowania, czyli narzędziami terapii psychicznej lub wsparcia emocjonalnego.

Jak to wpływa na uczniów?

Wszystkie wyżej opisane zjawiska i procesy sprawiają, że uczniowie zatracają swoją samodzielność i podmiotowość, bo z każdym problemem kierowani są do specjalistów. Prywatny terapeuta, prywatny dietetyk, osobisty trener, prywatny mentor, prywatny nauczyciel (plaga korepetycji!) – to sygnały utraty suwerenności indywidualnej. Wspólnota społeczna i narodowa szybko przekształca się w tłum wyalienowanych pacjentów poszukujących indywidualnego wsparcia. A państwo, awansujące – zgodnie ze społecznymi oczekiwaniami wtłaczanymi od ławy szkolnej – do godności Wielkiego Terapeuty zapewne chętnie zaopiekuje się każdym obywatelem z osobna i zaaplikuje mu skrojoną na jego indywidualną miarę zestawem „wyzwalających" zabiegów. Wydaje się, że obecny stan kultury upoważnia do przyznania prawdziwości twierdzeniu, że teatr szkolny jest ważniejszy od teatru narodowego. Szkolny teatr, szkolny sport, szkolny chór to dziedziny, w których każdy uczeń może się odnaleźć i dostrzec sens tego, co oferuje mu szkoła. Więcej – szkoła może w nich odnaleźć instrumenty swojej działalności, przez którą może odbudować poczucie sensu swojego istnienia.



eprasa.pl 90b70bd5a4

Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest



Dziennikarski duet bez owijania w bawełnę komentuje najważniejsze wydarzenia dnia. Ich program to wielki hit dynamicznie rozwijającej się telewizji wPolsce24

Ona była bohaterką najgłośniejszego w sezonie jesiennym transferu na rynku telewizyjnym. Po 10 latach w TV Republika Emilia Wierzbicki zaczęła pracę w telewizji wPolsce24. A w przerwie pomiędzy dwiema telewizjami była jeszcze rola, w której poznali ją chyba wszyscy Polacy – rzecznikowanie Karolowi Nawrockiemu w czasie niezapomnianej, zwycięskiej kampanii prezydenckiej.

On jest dziennikarzem z blisko 30-letnim stażem, specjalizującym się w tematyce prawnej. Wojciech Biedroń od dekady pracuje dla Grupy Medialnej Fratria. Doskonale znają go państwo z łamów naszego tygodnika, a także portalu wPolityce.pl, gdzie ujawnia afery i obnaża wpadki polityków. Biedroń był też jednym z pomysłodawców kultowego już, emitowanego w soboty o godz. 16.00 na antenie wPolsce24, programu „Bez spiny".

Emilia i Wojciech połączyli siły. Ich „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" wystartował wraz z jesienną ramówką najdynamiczniej rozwijającej się stacji w Polsce. To jedna z kilku nowych propozycji programowych, oprócz porannych rozmów doskonale znanego naszym czytelnikom Marcina Wikły, „Bez pardonu" Anny Pawelec i Dariusza Matuszaka (poniedziałek–piątek o godz. 14.00) czy „Piątki" Olivera Pochwata (poniedziałek–piątek o godz. 13.25). W październiku dołączyli do nich Marta Radziach, Wiktor Świetlik i Wojciech Surmacz ze swoim „Zwalniamy cię" (niedziela, godz. 14.00).

ŚWIETNY STRZAŁ

– „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" to świetny strzał programowy naszej stacji. Widzowie bardzo polubili tę parę i jej sposób komentowania rzeczywistości – mówi nam Mariusz Pilis, dyrektor programowy telewizji wPolsce24.

Wierzbicki i Biedroń naprawdę mówią, jak jest. Opisują polityczną rzeczywistość Polski bez owijania w bawełnę i politycznej poprawności, nie uciekając przy tym od żartu i ironii. Widzowie mogą być pewni, że dziennikarze nie przegapią żadnego z ważnych wydarzeń mijającego dnia i opowiedzą o nich wprost, tłumacząc, o co naprawdę chodzi, a także jakie są kulisy decyzji, które ważą potem na życiu każdego z nas.

Dotarcie do sedna ułatwiają także topowi goście odgrywający decydującą rolę na scenie politycznej.

„Sikorski też widzi, że Tusk bardzo słabnie i to jest ten moment, kiedy może zaatakować" – mówił u Wierzbicki i Biedronia o sytuacji w Koalicji Obywatelskiej jeden z najbardziej wpływowych polityków prawicy – Adam Bielan.

„Wraca Platforma, rośnie deficyt budżetowy" – kwitował tragiczny stan finansów polskiego państwa w czasach rządów Donalda Tuska były premier Mateusz Morawiecki.

Kiedy medialne spekulacje, jakoby prof. Przemysław Czarnek miał być najważniejszym kandydatem na premiera w przyszłym rządzie prawicy, sięgnęły zenitu, polityk odnosił się do nich właśnie na antenie wPolsce24.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

Autopromocja

eprasa.pl 90b70bd5a4

„Na pewno ta giełda nazwisk ruszyła i jeśli nie rozmowy oficjalne, to kuluarowe. Koledzy z partii dyskutują, i to tacy, którzy byli na spotkaniu z panem" – zagadywała Czarnka Emilia Wierzbicki. „Widzieliśmy pewne zdjęcia" – żartował Biedroń, nawiązując do szeroko komentowanej fotografii z prywatnego spotkania Przemysława Czarnka z Jackiem Sasinem, Patrykiem Jakim i Tobiaszem Bocheńskim. „Jestem chwilowo w Rzymie na ważnej konferencji, wcześniej zaplanowanej. Dobrze, że się konklawe skończyło, bo jeszcze na konklawe by mnie wrzucali tam w tych mediach i proponowali mi stanowisko papieża. Na szczęście jest zajęte" – odpowiadał ze śmiechem Przemysław Czarnek.

MNIEJ OFICJALNE OBLICZE

Program Emilii Wierzbicki i Wojciecha Biedronia to także okazja dla polityków, żeby pokazać swoje mniej oficjalne oblicze, nieskrępowane partyjnymi przekazami dnia.

„Nie przestraszą mnie nigdy. Ja tych sukinkotów się nie boję. Niech spadają na drzewo" – odpowiadał u Wierzbicki i Biedronia na działania „rozliczającej PiS" władzy europoseł Prawa i Sprawiedliwości, a wcześniej przez lata prezes ORLENU Daniel Obajtek.

Prawdziwą furorę w sieci zrobiły fragmenty wywiadu dziennikarskiej pary z Markiem Jakubiakiem. 17 września, a więc w rocznicę napaści Związku Sowieckiego na Polskę w 1939 r., niedawny kandydat na prezydenta dzielił się swoimi refleksjami na temat geopolityki i historycznego przekleństwa, jakim jest dla nas położenie pomiędzy Niemcami i Rosją.

„Ja oglądam filmy rosyjskie, wojenne. Na potęgę. Nie dlatego, że są dobre, tylko dlatego, że Niemcy do Ruskich strzelają i odwrotnie" – opowiadał Jakubiak.

„Wyszedł pan marszałek z TVN, ale TVN z niego nie wyszedł" – komentował w zeszłym tygodniu błazenadę Szymona Hołowni poseł Tomasz Rzymkowski. To w programie „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" parlamentarzysta, który wrócił do Sejmu po tym, jak do kancelarii prezydenta przeszedł Marcin Przydacz, wyznał, że polityka bardzo go męczy.

„Nie widzę przyszłości dla siebie w polityce. Traktuję ten powrót do Sejmu jako taki swoisty dopust Boży" – mówił szczerze Rzymkowski.

OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU O GODZ.18.30

Początkowo „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" był emitowany o godz. 17.05, ale szybko wszedł do wieczornego prime time – teraz program gwiazd wPolsce24 można oglądać codziennie od poniedziałku do piątku o godz. 18.30.

– Wprowadzaliśmy ten format ostrożnie, licząc się z tym, że dobre reakcje naszych widzów mogą przyjść z upływem czasu. Ale stało się inaczej. Zainteresowanie, oglądalność zaskoczyła także nas. Pozytywnie. Szybko zdecydowaliśmy o przesunięciu programu z godzin popołudniowych bliżej naszego flagowego programu informacyjnego „Wiadomości wPolsce24", żeby więcej widzów miało szansę obejrzenia tej fenomenalnej pary dziennikarzy – mówi nam Mariusz Pilis, podkreślając, że był to strzał w dziesiątkę.

Według danych telemetrycznych „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" ogląda średnio ok. 140 tys. widzów. Rośnie także cała telewizja wPolsce24. 29 października 2025 r. osiągnęła historyczny sukces, zajmując trzecie miejsce wśród wszystkich stacji informacyjnych w Polsce. Ten fenomenalny wynik pozwolił na wyprzedzenie kluczowej konkurencji. Telewizja wPolsce24 uplasowała się na podium, pozostawiając w tyle m.in. Polsat News oraz wciąż likwidowaną telewizję TVP Info. Za telewizją Grupy Medialnej Fratria znalazły się również Wydarzenia24. Zgodnie z badaniami Nielsena z 29 października telewizję wPolsce24 oglądało wówczas średnio aż 90 660 widzów, a udział stacji w rynku wyniósł imponujące 1,83 proc. W ogólnym rankingu stacji informacyjnych 29 października przed Telewizją wPolsce24 znalazły się jedynie Republika oraz TVN24.

ŁW



eprasa.pl 90b70bd5a4

Niepodległość nieabstrakcyjna

Za sprawą Marszu Niepodległości znów upominamy się o polityczne znaczenie niepodległości. To, co w latach 90. było abstrakcyjne, dziś jest czymś, co możemy utracić. Masowa manifestacja patriotyzmu zyskała widowiskową formę i uświadomiła lewicy, że jest tylko agresywną mniejszością



MACIEJ WALASZCZYK

Nie byłoby wielkiej biało-czerwonej flagi niesionej na manifestacjach przez zwolenników Donalda Tuska, gdyby nie Marsz Niepodległości. Bez niego nigdy nie zobaczylibyśmy działaczy nieboszczki PO poprzebieranych w śnieżnobiałe koszule z powpinanymi w nie biało-czerwonymi serduszkami, a Rafał Trzaskowski nie próbowałby wkupić się w łaski wyborców, kilkakrotnie deklarując chęć wzięcia w nim udziału, choć od lat jak potrafi stara się utrudnić jego organizację.

Politycy i zwolennicy Koalicji Obywatelskiej musieli wyprzeć się swych tęczowych flag, symboli Unii Europejskiej, a w miejsce infantylnych i wulgarnych happeningów, którymi ujawnili się choćby podczas protestów proaborcyjnych w 2020 r., zostali zmuszeni do przyjęcia narodowych form politycznej komunikacji nawet ze swoimi wyborcami. Trochę jak komunistyczne elity, które na-



eprasa.pl 90b70bd5a4

wet w czasach stalinowskich – a szczególnie po 1956 r. – nieustannie eksploatowały narodowe symbole, wykorzystując je do legitymizacji swojej władzy, spychając stopniowo na margines komunistyczny sztafaż, by w końcu go porzucić.

Jednocześnie choć impreza unika identyfikacji partyjnej, stała się okazją do spotkania sympatyków szeroko pojętej prawicy narodowej, głównie obecnej w Konfederacji, Młodzieży Wszechpolskiej, ONR, a także tysięcy zwolenników PiS oraz różnych radykalnych środowisk politycznych, kibiców, grup rekonstrukcji historycznej, społecznie zaangażowanych katolików. Z biegiem lat stała się po prostu obowiązkowym punktem programu, a także inspiracją do organizacji marszów lokalnych, które idą nawet w mniejszych miastach.

WIDOWISKOWA FORMA I ADRENALINA

W tym roku Marsz przejdzie ulicami stolicy pod hasłem: „Jeden naród – silna Polska". Kilka dni temu otwarto również wystawę pt. „Pokolenie Marszu Niepodległości" – w ciągu ostatnich 15 lat pojawiło się bowiem wielu młodych ludzi, których podnoszące adrenalinę wydarzenie skłoniło do zaangażowania się w działalność polityczną. Zdaniem organizatorów największej dziś patriotycznej manifestacji w Europie, pokoleniem Marszu są bez wątpienia ci, którzy w czasie pierwszych rządów PO rozpoczynali studia lub byli uczniami liceów i gimnazjów. – Nie wywodzili się z grup uprzywilejowanych i nie zgadzali na lansowany wszędzie konformizm. A patrząc szeroko, to cała rzesza ludzi – bez względu na wiek – których połączył głód wartości zepchniętych na margines. Okazało się, że potrzeba im



Fot. Andrzej Skwarczyński

> Marsz jest ponadpartyjny, a jego siła tkwi w mobilizacji do walki, której stawką nie są najbliższe wybory, lecz niepodległość

czegoś więcej niż praca, zakupy w sklepach, rozrywka i telewizja – tłumaczy Marcin Osowski, prezes Młodzieży Wszechpolskiej.

Wielu już nie pamięta, jak wyglądały obchody Święta Niepodległości po 1989 r. Przez pierwsze 20 lat istnienia III Rzeczypospolitej celebracje zakazanego wcześniej święta narodowego były raczej oficjalne niż spontaniczne, niekoniecznie radosne, nie oddziaływały na szersze grupy społeczne. Niestety wielu Polaków traktowało je tak jak kiedyś Donald Tusk zachęcający do grillowania w Święto Konstytucji 3 Maja – a więc wyłącznie jako kolejny dzień wolny od pracy. Najmniej obchodziło ono młodzież, w oczach której historia sprzed kilkudziesięciu lat została pozbawiona swej mitotwórczej siły. To nawet jakoś zrozumiałe – a do tego ten jesienny, deszczowy okres, skłaniający raczej do siedzenia w domu niż udziału w patriotycznych celebrach.

Z biegiem lat powrócono do tradycji niepodległościowych balów, zaczęto organizować biegi, rajdy, wspólne śpiewanie pieśni narodowych, jedzenie gęsiny czy świętomarcińskich wypieków. Niepodległość czczono jednak niczym muzealny eksponat i coś zupełnie abstrakcyjnego, pozbawionego politycznego znaczenia. Choćby takiego, jakie miało ono w czasach PRL, gdy przez część opozycji było traktowane z jednej strony jako symbol przedwojennej niepodległej Polski, a z drugiej – jako wyraźny gest oporu wobec zależnego od Związku Sowieckiego PRL, którego państwowość ustanowiono przecież manifestem PKWN, świętowanym przez ponad 40 lat jej istnienia 22 lipca jako „święto odrodzenia Polski". Równolegle próbowano budować mit okrągłego stołu, a więc uświęcić polityczną ugodę, co dodatkowo miała pieczętować mitologia wyborów z czerwca 1989 r. W tym symbolicznym galimatiasie prawdę mieszano z fałszem, a narodowe tradycje – z politycznymi interesami, w których kwestia niepodległości gubiła się wśród w pogoni za integracją z UE.

ODZYSKANA RANGA NIEPODLEGŁOŚCI

Dziś możemy śmiało powiedzieć, że organizowane od 2010 r. przez środowiska narodowe marsze niepodległości kompletnie zresetowały tamtą sytuację, wyprowadzając z symbolicznego impasu same pojęcia niepodległości, suwerenności czy narodowej tożsamości. Przyczyny tego są oczywiście bardziej złożone. Czas po pierwszych rządach PiS zrodził kompletnie odmienną sytuację społeczną. Nałożyła się na to przeżyta w 2005 r. w masowy sposób żałoba po śmierci Jana Pawła II. Rok wcześniej było to z kolei autentyczne zainteresowanie towarzyszące obchodom 60. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego – do dziś żywe i zwiększające zasięg oddziaływania, rozpalające zainteresowanie jego historią i motywacjami, które pchnęły młodych ludzi do walki. W końcu żałoba po śmieci członków polskiej delegacji

eprasa.pl 90b70bd5a4

w Smoleńsku, imigracja, wojna na Wschodzie rozbudziły narodowe namiętności i podziały polityczne wokół spraw najważniejszych. Te wręcz idealnie skrystalizowały się w czasie marszów niepodległości. Do tego w 2004 r. Polska została przyjęta do Unii Europejskiej. Miodowy miesiąc minął bardzo szybko i ujawniły się realia, o których lewicowo-prawicowy establishment przez lata nie chciał lub bał się mówić. Chodzi oczywiście o traktat lizboński, próbę uchwalenia europejskiej konstytucji czy to, że za narzucaną krajom członkowskim ideologiczną agendą stoi wyłącznie agresywna lewica. Ludzie widzą, że Polska sukcesywnie traci na podmiotowości, a Unia realizuje scenariusz budowy federalnego państwa. W związku z tym pojęcie niepodległości odzyskało właściwe znaczenie, a dyskutowanie na jej temat, manifestowanie woli jej utrzymania nabrały rzeczywistej wagi.

NAJWIĘKSZY W EUROPIE

Marsze – szczególnie ich pierwsze edycje – z roku na rok gromadziły coraz więcej uczestników, stabilizując się na poziomie przynajmniej ok. 100 tys. osób. Stały się imprezą masową, a rejestrowane tysiącami telefonów komórkowych filmy i zdjęcia, powielane na portalach społecznościowych, pokazały ludziom w całej Polsce obraz manifestacji niepodległościowej, jakiej dotąd nie było. Zupełnie nie przeszkadzały temu agresywne relacje telewizyjne skupione na awanturach wywoływanych przez lewicowe bojówki, kibiców i policję. Marsz stał się wydarzeniem, w którym wielu Polaków – także rodziny z dziećmi – po prostu chciało wziąć udział. I tutaj kolejny fenomen, który wywołuje u lewicowo-liberalnej mniejszości ogromny niepokój i zazdrość: na marszach niepodległości pojawiły się tysiące bardzo młodych ludzi, z biało czerwonymi flagami, szalikami, a na dodatek identyfikujących się jako prawica i patrioci. Przyjeżdżają do stolicy z własnej inicjatywy i za własne pieniądze. To nie mieściło się w socjologicznych równaniach: młodzież regularnie poddawana tożsamościowemu rozmiękczaniu w imię jedynej słusznej przyszłości we wspólnej Europie postanowiła manifestować swój patriotyzm i rozczarowanie liberalną rzeczywistością.

Wspomniany już Marcin Osowski, który poza aktywnością w MW jest członkiem sztabu organizacyjnego tegorocznej edycji Marszu, po raz pierwszy wziął w nim udział w 2014 roku. – Miałem wtedy 14 lat i przyjechałem z wujkiem, choć początkowo planowałem wybrać się z kibicami Falubazu Zielona Góra – wspomina, podkreślając, że uczynił to mimo obiekcji nauczycieli i wszechobecnych ostrzeżeń. Efekt był piorunujący. Twierdzi, że dzięki temu, co wówczas przeżył i zobaczył, zainteresował się życiem społeczno-politycznym. Był jednym z tych, którzy idąc w patriotycznej manifestacji obok kobiety z wózkiem w okolicach Stadionu Narodowego zostali zaatakowani gazem przez policję, w tym przez grupy nieumundurowanych funkcjonariuszy atakujących uczestników Marszu pałkami teleskopowymi.

> Ludzie widzą, że Polska sukcesywnie traci na podmiotowości, a Unia realizuje scenariusz budowy federalnego państwa. W związku z tym pojęcie niepodległości odzyskało właściwe znaczenie, a dyskutowanie na jej temat, manifestowanie woli jej utrzymania nabrały rzeczywistej wagi

– Wróciłem do domu wstrząśnięty – relacjonuje. – Z jednej strony Wojewódzki bezkarnie wtykający narodową flagę w psie odchody, Komorowski fetujący czekoladowego orła, a z drugiej ludzie idący z biało-czerwonymi flagami pałowani i rozganiani przez policję – wspomina. Dodatkowo młodzi ludzie doświadczyli próby napiętnowania ich jako faszystów, spadkobierców nazizmu i zwykłych troglodytów. Jak wspomina nasz rozmówca, nazajutrz po powrocie w jego gimnazjum odbyło się specjalne spotkanie ze szkolną psycholog i odpowiednio dobranymi do tego licealistami, którzy tłumaczyli, że patriotyzm to płacenie podatków, ale nie udział w Marszu Niepodległości. – Wywiązała się z tego dyskusja między mną a prowadzącą, która przekonywała mnie, że widziała więcej niż ja, bo oglądała wszystko w telewizji – mówi Osowski. Jak podkreśla: –Pochodzę z rodziny, w której ważny był patriotyzm, widziałem negatywne skutki ekonomiczne pierwszych rządów Platformy. Mój ojciec musiał wyjechać za pracą za granicę. Tak rodził się mój bunt – relacjonuje obecny lider Wszechpolaków.

SYMBOLICZNA PORAŻKA LEWICY

Wymowne jest to, że już w 2010 r. przebrani w obozowe pasiaki aktywiści lewicy postanowili blokować biało-czerwony marsz, by uniemożliwić jego start z pl. Zamkowego. Tego rodzaju happening zniesmaczył, ujawnił fobie i złe intencje, ale przede wszystkim okazał się przeciwskuteczny. Manifestacja poszła alternatywną trasą, dochodząc do celu przy pomniku Dmowskiego, a środowiska lewicowe zorientowały się, że w Polsce zawsze będą jedynie nawołującą do przemocy hałaśliwą mniejszością sponsorowaną z publicznej kasy i posiłkującą się np. ściągnięciem do Warszawy bojówkarzy niemieckiej Antify.

Ostatecznie od 2015 r. w Warszawie niemal zawsze było spokojnie, wręcz rodzinnie i patetycznie, a lewica poniosła wizerunkową i symboliczną porażkę. Symbolika jest zaś siłą tego rodzaju wydarzeń. Marsz Niepodległości ma również znacznie polityczne. To on wylansował znanych polityków, takich jak obecny wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, Marian Kowalski czy Robert Bąkiewicz. Co ciekawe, zrodzona wokół niego inicjatywa pod szyldem Ruchu Narodowego nigdy nie odegrała wielkiej roli. Marsz jest bowiem ponadpartyjny, a jego siła tkwi w mobilizacji do walki, której stawką nie są najbliższe wybory, ale niepodległość.

eprasa.pl 90b70bd5a4

Wielka strategia kanclerza Merza

Niemcy „chcą zbudować najsilniejszą armię konwencjonalną w Europie" – mówi otwarcie Merz. W ten sposób dążą do umocnienia swojej przywódczej roli na Starym Kontynencie. Co to oznacza dla Polski?



MAREK BUDZISZ

W minionym tygodniu po raz pierwszy zebrała się pod kierownictwem kanclerza Merza niemiecka Rada Bezpieczeństwa. Ten nowy organ rządowy, obradujący w tajemnicy i każdorazowo decydujący, czy poinformować opinię publiczną o przedmiocie swych prac, ma dbać o bezpieczeństwo, ale jednocześnie realizować to, co Anglosasi określają mianem „wielkiej strategii", czyli wytyczać kurs niemieckiego państwa na najbliższe lata, a może nawet dziesięciolecia.

W wywiadzie dla liberalnego Merz „Frankfurter Allgemeine Zeitung" zadeklarował nie tylko, że Niemcy „chcą zbudować najsilniejszą armię konwencjonalną w Europie", lecz także uzasadnił, dlaczego Berlin ma zamiar poddać zasadniczej rewizji swą wieloletnią politykę zagraniczną. Jego zdaniem „jesteśmy świadkami tymczasowego końca wielostronnego porządku opartego na zasadach, opartego na prawie międzynarodowym. Jesteśmy w fazie, w której w wielu miejscach egzekwowane jest prawo najsilniejszych". W związku z tym jest on przekonany, że w najbliższych latach Stany Zjednoczone będą w większym stopniu niż dotychczas zaabsorbowane własnymi problemami. W jego opinii polityka „America first" nie jest równoznaczna z polityką „samotnej Ameryki" („America alone"), ale sojusznicy USA niewątpliwie będą zmuszeni w większym stopniu niż do tej pory polegać na własnych zdolnościach, wyręczając dotychczasowego hegemona. Także dlatego Merz nie jest zwolennikiem przeniesienia decyzji w zakresie wojskowości i zakupów broni na poziom Unii Europejskiej. Określa się mianem „przeciwnika projektu federalizacji" i jest zdania, że to państwa narodowe winny odpowiadać za bezpieczeństwo oraz pilnować, aby zmiany w tym obszarze nadążały za ewolucją sytuacji międzynarodowej. Innymi słowy, w nowych, niestabilnych i niebezpiecznych czasach, będzie się liczyła siła państw narodowych, potencjał militarny będzie odgrywał większą rolę, a amerykański sojusznik co prawda nie porzuci Europy, ale potrzebował będzie partnera, na wsparcie którego będzie mógł liczyć, dążąc do utrzymania regionalnej stabilności.

Takim głównym, niezastąpionym partnerem USA w Europie chcą być Niemcy, umacniając przy okazji swoją przywódczą rolę na naszym kontynencie. Sam potencjał gospodarczy i demograficzny już do tego nie wystarczy i w nowych czasach, aby przewodzić i dominować, trzeba dysponować także tradycyjną siłą wojskową oraz siatką sojuszy regionalnych. I niemiecki kanclerz zaczął budować tę europejską sieć porozumień dyplomatycznych z Berlinem w centrum.



Fot. Ryan Nash Photography/Shutterstock.com

eprasa.pl 90b70bd5a4

Z WIELKĄ BRYTANIĄ PRZECIW AMERYCE

W lipcu Merz podpisał w Londynie traktat wojskowy z Wielką Brytanią. Przewiduje on głębszą współpracę w zakresie odstraszania i obrony wzdłuż północnej i wschodniej flanki NATO oraz docelową integrację niemieckiego i brytyjskiego przemysłu obronnego. Już w maju oba kraje ogłosiły, że będą wspólnie pracować nad pociskami o zasięgu do 2 tys. km. Ta umowa jest ważna nie tylko dlatego, iż stanowi pierwszy tego rodzaju traktat między obydwoma krajami od II wojny światowej. Zbliżenie między Berlinem a Londynem w kwestiach bezpieczeństwa odbiera też Amerykanom możliwość szukania alternatywnych rozwiązań sojuszniczych w Europie. Waszyngton, który przez lata akcentował specjalny charakter relacji z Londynem, mógłby dążyć do rozwoju – kosztem Niemiec – relacji z inicjatywą Joint Expeditionary Forces, koalicją chętnych w ramach NATO. Jest to porozumienie skupiające Wielką Brytanię, Holandię, Skandynawów i Bałtów, które odpowiada za bezpieczeństwo w północnej części Atlantyku i na Bałtyku. Warto zauważyć, że niedawno odbyło swe największe manewry Tarasis, a także podpisało – w praktyce realizując koncepcję Międzymorza – umowę o współpracy wojskowej z Ukrainą.

Zawierając pakt z Londynem i deklarując wzrost swego zaangażowania na Bałtyku, Berlin zbliża się do formatu JEF i blokuje w ten sposób Amerykanom możliwość jej użycia przeciw niemieckim interesom. Tej polityce towarzyszy również wzrost zainteresowania Niemiec rejonem arktycznym i Dalekiej Północy.

Tego rodzaju zwrot zadeklarował Boris Pistorius – wywodzący się z SPD minister obrony w rządzie Merza, najpopularniejszy dziś polityk w Republice Federalnej – w trakcie swej niedawnej podróży na Islandię. Jego zdaniem ze względu na rosnącą penetrację rosyjskiej marynarki wojennej w obszarze podbiegunowym Niemcy muszą wykazać większą aktywność na północnym Atlantyku. Ma temu służyć podpisanie porozumienia między Berlinem a Reykjavíkiem, udostępniające porty Islandii (państwa będącego członkiem NATO, a nieposiadającego armii) niemieckiej marynarce wojennej. Umowa obejmuje również ściślejszą współpracę w zakresie nadzoru powietrznego i morskiego, a także ochronę infrastruktury krytycznej i cyberobronę. „Jesteśmy największym partnerem NATO w Europie" – powiedział niemiecki minister obrony w trakcie swej wizyty na Islandii. „Jest absolutnie jasne, że wszyscy partnerzy NATO patrzą na nas. Musimy unieść więcej niż inni i musimy to pokazać. Nie będziemy mogli być wszędzie, ale ustalamy priorytety" – zadeklarował.

ZBLIŻENIE Z TURCJĄ

Pod koniec października kanclerz Merz poleciał też do Turcji na spotkanie z prezydentem Erdoğanem. Ta wizyta miała znaczenie geostrategiczne i ujawniała priorytety w polityce zagranicznej Berlina nie tylko dlatego, że dzień po szefie niemieckiego rządu do Ankary przyleciał też premier Wielkiej Brytanii. Przed wizytą Niemcy wycofali swój sprzeciw wobec sprzedaży Turcji myśliwców Eurofighter Typhoon, wspólnej brytyjsko-niemiecko-szwedzkiej konstrukcji, która to transakcja była wytrwale blokowana przez poprzednika Merza. Niemieckie media obserwujące wizytę kanclerza w stolicy Turcji zauważyły, że nie zająknął się on nawet słowem o losie uwięzionego lidera opozycji Ekremie İmamoğlu ani nie skrytykował stanu praworządności w Turcji, deklarując przy tym poparcie dla starań Ankary o członkostwo w Unii Europejskiej.

Motywy Merza wyjaśnił komentator dziennika „Handelsblatt", pisząc, iż „jest on przekonany, że w nowej sytuacji geopolitycznej, w której wielkie mocarstwa rywalizują o surowce, technologie przyszłości i strefy wpływów, mocarstwa centralne, takie jak Niemcy i Turcja, są od siebie zależne". Jeszcze dalej poszedł komentator w „Daily Sabah", tureckim anglojęzycznym dzienniku związanym z rządem, argumentując, że „wizyty Merza i Starmera to coś więcej niż rutynowa dyplomacja – sygnalizują one fundamentalną zmianę w krajobrazie bezpieczeństwa Europy. Za tymi wizytami kryje się kreowanie nowego porządku geopolitycznego, ukształtowanego przez powrót wojny na kontynent europejski, trwające kryzysy energetyczne i migracyjne oraz częściowe wycofanie się Stanów Zjednoczonych z regionu. [...] W tej transformacji Turcja nie jest już jedynie sąsiadem czy kandydatem do UE; staje się centralnym graczem w europejskiej architekturze bezpieczeństwa".

Decyzja o sprzedaży Ankarze myśliwców ma też wyraźnie antyamerykański rys, bo Waszyngton wykluczył Turcję z programu rozwoju F-35, blokując jednocześnie możliwości pozyskania tych myśliwców. W ostatnich miesiącach trwały ożywione negocjacje w tej kwestii, w toku których administracja Trumpa używała obietnicy zniesienia blokady w charakterze „marchewki", oczekując większej współpracy Ankary w kwestiach zarówno polityki wobec Izraela, jak i Rosji, od której Turcja nadal kupuje duże ilości gazu ziemnego. Zakup eurofighterów umożliwi Erdoğanowi pokazanie Trumpowi, że ma alternatywę, a Stany Zjednoczone nie są już jedynym graczem w kwestii bezpieczeństwa europejskiego, natomiast trójkąt Londyn–Berlin–Ankara może zacząć odgrywać coraz większą rolę.

Wizyta Merza w Ankarze ma też wyraźnie antyfrancuski wymiar. Nie tylko dlatego, że Paryż tradycyjnie wspiera Grecję, a w 2021 r. podpisał z Atenami sojusz wojskowy, który został w Turcji odebrany jako akt wrogi. Pogłębienie współpracy z członkami NATO nienależącymi do Wspólnoty Europejskiej jest też czytelnym sygnałem, że to nie niemiecko-francuski silnik będzie nadawał ton nowym układom w polityce bezpieczeństwa i to nie w Brukseli, ale w Berlinie będą zapadać decyzje w tej kwestii.

PARASOL NUKLEARNY

Współpraca wojskowa Berlina z Londynem może mieć jeszcze jeden, obecnie nieujawniony, wymiar, czyli nuklearny. Merz, pytany otwarcie przez dziennikarza „Frankfurter Allgemeine Zeitung" o to, czy Berlin chce być państwem dysponującym bronią jądrową, uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi, mówiąc, że „jeszcze nie czas" na takie rozważania. Ale nie zmienia to faktu, że w niemieckich mediach i środowiskach eksperckich od kilku miesięcy trwa debata o potrzebie energicznej polityki w tym obszarze. Karl-Heinz Kamp, ekspert wpływowego niemieckiego think tanku

eprasa.pl 90b70bd5a4

DGAP specjalizującego się w kwestiach polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, napisał, że odpowiedzią na spadającą wiarygodność amerykańskiego parasola nuklearnego winno być wypracowanie „nowej strategii użycia" broni jądrowej przez NATO. Jest to czytelna aluzja do „europeizacji" brytyjskiego potencjału nuklearnego, bo Francuzi nie podporządkowali swych force de frappe Komitetowi Planowania Jądrowego Sojuszu Północnoatlantyckiego, a Amerykanie tracą przecież wiarygodność w oczach niemieckich ekspertów.

Na razie Berlin koncentruje się na pozyskaniu środków przenoszenia, w tym rakiet dalekiego zasięgu. Jak skrupulatnie obliczył Fabian Hoffman w artykule opublikowanym na specjalizującym się w kwestiach wojskowych portalu Hartpunkt, w najbliższych latach Niemcy planują kupić za 1,15 mld euro 400 amerykańskich pocisków manewrujących Tomahawk, ponadto za 2,4 mld euro 600 rakiet Taurus Neo (a warto pamiętać, że mają już 600 sztuk starszej wersji Taurus KEPD 350) i 250–300 nowych konstrukcji JSM i JASSM. Trwają też prace brytyjsko-niemieckiego konsorcjum nad budową nowych rakiet o zasięgu do 2 tys. km, a koncern Rheinmettal właśnie ogłosił wspólne projekty z amerykańskim Andurilem, obejmujące również budowę pocisków rakietowych. Innymi słowy, w najbliższych latach Berlin będzie się koncentrował na rozbudowie konwencjonalnych systemów przenoszenia, co nie wyklucza zmiany ich przeznaczenia za jakiś czas.

WIELKIE WYDATKI

Budując w najbliższych latach najsilniejszą armię konwencjonalną w Europie, Berlin zamierza użyć swego głównego oręża – pieniędzy. Jak ujawnił portal Politico, powołując się na dokumenty przesłane do Bundestagu, koalicja CDU/CSU–SPD ma zamiar wydać na zakup sprzętu wojskowego w najbliższych latach 377 mld euro. Planuje się nabycie – jak wynika z dokumentów rządowych – 370 nowych systemów, z czego 178 ma już wybranych (w niektórych przypadkach bez odwoływania się do przetargów publicznych) dostawców, z których 160 to firmy niemieckie (projekty o łącznej wartości 168 mld euro).

Berlin nie chce „europeizacji" polityki obronnej i uwspólnotowienia zakupów broni, bo ma zamiar składać zamówienia przede wszystkim w firmach niemieckich. Chodzi zarówno o rozbudowę własnych, a nie francuskich, włoskich czy polskich zdolności, jak i o pobudzanie koniunktury własnego przemysłu, a nie wydawanie pieniędzy podatników na ratowanie miejsc pracy gdzie indziej.

Berlin nie chce „europeizacji" polityki obronnej i uwspólnotowienia zakupów broni, bo ma zamiar składać zamówienia przede wszystkim w niemieckich firmach. Chodzi zarówno o rozbudowę własnych, a nie francuskich, włoskich czy polskich zdolności, jak i o pobudzanie koniunktury własnego przemysłu

Przed podróżą na Islandię w wywiadzie dla „Bild am Sonttag" minister Pistorius sformułował również ważną deklarację na temat niemieckiej polityki odstraszania. Otóż, jak zauważył, w 2028 r. Niemcy powinny być w stanie przeprowadzić mobilizację młodych mężczyzn zobowiązanych do służby wojskowej na podstawie nadal obowiązującego, a jedynie zawieszonego prawa i mieć zdolność do wystawienia liczebnie dużej armii. W 2029 r. niemieckie siły zbrojne, w których służy obecnie ok. 181 tys. żołnierzy, mają osiągnąć liczebność 205 tys., a przeszkolonych rezerwistów ma być nie 60 tys. – jak obecnie – ale 140 tys. Jest to istotna deklaracja, bo trzeba pamiętać, że w czasie ostatniego szczytu NATO podjęło decyzję o zwiększeniu sił „w gotowości" z obecnych 80 do 120–130 brygad. Czy możemy liczyć na Niemcy w tym zakresie? Jeśli Berlin będzie realizował politykę „odstraszania przez mobilizację", to z pewnością nie w pierwszej fazie wojny.

POLSKA NA PIERWSZEJ LINII

To, o czym mówił Pistorius, ujawnia też rolę, jaką w strategicznych kalkulacjach Berlina winna odegrać Polska. Jeśli bowiem w niemieckich planach kładzie się nacisk na zdolności do powołania pod broń wyszkolonej rezerwy, którą najpierw trzeba odbudować, to jest oczywiste, że tego rodzaju proces wymaga czasu – zarówno związanego z wykształceniem zdolności, jak i przeprowadzeniem samej mobilizacji w sytuacji zagrożenia. To zaś oznacza, iż ewentualne niepowodzenie planów rozbudowy potencjału kadrowego Bundeswehry w czasie pokoju będzie znacząco wpływało na zdolność niemieckich sił zbrojnych do uczestnictwa w pierwszej fazie wojny, której ciężar będzie spoczywał na siłach państw wschodniej flanki NATO. Niemcy zwiększą swą kontrybucję, ale ich wkład nie będzie miał przełomowego znaczenia. W pierwszych dniach czy nawet tygodniach to my będziemy blokować posuwanie się Rosjan, jeśli ci zdecydują się na uderzenie. W efekcie Polska stanie się państwem buforowym – z punktu widzenia bezpieczeństwa Niemiec – na terenie którego będą się toczyć walki. To wynika z położenia i trudno utyskiwać na swój los. Jednak państwa odgrywające większą rolę w kolektywnym systemie bezpieczeństwa mają zazwyczaj szansę na uzyskanie większego znaczenia politycznego. Takie są doświadczenia Republiki Federalnej z czasów zimnej wojny. Teraz jednak Berlin, budując europejski system bezpieczeństwa, chce zablokować nam możliwość skutecznej gry, której celem jest zarówno umocnienie sojuszu z Ameryką, jak i w konsekwencji wzrost pozycji Polski.

Jeśli Merz zrealizuje swą wielką strategię, to Warszawie pozostaną jedynie większe koszty i ryzyko związane z nową rolą w europejskim systemie bezpieczeństwa zarządzanym z Berlina.

eprasa.pl 90b70bd5a4



Fot. Andrzej Skwarczyński

Ukraińcy wobec wojny

Na Ukrainie każdy doświadcza skutków wojny i czuje się jej ofiarą. Ale Ukraina jeszcze tej wojny nie przegrała. Jakie są doświadczenia zwykłych ludzi z tego zbrojnego konfliktu? Ile jest warty pokój, co znaczy zwycięstwo?

Z dr. Mateuszem Kamionką rozmawia Piotr Słabek

Trwa czwarty rok pełnoskalowej wojny na Ukrainie. Jak w tym czasie zmieniał się stosunek społeczeństwa do tego konfliktu zbrojnego?

Mateusz Kamionka: Nikt nie był przygotowany na to, że będzie trwał tak długo – ani Ukraina, ani Unia Europejska, a na pewno Rosja. Co z tego wynika? W badaniach ankietowych, które przeprowadzałem w 2023 r., większość respondentów deklarowała chęć powrotu, ale obecnie ta skłonność praktycznie zanikła. Można postawić hipotezę, że obywatele Ukrainy mieszkający za granicą potrzebowaliby co najmniej roku po powrocie, by ponownie zintegrować się ze społeczeństwem – dotyczy to w szczególności mężczyzn, z wiadomych względów. Dla osób, które uciekły w ferworze najtragiczniejszych tygodni lutego i marca 2022 r., wojna to przede wszystkim śmierć i doświadczenie uchodźcze, podczas gdy dla tych, którzy pozostali, to codzienna walka o przeżycie. Ci, którzy wyjechali, często nie radzą sobie z integracją lub asymilacją – ich doświadczenia bywają traumatyczne. W kontaktach z rodziną chcą pokazać, że im także nie jest lekko. Niektórzy dzielą się zdjęciami z wakacji na przemian z dramatycznymi scenami z Ukrainy, co może się wydawać brutalne, ale pokazuje skalę ich pokiereszowania.

Powiedzmy coś o tych, którzy zostali...

Życie na Ukrainie to pasmo niepokoju i stresu, co negatywnie odbija się na psychice mieszkańców – ludzie są wypaleni i przygnębieni. Dotyczy to zarówno żołnierzy na froncie, jak i mieszkańców terenów przyfrontowych oraz tych, którzy żyją daleko od toczących się walk. Moim zdaniem efekty tego będą widoczne przez co najmniej dwa pokolenia. Większość stara się żyć normalnie – mimo ataków rakietowych, śmierci bliskich czy wyjazdu rodzin za granicę. Świadomość, że w każdej chwili dron może uderzyć w szkołę, do której uczęszczają ich dzieci, lub w szpital, w którym przebywa ktoś z rodziny, jest źródłem nieustannego lęku. Paradoksalnie jednak w takich warunkach szczególnego

eprasa.pl 90b70bd5a4

znaczenia nabierają drobne, pozytywne momenty – uśmiechy, spotkania w kawiarniach, chwile normalności w nienormalnej rzeczywistości.

W internecie często można zobaczyć filmiki i przeczytać komentarze sugerujące, że miasta są puste. To oczywiście nieprawda. Kluby i kawiarnie żyją. Gości na pewno jest mniej, ale nie wszyscy zamknęli się w domach. Po prawie czterech latach wojny alarm rzadko odrywa ich od kolacji. Warto zauważyć, że wszyscy do 25. roku życia nie podlegają obowiązkowej mobilizacji – mogą zgłosić się tylko jako ochotnicy, podpisując kontrakt. Mają czas na założenie rodziny. Trzeba też pamiętać, że kraj musi funkcjonować, dlatego wielu ludzi pracuje normalnie – liczy się przecież nie tylko siła frontu. Dotyczy to choćby nauczycieli czy pracowników przemysłu obronnego, a także wielu innych branż. To jednak nie koniec. Rodzice co najmniej trójki dzieci zwolnieni są ze służby wojskowej, co można traktować jako dodatkowy bodziec do zwiększania dzietności. Ale coraz więcej małżeństw decyduje się obecnie tylko na jedno dziecko.

Jacy są młodzi Ukraińcy? Co wiemy o ich ideałach, patriotyzmie? Co przekazali im rodzice?

Ukraina jako część ZSRR była znacznie silniej sowietyzowana i rusyfikowana niż chociażby Polska. Jednak nie analizowałbym tego wyłącznie w ujęciu zbiorowym, lecz indywidualnym. Trudno bowiem porównywać starszą osobę z zachodniej Ukrainy – od zawsze antysowiecką i głęboko wierzącą – z kimś z Charkowa, kto teoretycznie od 1917 r. mógł żyć w realiach nieprzerwanej propagandy i nie znał innego systemu wartości. Ale nawet regionalizmy nie są tak ważne, gdyż na wschodzie też były ukraińskojęzyczne wsie. Zachowały swoją tradycję – mimo wielkiego głodu, którym próbowała ich zniszczyć sowiecka władza.

To jednak przeszłość. Mamy 2025 r. Możemy więc mówić o Ukraińcach, którzy nie mają żadnego związku z czasami radzieckimi. Większość obrońców Ukrainy to osoby w wieku 26–45 lat, a więc ludzie, którzy urodzili się lub wychowali w niezależnym państwie. Ich pamięć zbiorowa to nie ZSRR, lecz Rewolucja Godności 2014 r., agresja na Krym i Donbas, a następnie wojna z 2022 r. To zupełnie nowe pokolenie i, co należy podkreślić, pokolenie Ukraińców.

Jak ważna dla tożsamości narodowej Ukraińców pozostaje postać Stepana Bandery i ruchu, który stworzył?

Narracja nacjonalistyczna jest obecna, choć nie dominująca. Na Ukrainie postać Bandery jest kojarzona przede wszystkim z walką przeciwko Sowietom i NKWD, a nie z ludobójstwem na Kresach. Obecnie nie da się zbudować kariery politycznej na Ukrainie wyłącznie na antyrosyjskich nastrojach, więc niektóre osoby szukają rozgłosu w innych tematach, budując swoją pozycję choćby na sporach historycznych z Polską. Część środowisk liczy na poparcie wojskowych w wyborach, ale ukraińscy żołnierze są raczej pozytywnie nastawieni do Polski, doceniając pomoc, która trwa od 2022 r.

> Ukraińcy walczą o własną suwerenność, rodziny, domy. Aby ocalić swoje dziedzictwo, nie mogą przegrać tej wojny

Oczywiście Rosja nie wygrywa tej wojny, tak jakby chciała. Ale Ukraina to wyniszczony kraj, szczególnie gospodarczo. Bez zachodniego wsparcia jej budżet byłby pusty.

Nie byłbym takim pesymistą. Jeśli chodzi o gospodarkę, mało kto wie, że znaczną część przemysłu przeniesiono do zachodniej Ukrainy. Miasta takie jak Lwów, Użhorod czy Iwano-Frankiwsk (dawny Stanisławów) rozwijają się w niesłychanym tempie. Przykład RFN po 1945 r. pokazuje zresztą, że kraj można stosunkowo szybko wybudzić z letargu. Szczególnie że tzw. umowa surowcowa, podpisana między Waszyngtonem a Kijowem, może się stać „miniplanem" Marshalla po zakończeniu konfliktu. Rząd Ukrainy próbuje zachęcać uchodźców do powrotu, ale doświadczenia wojenne utrudniają ten proces. Ukraina będzie musiała szukać pracowników za granicą, co już widać po rosnącej liczbie przybyszów z Azji i Ameryki Południowej na ulicach miast. Ciekawą informacją, która może zaskoczyć wielu czytelników, jest to, że wynagrodzenia dla specjalistów w Kijowie i w innych dużych miastach zaczynają przewyższać stawki warszawskie. W tym kontekście kluczowe jest inne pytanie: kto będzie odbudowywał Ukrainę po wojnie. Kijów stanie w obliczu niezwykle ważnej, historycznej decyzji – kogo zaprosić do tego procesu.

Jak Ukraińcy oceniają Zełenskiego? Polityczny amator stanął wobec konfliktu, który mógł przerosnąć nawet doświadczonego polityka. Czy ma szansę na reelekcję?

Zełenski sprostał historycznemu wyzwaniu 2022 r. i prawdopodobnie chciałby być zapamiętany jako przywódca, który ocalił kraj w najtrudniejszym momencie jego współczesnej historii. Ale kilka tygodni temu ogłosił, że nie będzie się ubiegał o reelekcję. Mimo że wciąż cieszy się dużym poparciem społecznym, jego projekt polityczny – szeroka formacja określana jako „Zespół Ze!" – wyraźnie się wypalił. On sam również nie uniknął krytyki. Jedną z jego ostatnich decyzji, uznanych przez część opinii publicznej za błędną, było zezwolenie na wyjazdy mężczyzn do 22. roku życia. Dlaczego? Bo wpłynęła negatywnie na rynek pracy i szkolnictwo wyższe – wielu młodych ludzi zrezygnowało z pracy lub studiów, by opuścić kraj. Popełniał też błędy choćby w relacjach polsko-ukraińskich, ale zapewne to jeszcze on podejmie najważniejsze decyzje dotyczące przyszłości Ukrainy.

Obecnie jednak najważniejszym tematem pozostaje kwestia przeprowadzenia wyborów. Ukraińskie

eprasa.pl 90b70bd5a4

społeczeństwo jest w tej sprawie podzielone. Zwolennicy głosowania podkreślają, że dzięki rozwiniętej aplikacji obywatelskiej „Diia" istnieje techniczna możliwość przeprowadzenia wyborów w okresie nawet dłuższym niż jednodniowy. Pojawiają się jednak pytania, czy w czasie trwającego konfliktu warto podejmować tak ogromny wysiłek organizacyjny, logistyczny i finansowy. Jeśli chodzi o potencjalnych kandydatów, wciąż najczęściej wymienia się Walerego Załużnego – byłego Naczelnego Dowódcę Sił Zbrojnych Ukrainy, obecnie ambasadora w Wielkiej Brytanii. Na scenie politycznej pojawiają się jednak także bardziej kontrowersyjne postacie, jak choćby Ołeksij Arestowycz, były doradca Kancelarii Prezydenta i influencer, który zdobył popularność w latach 2022–2023 dzięki swoim komentarzom wojennym w internecie. Niedawno wywołał jednak oburzenie, sugerując możliwość porozumienia z Putinem i dobrowolne oddania części terytorium Ukrainy Rosji, co znacznie osłabiło jego wizerunek.

Jaki jest stosunek Ukraińców do Polaków, a jaki do Niemców?

Narastający konflikt na linii Polacy–Ukraińcy w Polsce nie sprzyja poprawie wizerunku naszego kraju w oczach ukraińskiego społeczeństwa. Ale należy wyraźnie rozgraniczyć stosunek Ukraińców mieszkających na Ukrainie do Polaków od postaw Ukraińców żyjących w Polsce – to dwie odrębne sytuacje wynikające z różnych doświadczeń i kontekstów społecznych. Niestety narracja, która coraz częściej pojawia się wśród części Ukraińców w naszym kraju, zaczyna przenikać również na Ukrainę, mimo że Polska wciąż cieszy się tam znaczną sympatią. Mam jednak wrażenie, że część ukraińskich elit politycznych i medialnych nie jest nastawiona do Polski szczególnie przychylnie – w przeciwieństwie do Niemiec. W społeczeństwie sytuacja wygląda odwrotnie: to właśnie Polska cieszy się większym uznaniem niż nasz zachodni sąsiad.

Warto zauważyć, że Niemcy zainwestowali ogromne środki w promocję swojej pomocy dla Ukrainy, podczas gdy Polska – moim zdaniem – nie wykorzystała w pełni potencjału, jaki miała jako kraj, który przyjmował uchodźców do prywatnych domów, a nie do miasteczek namiotowych. W Niemczech bardziej widoczna jest rola formalnych programów wsparcia i integracji, a nie bezpośrednie relacje międzyludzkie.

Trzeba też pamiętać, że jednym z głównych celów rosyjskiej agresji hybrydowej na Polskę jest wywołanie konfliktu społecznego między naszymi narodami. Dlatego niemal codziennie pojawiają się w mediach informacje o rzekomo negatywnych zachowaniach Polaków wobec Ukraińców – często przedstawiane jednostronnie, bez szerszego kontekstu.

W Polsce niektórzy mówią, że to nasza wojna, bo Ukraińcy bronią Polski, a także całej Europy przed inwazją Putina. Czy na Ukrainie też panuje takie przekonanie?

Można tu przytoczyć przykład Bitwy Warszawskiej. Polacy, w tym mój pradziadek, bronili wówczas Warszawy, Polski i swoich rodzin. Przy okazji ocalili też Europę przed zagrożeniem bolszewickim. Czy robili to, by uchronić Niemców przed komunizmem? Prawdopodobnie nie, choć w efekcie tak się stało. Podobna sytuacja ma dziś miejsce na Ukrainie. Ukraińcy przede wszystkim walczą o własną suwerenność, o swoje rodziny i domy. Przy okazji jednak osłabiają największe potencjalne zagrożenie militarne dla Polski. Paradoksalnie jednak częściej słyszę ten argument o „obronie zachodu" od Ukraińców mieszkających w Polsce, niż od tych, którzy wciąż żyją na broniącej się Ukrainie.

Wojna to bez wątpienia tragedia. Giną żołnierze i zwykli ludzie. Dochodzi do gwałtów na cywilach. Ale Ukraina jeszcze nie przegrała. Czy z tych czterech lat walki można wyciągnąć jakieś pozytywne wnioski?

Przede wszystkim możemy dziś z pełnym przekonaniem stwierdzić, że Ukraińcy to naród, który pragnie walczyć o swoją niezależność i z pewnością nie jest – jak lubił mawiać Władimir Putin – „wytworem Austro-Węgier i Polaków". Ta wojna pokazała, że mamy do czynienia z ukształtowanym narodem, gotowym na ogromne poświęcenia w imię suwerenności. Warto pamiętać, że nie jest to konflikt o ropę czy zasoby naturalne, lecz o prawo Ukraińców do zachowania własnej tożsamości i uniknięcia rusyfikacji, której doświadczali w przeszłości. Tym samym Kijów udowodnił światu, że „Ukraina to nie Rosja".

Istnieją też korzystne konsekwencje dla Polski i krajów sojuszniczych, niestety już nie dla Ukrainy. Po pierwsze, wzrost udziału ukraińskich migrantów w europejskim rynku pracy. Po drugie, rozwój technologii wojskowych – Ukraina stała się poligonem dla nowoczesnych systemów uzbrojenia, z doświadczeń których NATO powinno czerpać, ucząc się od ukraińskich żołnierzy realiów współczesnego pola walki. Po trzecie, wojna odsłoniła prawdziwe oblicze podziałów we współczesnym świecie. Wiele państw i społeczeństw zrozumiało rzeczywiste intencje globalnych graczy, co daje szansę na lepsze przygotowanie się do nieuchronnych zmian geopolitycznych, które już dziś rysują się na horyzoncie.



***Dr Mateusz Kamionka** jest politologiem specjalizującym się w tematyce obszaru postradzieckiego. Obecnie adiunkt w Zakładzie Studiów Polsko-Ukraińskich Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ. Przez rok mieszkał w Sumach we wschodniej Ukrainie, gdzie jako wolontariusz europejski pracował w organizacjach pozarządowych oraz był stażystą na Sumskim Uniwersytecie Państwowym. W 2022 r. wydał książkę pt. „Wzory zmiany społeczno-politycznej w świadomości ukraińskich studentów po 1991 r.".*

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 90b70bd5a4



COP30, czyli szczyt hipokryzji w brazylijskim Belém

Tysiące gości z przywódcami wielu krajów na czele, setki konferencji i paneli dyskusyjnych, zespoły negocjacyjne, a wszystko po to, by ocalić „płonącą planetę". Tak w skrócie można określić światową konferencję klimatyczną, rozpoczynającą się 10 listopada w małej brazylijskiej miejscowości Belém, zwanej wrotami do Amazonii



AGNIESZKA ŁAKOMA

Fot. Shutterstock

Przedstawiciele państw Globalnego Południa będą mieli bezpłatną wycieczkę do Brazylii, przy okazji prywatne odrzutowce przywożące uczestników COP30 wyemitują ileś dodatkowo ton CO_2, będzie powszechne ściskanie dłoni i mnóstwo pamiątkowych fotografii i... to wszystko, bo na merytoryczne dyskusje, nowe podejście i faktyczną adaptację do zmian klimatu, nie ma co liczyć – mówi była wiceminister klimatu i środowiska Anna Łukaszewska-Trzeciakowska. Dlatego w jej opinii szczyt w Belém to

eprasa.pl 90b70bd5a4

„hipokryzja na pełnej petardzie". Zadaje też pytanie o sens zwożenia tysięcy ludzi do miejsca wrażliwego klimatycznie i środowiskowo. – To nie pomoże Belém w rozwoju – dodaje.

Ostatnie COP, czyli konferencje klimatyczne ONZ, pokazały, że faktyczne zmotywowanie krajów do rezygnacji z paliw kopalnych jest więcej niż trudne, skoro wydobycie ropy i gazu ma się bardzo dobrze, podobnie jak w Azji energetyka węglowa. Szczególne wyzwanie stanowi także skłonienie Zachodu do bardziej szczodrych wpłat na rzecz biedniejszych państw dotkniętych kataklizmami spowodowanymi zmianami klimatycznymi.

Tegoroczny szczyt odbywa się w mało sprzyjających okolicznościach także za sprawą nowego wiatru, jaki od stycznia wieje z Waszyngtonu. Twarde realia gospodarcze obnażają też nie tylko brak sukcesu sztandarowej strategii Unii Europejskiej, Zielonego Ładu, lecz także liczne słabości Europy w globalnym wyścigu o konkurencyjność.

– Europa wprawdzie nie zmienia podejścia i przynajmniej w sferze deklaracji stawia na walkę o klimat, ale poza nielicznymi wyjątkami reszta bogatszego świata jest już od takiego myślenia i działania bardzo daleko – mówi Anna Łukaszewska-Trzeciakowska. – Ta reszta stawia na tanią energię i rozwój, a Unia na zieloną ideologię.

OCZEKIWANIA ONZ

Szczyt w Belém miał być wyjątkowy pod wieloma względami. Przede wszystkim przywódcy ONZ liczyli na to, że skoro od zawarcia słynnego porozumienia paryskiego mija dekada, to kraje – jego sygnatariusze – chętnie zaprezentują nowe, ambitne plany walki z emisją gazów cieplarnianych na kolejnych 10 lat.

Tak się jednak nie stało, bo w pierwszym wyznaczonym przez ONZ terminie, czyli w lutym br., tylko nieliczne państwa nadesłały swoje plany klimatyczne do Nowego Jorku. W tzw. drugim terminie, czyli do końca września, było ich tylko 60. A to oznacza, że zaledwie jedna trzecia państw przedstawiła plany.

Co się okazało? Otóż nawet najambitniejsza ze wszystkich Unia Europejska ostatecznie zdołała ustalić, że do 2035 r. zmniejszy emisję CO_2 o 66,25–72,5 proc. w porównaniu z poziomami z 1990 r. I choć władze w Brukseli w oficjalnym oświadczeniu zapewniają, że tym samym Wspólnota „wysyła silny, wspólny sygnał do społeczności światowej, że jest nadal mocno zaangażowana w realizację celów Porozumienia Paryskiego", nie zmienia to faktu, iż ustalenia nastąpiły zaledwie pięć dni przed szczytem w Belém. A wątpliwości pozostają.

> Biedniejsze państwa mają coraz większe oczekiwania finansowe wobec bogatego Zachodu, powodującego zanieczyszczenie klimatu. Dyskusja o tym, jak pogodzić oczekiwania jednej grupy z hojnością drugiej, bez wątpienia będzie jedną z kluczowych w Belém

Przypomnijmy – w porozumieniu paryskim przyjęto założenie, iż świat powinien podjąć działania, by temperatura na Ziemi nie wzrosła bardziej niż o 2 st. Celsjusza (a najlepiej 1,5 st. Celsjusza). Stąd plan dla globu – zerowej emisji netto w 2050 r., czyli osiągnięcia równowagi między dwutlenkiem węgla emitowanym do atmosfery a dwutlenkiem węgla usuwanym z niej.

„NAJWIĘKSZE OSZUSTWO W HISTORII"

Wielkim nieobecnym na szczycie w Belém będzie rząd Stanów Zjednoczonych. Już w styczniu, tuż po objęciu funkcji prezydenta, Donald Trump zapowiedział, że wycofa swój kraj z porozumienia paryskiego. A polityka, jaką prowadzi, czyli odcięcie rządowego wsparcia dla inwestycji w odnawialne źródła energii i promocja wydobycia paliw kopalnych (ropy, gazu i węgla) oraz energetyki jądrowej, była wystarczająco jasnym sygnałem, że szczyt klimatyczny nie ma dla amerykańskiej administracji znaczenia. We wrześniu na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ Donald Trump jasno wyraził swoją opinię o polityce walki z globalnym ociepleniem. Kryzys klimatyczny określa jako „mistyfikację" i „największe oszustwo w historii". Jego najbliżsi współpracownicy, w tym sekretarz do spraw energii Chris Wright, wielokrotnie negatywnie wypowiadali się o strategiach klimatycznych innych krajów. „Zero emisji netto do 2050 r. to po prostu kolosalna katastrofa... To po prostu monstrualny program zubożenia ludzkości i oczywiście nie ma mowy, żeby to się stało" – można było przeczytać kilka tygodni temu w oświadczeniu Wrighta na platformie X (udostępnionym przez Departament Energii USA).

Dlatego oficjalne informacje sprzed tygodnia, iż żaden urzędnik administracji Trumpa nie pojawi się w Belém, nie były już zaskoczeniem.

Ale polityka obecnego rządu USA, całkowicie w kontrze do prowadzonej przez demokratów z Joe Bidenem na czele, jest sprawą nie tylko wewnątrzamerykańską. Poglądy wygłaszane przez Trumpa i twardy kurs na rozwój sektora naftowo-gazowego spowodował też zmiany podejścia wielu wpływowych instytucji, w tym finansowych, do inicjatyw proklimatycznych.

Najpierw kolejne amerykańskie banki zaczęły się wycofywać ze wspieranego przez ONZ Net-Zero Banking Alliance, który miał na celu wykorzystanie wpływów sektora bankowego do przyspieszenia globalnego przejścia na gospodarkę niskoemisyjną i tym samym wyeliminowania paliw kopalnych. Z udziału w tym sojuszu, który zabiegał o przekierowanie kapitału z paliw kopalnych na zrównoważone inwestycje, zrezygnowało w sumie 20 dużych banków, w tym prawdziwi giganci, jak Goldman Sachs, Wells Fargo, Citigroup, Bank of America czy Morgan Stanley.

Autopromocja

eprasa.pl 90b70bd5a4

CHIŃSKI PARADOKS

Nie jest tajemnicą, że walka świata z globalnym ociepleniem miałaby szanse na powodzenie, gdyby najwięksi „truciciele" faktycznie ją podjęli. Tymczasem – choć Chiny, czyli emitent numer jeden, na które przypada niemal jedna trzecia emisji, mogą poszczycić się największą liczbą inwestycji w odnawialne źródła i elektromobilność, absolutnie przodując w instalacji wiatraków i budowie farm fotowoltaicznych – wciąż budują elektrownie węglowe. A Pekin – nie tylko ze względu na skalę – w swojej strategii proklimatycznej zaplanował ograniczenie emisji o 7–10 proc. do 2035 r. (w porównaniu z okresem, gdy osiągały najwyższy poziom) i ciągle należy do czołowych importerów węgla. Tamtejsze władze zapowiadają dalszy rozwój OZE, ale nie tak radykalny, jak życzyłaby sobie tego np. Bruksela.

Na dodatek pod koniec października ukazały się dane (Global Energy Monitor) wskazujące, że Chiny także wspierają (finansowo) budowę elektrowni opalanych węglem poza granicami swojego kraju, np. w Indonezji. Jeden z największych producentów „czarnego złota" posiada obecnie tak wiele elektrowni, że plasuje to kraj na czwartym miejscu na świecie. Indonezja, która w ciągu ostatnich 20 lat zwiększyła emisję dwutlenku węgla ponaddwukrotnie, jest na siódmej pozycji na liście wśród największych trucicieli.

UNIJNA SŁABOŚĆ I OCZEKIWANIA BIEDNIEJSZYCH

Za lidera w walce z globalnym ociepleniem wciąż chce uchodzić Unia Europejska. W zeszłym tygodniu po wyjątkowych kombinacjach dyplomatycznych duńska prezydencja zdołała przeforsować nowy cel klimatyczny dla całej Wspólnoty, czyli 90-proc. redukcję emisji do 2040 r. (w porównaniu z 1990 r.).

Plan – na razie tylko na papierze – według wielu eksportów jest tyleż ambitny, co mało realistyczny. Zwłaszcza że dotychczasowe skutki Zielonego Ładu nie napawają optymizmem, a nakaz dekarbonizacji energetyki i przemysłu ciężkiego prowadzi do wielu problemów, z wysokimi cenami energii włącznie. To na tyle dotkliwe, że znacznie obniża unijną konkurencyjność. A branże ekotechnologii, które miały nakręcać rozwój gospodarczy – szczególnie OZE i elektromobilność – nie odgrywają swojej roli.

Dalsze zobowiązania klimatyczne UE, które w konsekwencji mają doprowadzić kontynent do tzw. neutralności klimatycznej w połowie wieku, nie uratują jednak planety, skoro na Unię Europejską przypada raptem 6–7 proc. światowych emisji. Natomiast ograniczenie emisji gazów cieplarnianych przez największych emitentów w stopniu adekwatnym do planów UE jest zwyczajnie nierealne.

Państwa biedniejsze mają coraz większe oczekiwania finansowe wobec bogatego Zachodu powodującego zanieczyszczenie klimatu. Uznają bowiem – zwłaszcza wobec informacji podawanych przez rozliczne zachodnie instytucje i think tanki oraz ONZ – że należy im się odpowiednia rekompensata finansowa na walkę ze skutkami globalnego ocieplenia. Kwota, która w tym kontekście często się pojawia, to ponad 1 bln dol. rocznie. „Chętni" do wypłaty oferują tylko ok. 300 mld dol. Dyskusja o tym, jak pogodzić oczekiwania jednej grupy z hojnością drugiej, bez wątpienia będzie jedną z kluczowych w Belém.

– Formalnie to kraje rozwinięte powinny wspierać kraje rozwijające się, ale coraz trudniej określić, które należą do tej ostatniej grupy – mówi nam Anna Łukaszewska-Trzeciakowska. – Nie należy mieć złudzeń, że Chiny dorzucą się do wypłat. A biorąc pod uwagę nie tylko postawę ich władz, lecz także Donalda Trumpa, to każda deklaracja finansowa w Belém oznaczać będzie, że to my, Europejczycy, będziemy płacić biedniejszym krajom kary za emisje, mimo że nie jesteśmy w czołówce emitentów. Choć przy okazji nasze wydatki i rachunki wzrosną, to sytuacja państw najbiedniejszych nie poprawi się znacząco, a światowych emisji i tak nie ubędzie – dodaje.



eprasa.pl 90b70bd5a4



Drogi Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej coraz bardziej się rozchodzą. Kto wybierze sensowniejszą ścieżkę rozwoju?

Dwa oblicza Zachodu



GRZEGORZ GÓRNY

Drogi Ameryki i Europy rozchodzą się coraz bardziej. Widać to właściwie we wszystkich sprawach kluczowych dla przyszłości Zachodu. Która ścieżka okaże się bardziej rozwojowa i perspektywiczna?

POLITYKA KLIMATYCZNA

W lipcu amerykański Departament Energii wydał raport zatytułowany „Krytyczna ocena wpływu emisji gazów cieplarnianych w USA na klimat". Dokument potwierdza istnienie zjawiska globalnego ocieplenia, jednak zauważa, iż nie ma dowodów, że jest za to odpowiedzialna działalność człowieka. Raport dodaje, że szkody dla ludzkości związane ze zmianą klimatu są znikome, natomiast znacznie bardziej niebezpieczna dla przyszłości Zachodu jest błędna polityka klimatyczna z jej ambicją stworzenia „społeczeństwa zeroemisyjnego". Autorzy zauważają, że wdrażanie owej polityki nawet na masową skalę i tak nie będzie miało większego wpływu na zmianę klimatu. Doprowadzi za to do likwidacji bazy przemysłowej i regresu ekonomicznego. Dlatego jedyną rozsądną odpowiedzią na ocieplenie nie jest walka z nim, lecz adaptacja.

Dokument rządu USA uzasadnia zmianę kursu polityki klimatycznej, oznaczając całkowite zerwanie z modelem zielonej transformacji energetycznej forsowanej przez administrację Bidena. Idą za tym nie tylko deklaracje, lecz także konkretne decyzje, np. wycofanie się z paryskiego porozumienia klimatycznego, rezygnacja z publicznych dotacji do samochodów elektrycznych czy nowe inwestycje w wydobycie gazu łupkowego.

O tym, że owa zmiana wydaje się nieodwracalna, świadczy niespodziewana konwersja klimatycznego guru, czyli Billa Gatesa, który oświadczył ostatnio, że z powodu ocieplenia naszej planecie nie grozi żadna apokalipsa, a każdy, kto w to wierzy, tkwi w błędzie. Założyciel Microsoftu dodał, że walka ze zmianami klimatycznymi była nieuzasadniona, powodując tylko marnotrawienie pieniędzy na kosztowne i wątpliwe projekty.

W tym samym czasie władze UE deklarują, że będą kontynuować dotychczasową politykę klimatyczną. Podczas niedawnego Tygodnia Klimatu i Przyrody w Paryżu wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Teresa Ribera określiła „odkładanie działań na rzecz klimatu" jako „nonsens", dodając, że wszelkie działania mające na celu ograniczenie ambitnych celów nowego Zielonego Ładu byłyby „krokiem wstecz". W innej wypowiedzi Ribera potwierdziła, że Bruksela zamierza utrzymać termin wprowadzenia zakazu sprzedaży samochodów z silnikami spalinowymi na 2035 r. Tę samą żelazną wolę niezbaczania z wyznaczonej ścieżki klimatyzmu prezentują też inni unijni przywódcy z Ursulą von der Leyen na czele.

POLITYKA IMIGRACYJNA

Amerykę i Europę różni także stosunek do niekontrolowanej imigracji. Administracja Trumpa wzmocniła ochronę granic (zwłaszcza południowej – z Meksykiem), zaostrzyła egze-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 90b70bd5a4

kucję prawa imigracyjnego, zerwała z praktyką automatycznego prawa do obywatelstwa dla dzieci imigrantów oraz wprowadziła restrykcje wizowe i ograniczenia dla niektórych kategorii imigrantów oraz pracowników. W ślad za rozporządzeniami poszły konkretne działania. W całych Stanach umundurowani, uzbrojeni i zamaskowani funkcjonariusze Urzędu Imigracyjnego i Celnego (ICE) przeprowadzają akcje mające na celu wykrywanie, zatrzymywanie i deportowanie cudzoziemców, którzy przebywają na terenie USA nielegalnie i popełnili przestępstwa imigracyjne.

W odróżnieniu od Ameryki Unia Europejska nadal prowadzi politykę sprzyjającą niekontrolowanej imigracji. W związku z tym nie wysycha strumień imigrantów, nielegalnie przybywających na nasz kontynent. Co prawda Bruksela zapowiada zwiększenie kontroli granic zewnętrznych UE, jednak kończy się na słowach, a ciężar ochrony spada na państwa członkowskie. Na dodatek przyjęty właśnie pakt migracyjny zawiera zapis o „mechanizmie solidarności", czyli o przymusowym systemie kwotowej relokacji uchodźców. Tak rozumiana solidarność oznacza, że „stare" kraje UE, łamiąc unijne prawo (traktaty z Schengen i Dublina), ściągnęły na siebie kłopoty, a teraz próbują przerzucić je na „nowe" kraje, które ostrzegały przed braniem na siebie owych problemów. Oznacza to obarczanie innych skutkami popełnionych przez siebie błędów.

IDEOLOGIA GENDER

Kolejnym polem, na którym ujawniają się rozbieżności między USA i UE, jest stosunek do ideologii gender. Już w pierwszym dniu swego urzędowania Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze nr 14168, którego pełna nazwa brzmi „Obrona kobiet przed ekstremizmem ideologii gender i przywrócenie prawdy biologicznej do administracji federalnej". W dokumencie stwierdzono, że władze państwowe USA będą uznawać jedynie dwie płcie biologiczne (męską i żeńską) oraz zaprzestaną finansowania jakichkolwiek projektów związanych z ideologią gender. Kolejne decyzje Białego Domu zakazały wprowadzania materiałów promujących ideologię gender do programów szkolnych, zabroniły udziału „osób transpłciowych" w żeńskich zawodach sportowych finansowanych przez państwo oraz zabroniły instytucjom federalnym wspierania i sponsorowania zabiegów tranzycji (czyli tzw. zmiany płci) wśród osób nieletnich.

Nasz kontynent zmierza w odwrotnym kierunku. W zeszłym miesiącu Komisja Europejska opublikowała nową strategię UE na rzecz równości osób LGBT+ na lata 2026–2030. Dokument przewiduje utworzenie centrum zbierania informacji o krytykach ideologii gender, finansowanie organizacji promujących genderyzm, zwalczanie „praktyk konwersyjnych" (czyli działań mających na celu porzucenie orientacji homoseksualnej i powrót do heteroseksualizmu), tworzenie nowych urzędów ds. równości, wspieranie „tęczowych rodzin", wymuszanie na krajach członkowskich przywilejów małżeńskich dla par jednopłciowych itp. Celem jest wprowadzenie agendy „gender mainstreaming" do niemal wszystkich dziedzin życia: prawa, szkolnictwa, kultury, sztuki, mediów czy sportu. Komisja zapowiada surowe egzekwowanie nowych porządków, z czym wiąże się kolejny element różniący Europę od Ameryki, czyli swoboda wypowiedzi.

WOLNOŚĆ SŁOWA

W swej mowie inauguracyjnej Donald Trump zapowiedział koniec wszelkiej cenzury mediów, zwłaszcza w internecie. Jako pierwszy przykład takiego podejścia dał Elon Musk, który zakupił Tweetera. Zmiana przez niego nazwy owej platformy internetowej na X oznaczała także zmianę zasad jej funkcjonowania. Miliarder wyrzucił cały sztab „weryfikatorów faktów", czyli zawodowych cenzorów, wprowadzając swobodę wypowiedzi. Po zwycięstwie Trumpa tym samym szlakiem podążyli inni potentaci z Doliny Krzemowej, np. Mark Zuckerberg, który zadeklarował swe przywiązanie do wolności słowa.

W tym samym czasie Europa podąża odwrotną drogą. We Francji za publiczne mówienie o negatywnych skutkach aborcji, nawet jeśli są to informacje prawdziwe, grozi kara więzienia. W Niemczech działa Centralne Biuro ds. Zwalczania Przestępstw z Nienawiści w Internecie. Jego funkcjonariusze każdego dnia dokonują ok. 50 rewizji w domach osób podejrzanych o dokonanie przestępstw. Powodem przeszukania i zarekwirowania sprzętu elektronicznego jest zamieszczenie, polubienie lub przesłanie dalej przekazu, który może zostać uznany za obraźliwy. Nawet w Wielkiej Brytanii, która nie należy już do UE, tylko w 2023 r. zatrzymano ponad 12 tys. obywateli jedynie za komentarze internetowe krytyczne wobec polityki imigracyjnej rządu.

DZIEDZICTWO CYWILIZACJI

Wspomniane wyżej rozbieżności przejawiają się w odmiennych wizjach polityki. Zdaniem wielu komentatorów źródło owych różnic znajduje się jednak w sferze przedpolitycznej, czyli odmiennej hierarchii wartości. Mówi o tym m.in. publikacja pt. „Potrzeba cywilizacyjnych sojuszników w Europie", zamieszczona niedawno na stronach internetowych Departamentu Stanu USA. Ma ona wszelkie cechy tekstu programowego, przedstawiającego stosunek obecnej administracji do UE. Jej autor – Samuel Samson – pisze, że na Starym Kontynencie „trwa agresywna kampania przeciw samej cywilizacji zachodniej. W całej Europie rządy uzbroiły instytucje polityczne przeciw własnym obywatelom i przeciw naszemu wspólnemu dziedzictwu. Oddalając się od zasad demokratycznych, Europa przekształciła się w siedlisko cyfrowej cenzury, masowej migracji, ograniczeń wolności religijnej i licznych innych ataków na demokratyczną samorządność".

Zdaniem elit obozu rządowego w USA Europa oddala się więc nie tylko od Ameryki, lecz także od całego dziedzictwa naszej cywilizacji, bazującego na „zachodniej tradycji prawa naturalnego, etyki cnót i suwerenności narodowej". Problem polega na tym, że liderzy UE nie przyjmują tych argumentów, ponieważ nie mówią już takim językiem. To najlepiej pokazuje, jak bardzo rozeszły się owe drogi.

eprasa.pl 90b70bd5a4



Kawiorowy socjalista w Nowym Jorku

Nowojorczycy wybrali nowego burmistrza. Został nim Zohran Mamdani, urodzony w Ugandzie muzułmanin i lewicowy populista, który stylizuje się na głównego adwersarza Donalda Trumpa



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zohran Mamdani jest młody, nowy w polityce i bezwstydnie postępowy, co pozwoliło mu pokonać obciążonego licznymi skandalami, niesympatycznego byłego gubernatora stanu Nowy Jork Andrew Cuomę zarówno w prawyborach, jak i w wyścigu o fotel burmistrza. Kandydat republikanów o polskich korzeniach Curtis Sliwa, założyciel organizacji Guardian Angels, pilnującej bezpieczeństwa m.in. w nowojorskim metrze, zajął dopiero trzecie miejsce. Idee Mamdaniego są radykalne i niepraktyczne. Jego wyborcy są jednak równie młodzi, a nawet młodsi od niego, i nie mniej lewicowi, więc im to nie przeszkadza. On sam zresztą uważa, że socjalizm nigdy nie zawiódł – po prostu on, Zohran Mamdani, nigdy go nie wypróbował. To ma się teraz zmienić. W każdym razie w Nowym Jorku.

FRUSTRACJA SYTUACJĄ GOSPODARCZĄ

Jak wynika z najnowszych badań Pew Research Centre, 74 proc. Amerykanów uważa, że sytuacja gospodarcza kraju jest przeciętna lub zła. Wśród wyborców demokratów ten odsetek wynosi aż 90 proc. Dostępność tanich mieszkań oraz opieki zdrowotnej, brak miejsc pracy oraz inflacja są największymi zmartwieniami ankietowanych. 16 proc. respondentów uważa, że to prezydent Donald Trump odpowiada za ten stan rzeczy, szczególnie jego polityka celna. Wielu ma uczucie, że obiecany gospodarczy cud się nie wydarzył. Gdy w Białym Domu zasiadał Joe Biden, tylko 6 proc. obywateli winiło go osobiście za inflację i bezrobocie.

W KONTRZE DO TRUMPA

Mamdani potrafił wykorzystać te nastroje podczas swojej kampanii, obiecując nowojorczykom radykalną zmianę, w tym zamrożenie czynszów, bezpłatny transport autobusowy, rządowe sklepy spożywcze w każdej z pięciu dzielnic miasta wraz z regulacją cen oraz powszechną, darmową opiekę nad dziećmi.

Świadomie stylizował się na głównego adwersarza politycznego prezydenta USA. „Jeśli ktokolwiek może pokazać narodowi zdradzonemu przez Trumpa, jak go pokonać, to jest to miasto, które go zrodziło" – mówił świeżo upieczony burmistrz na swoim wieczorze wyborczym. Według niego Nowy Jork jest miastem zbudowanym oraz napędzanym przez imigrantów, a teraz stanie się też zarządzanym przez imigranta. Po tych słowach odniósł się prosto do prezydenta: „Posłuchaj mnie, prezydencie Trump, kiedy mówię: »Aby dobrać się do któregokolwiek z nas, będziesz musiał się zmierzyć z nami wszystkimi«. Wygraliśmy, bo nowojorczycy odważyli się uwierzyć, że niemożliwe może stać się możliwe".

Zresztą Trump i Mamdani nie szczędzili sobie ostrych słów podczas kampanii. Mamdani obiecywał walkę z drożyzną i podkreślał, że Nowy Jork nie jest na sprzedaż. Trump mu odpowiedział, że jest „komunistycznym szaleńcem" i zagroził, że jeśli wygra wybory, to on obetnie federalne fundusze dla Nowego Jorku i naśle na niego Gwardię Narodową. Jak pisze „Washington Post", antytrumpowy ruch nabiera tempa i w radykalności zaczyna dorównywać najbardziej skrajnym skrzydłom ruchu MAGA. Jedną z jego

Fot. Ron Adar/Shutterstock.com

eprasa.pl 90b70bd5a4

twarzy jest właśnie nowy burmistrz Nowego Jorku. Chuck Schumer, lider demokratów w Senacie, skomentował wygraną Mamdaniego, mówiąc, że „okrucieństwo, chaos i chciwość, które definiują ruch MAGA i prowadzą do gwałtownego wzrostu kosztów życia, zostały stanowczo odrzucone przez Amerykanów".

BOGACI ZAPŁACĄ

Mamdani, którego rodzice pochodzą z Indii – konkretnie z Pendżabu – urodził się w 1991 r. w Ugandzie. Rodzina przeniosła się do Nowego Jorku w 1999 r., aby jego ojciec Mahmud mógł wykładać na Wydziale Studiów Bliskiego Wschodu, Azji Południowej i Afryki Uniwersytetu Columbia oraz kierować tamtejszym Instytutem Studiów Afrykańskich. Młody Mamdani przy rodzinnym stole chłonął antyzachodnie idee dzięki licznym znajomym ojca, jak badacze postkolonializmu Edward Said czy Rashid Khalidi. Studiując na prywatnym Bowdoin College w Maine, usiłował zorganizować bojkot izraelskich uczelni. „Izraelskie szkolnictwo wyższe jest zarówno aktywnie, jak i biernie współwinne zbrodniom izraelskiego wojska oraz izraelskiego rządu we wszystkich jego formach kolonialno-osadniczych" – pisał wówczas.

Po studiach nie mógł znaleźć sobie miejsca – pisze „The Spectator" – i zaczął obracać się w kręgach różnych lewicowych grup aktywistycznych: MoveON Seattle, TexPIRG i Chhaya, walczących o sprawiedliwość społeczną. Jego matka Mira, znana w Hollywood reżyserka, scenarzystka i producentka, na krótko zatrudniła go jako „kierownika muzycznego" przy jednym ze swoich filmów. Potem próbował sił jako raper (pod pseudonimem Mr. Cardamom), ale zakończyło się to fiaskiem.

W 2020 r. został wybrany do Zgromadzenia Stanowego Nowego Jorku w okręgu Queens z listy Demokratycznych Socjalistów Ameryki, z których wywodzi się także Bernie Sanders. Na razie jego największy sukces to umorzenie części długów miejskich taksówkarzy. Mamdani szacuje, że jego darmowe autobusy, bezpłatna opieka nad dziećmi oraz rozbudowa mieszkań komunalnych i inne udogodnienia będą kosztować dodatkowe 10 mld dol. rocznie (to prawie 10 proc. obecnego budżetu miasta i kwota niewątpliwie zaniżona). „Nie ma problemu!" – mówi Mamdani. Bogaci zapłacą. Każdego, kto zarabia powyżej 1 mln dol. rocznie, nowy burmistrz chce obciążyć dodatkowym podatkiem.

PUSTE OBIETNICE?

Bogaci więc – jak pisze „New York Post" – uciekną. Do innych miast. I nie tylko oni. W końcu tyle samo nowojorczyków głosowało na niego, co na jego rywali. Mamdani zebrał 50 proc. głosów, tyle samo, co Cumo i Sliwa razem wzięci. Nie jest to powalające zwycięstwo, na jakie stylizuje je sam zainteresowany. Z sondażu przeprowadzonego przez instytut badań opinii publicznej J.L. Partners wynika, że ok. 765 tys. osób z 8,4 mln mieszkańców Nowego Jorku już przygotowuje się do wyjazdu, a ok. 9 proc. nowojorczyków stwierdziło, że „zdecydowanie" opuści miasto, jeśli Mamdani zostanie burmistrzem.

Pozostaje też kwestia realizacji wyborczych obietnic Mamdaniego, a z tym może być ciężko. Ci, którzy na niego głosowali, zrobili to, bo jest spoza liberalnego establishmentu, który dotąd (źle) rządził miastem. Tyle że burmistrz nie może samodzielnie podnosić miejskich podatków – może to zrobić jedynie legislatura stanowa i gubernator. Jak dotąd gubernator Kathy Hochul wykluczyła dalsze podwyżki. Mamdani nie może też tak po prostu zamrozić czynszów ani uwolnić pasażerów autobusów od konieczności płacenia za usługi. Ceny biletów są kontrolowane przez zarząd Metropolitan Transit Authority i burmistrz ma na nie ograniczony wpływ.

Zresztą Mamdani mocno podzielił demokratów i z wyjątkiem Chucka Shumera ich poparcie dla niego w kampanii było znikome. Demokraci obawiają się, że przesunie on partię dalej w lewo, przez co straci ona bardziej umiarkowanych wyborców, ponadto jego otwarcie afiszowana wrogość wobec policji oraz Izraela daleko wychodzi poza to, co jest akceptowalne w liberalnym mainstreamie. Mamdani otwarcie wspiera kampanię Wycofania Inwestycji i Sankcji (BDS) przeciwko Izraelowi, która odmawia mu prawa do istnienia jako państwo. Ma także zdjęcie z imamem, którego nowojorska prokuratura określiła jako „cichego współsprawcę" zamachu bombowego na World Trade Center w 1993 r., w którym zginęło sześć osób.

POLITYCZNY OSZUST

Gdy CNN zapytało kongresmena demokratów Hakeema Jeffriesa, czy Mamdani jest przyszłością partii, ten odparł: „Zdecydowanie nie". Za to Mamdani jest nową nadzieją lewicy europejskiej. Przedstawiciele lewicowych partii z Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Francji przybyli podczas kampanii do Nowego Jorku, by zobaczyć, jak kandydat na burmistrza zdobywa serca młodych wyborców „zabawnymi" filmikami na TikToku. Jego pierwsze nagranie zebrało 1 mln wyświetleń w ciągu 48 godzin. Mamdani podszedł do wyborców Trumpa na ulicy, wyciągnął mikrofon, słuchał i wyjaśniał swój program. Na innych ścigał się z autobusem i skakał do lodowatej wody u wybrzeży Coney Island, ilustrując zamrożenie czynszów. W trakcie kampanii towarzyszyli Mamadaniemu zarówno Martine Aubry z Niepokornej Francji Jeana-Luca Mélenchona, jak i Ines Schwerdtner oraz Maximilian Schirmer, współprzewodniczący berlińskiego oddziału partii Die Linke. W Niemczech w przyszłym roku szykują się wybory samorządowe i niemiecka lewica chce się nauczyć uwodzić wyborców tak jak Mamdani, którym krytycy atestują „urok sprzedawcy oleju wężowego".

Pytanie, jak długo ten urok będzie działał na nowojorczyków. Możliwe, że czar szybko pryśnie, gdy Mamdaniemu nie uda się zrobić z Nowego Jorku – jak obiecał – „dostępnego cenowo" miasta. W skrócie: jego polityka okaże się utopią, którą jest. Spin doctor demokratów z Nowego Jorku Hank Sheinkopf uważa świeżo upieczonego burmistrza za politycznego oszusta, kawiorowego socjalistę, który „o niczym nie ma pojęcia". „Partia Demokratyczna jest martwa" – zaznaczył w rozmowie z „Der Spiegel" – „a ci socjaliści przejmują jej truchło". „Jesteśmy świadkami narodzin nowego ruchu populistycznego. Z jednej strony MAGA, z drugiej – lewica Mamdaniego. Nie wróży to dobrze dla naszej demokracji" – dodał Sheinkopf.

eprasa.pl 90b70bd5a4



Trump – obrońca chrześcijan

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump wywołuje prawdziwe poruszenie swoimi postami w mediach społecznościowych. Tym razem nie było inaczej.

W serwisie społecznościowym Truth Social Trump skomentował sytuację w Nigerii, gdzie od lat trwają intensywne prześladowania chrześcijan.

„Jeśli nigeryjski rząd dalej będzie przyzwalał na zabijanie chrześcijan, USA natychmiast wstrzymają każdą pomoc i wsparcie wysyłane do Nigerii i mogą stanowczo wkroczyć do tego teraz zhańbionego kraju, by całkowicie zniszczyć islamskich terrorystów, którzy dopuszczają się tych okropnych okrucieństw" – napisał Trump. I dodał: „Niniejszym nakazuje Departamentowi Wojny, aby przygotował się do możliwych działań. Jeżeli zaatakujemy, będzie to szybkie, bezwzględne i słodkie, tak jak terroryści atakują naszych ukochanych chrześcijan".



GORAN ANDRIJANIĆ

Amerykański prezydent ostro skomentował sytuację w Nigerii, afrykańskim państwie, w którym od lat trwają intensywne prześladowania chrześcijan, nazywane przez niektórych analityków ludobójstwem

ISLAMSKI TERROR

Tak się stało, że po raz pierwszy jeden z czołowych polityków świata zareagował na doniesienia o kolejnych zabójstwach chrześcijan w Nigerii, do których dochodzi od lat. Fala przemocy w najludniejszym kraju Afryki (Nigeria liczy obecnie ponad 230 mln mieszkańców) narasta z roku na rok, a wszystkie statystyki wyraźnie pokazują, że większość ofiar to wyznawcy Chrystusa.

Nigeria jest państwem federalnym, podzielonym religijnie. Na północy znajdują się stany z większością muzułmańską, które wprowadziły prawo szariatu, a na południu stany z większością chrześcijańską.

W ciągu ostatnich kilku dekad ten podział religijny został dodatkowo wzmocniony przez rosnące wpływy ugrupowań islamistycznych. Najbardziej wpływowe (w sensie negatywnym) jest oczywiście Boko Haram – ugrupowanie terrorystyczne, które powstało w Nigerii i postawiło sobie za cel wprowadzenie prawa szariatu we wszystkich 36 stanach federalnych, sukcesywnie go osiągając poprzez niszczenie kościołów i likwidację chrześcijan. Historyczną siedzibą organizacji jest północno-wschodnia część Nigerii, ale szerzony przez nią terror rozlał się już po całym kraju. Oblicza się, że od 2009 r. Boko Haram zamordowało łącznie 35 tys. chrześcijan, przede wszystkim w stanach centralnej części Nigerii, a 2,6 mln zmusiło do ucieczki z miejsc zamieszkania.

Druga organizacja islamistyczna szerząca terror w całym kraju to ISWAP (Państwo Islamskie Prowincji Afryki Zachodniej), związana z haniebnym Państwem Islamskim, która często atakuje wioski chrześcijańskie (w maju zaatakowała wioskę Malam Karanti w stanie Borno, zabijając 23 osoby).

Trzecia grupa atakująca chrześcijan formalnie nie jest organizacją islamistyczną, ale pozostaje powiązana z Fulani, nigeryjskim plemieniem żyjącym z hodowli bydła i wyznającym islam. Fulani to plemię nomadzkie, które w ostatnich latach w poszukiwaniu pożywienia i wody dla swojego bydła przeniosło się do południowych regionów Nigerii, zamieszkanych przez chrześcijańskich rolników. Doprowadziło to do konfliktu, w którym Fulani, posiadając własną milicję, siłą zdobywa

Fot. GOALLORD-CREATIVITY/Shutterstock.com

eprasa.pl 90b70bd5a4

terytorium. Początkowo konflikt miał charakter społeczny, ale z czasem nabrał charakteru religijnego. Fulani znaleźli się pod silnym wpływem islamistów i obecnie postrzegają swoje podboje nie tylko w wymiarze ekonomicznym, lecz także „duchowym", nadając swoim działaniom wydźwięk religijny i przedstawiając je jako dżihad przeciwko niewiernym.

Te grupy terrorystyczne są aktywne przede wszystkim w stanach położonych w centralnej części Nigerii, a także na północy, gdzie chrześcijanie żyją w małych enklawach. Zagrożeni są nie tylko chrześcijańscy cywile, lecz także – a może nawet bardziej – duchowni katoliccy, protestanccy robotnicy oraz ich kościoły.

Liczby są przerażające. Od 2009 r. zamordowano ponad 52 tys. chrześcijan, zaatakowano lub zniszczono ponad 18,5 tys. kościołów i instytucji chrześcijańskich. Tylko w 2025 r. zginęło ponad 7 tys. chrześcijan – średnio 32 osoby dziennie. Rocznie niszczonych jest co najmniej 1,2 tys. kościołów, a setki księży, zakonników i katechetów zostało porwanych, torturowanych lub zamordowanych. Wielu innych żyje w obozach dla osób wewnętrznie przesiedlonych. W środkowej Nigerii chrześcijańskie wioski zostały wyludnione, a na północy wierzącym odmawia się prawa do budowy kościołów, uniemożliwia nauczania religii chrześcijańskiej w szkołach, poddaje się ich prawu szariatu – w tym przepisom dotyczącym bluźnierstwa – lub wyklucza z pracy w służbie publicznej.

„KRAJ SZCZEGÓLNEJ TROSKI"

W tym samym czasie rząd centralny pod przewodnictwem prezydenta Boli Ahmeda Tinubu nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa swoim obywatelom. Oprócz konfliktów religijnych narasta również przemoc, uzbrojone grupy przestępcze porywają ludzi i żądają okupu. Ich ofiarami padają zarówno chrześcijanie, jak i muzułmanie.

Jednocześnie społeczność międzynarodowa, obserwując tę falę przemocy, z powodu której cierpią nie tylko chrześcijanie, lecz także muzułmanie, ogranicza się do bezradnych apeli i petycji. Znaczna część tej społeczności przejmuje narrację władz Nigerii i odmawia uznania, że przemoc w tym afrykańskim kraju ma przede wszystkim charakter religijny i że to chrześcijanie cierpią najbardziej.

Oto okoliczności kontekstu towarzyszące oświadczeniu Trumpa, który jednocześnie zdecydował o wpisaniu Nigerii na listę „krajów szczególnej troski", w których naruszana jest wolność religijna.

Ten krok amerykańskiego prezydenta nie wziął się oczywiście znikąd. Poprzedziły go działania lobbingowe różnych organizacji pozarządowych, takich jak Open Doors, które od lat ostrzegają, że to, co się dzieje w Nigerii, jest przemocą religijną. W USA w ostatnich tygodniach kwestia Nigerii stała się szczególnie dynamiczna, zwłaszcza za sprawą republikańskiego senatora Teda Cruza, który lobbował za tym, by Trump zareagował.

> Od 2009 r. w Nigerii zamordowano ponad 52 tys. chrześcijan, zaatakowano lub zniszczono ponad 18,5 tys. kościołów i instytucji chrześcijańskich

„Złożyłem projekt ustawy, który polecił administracji Trumpa uznanie Nigerii za »kraj szczególnej troski«. Prezydent Trump to zrobił, dziękuję, panie prezydencie. Będziemy nadal walczyć o ochronę chrześcijan i wolności religijnej" – napisał Cruz po wiadomości o kroku gospodarza Białego Domu.

Warto również wspomnieć o niedawnym wystąpieniu amerykańskiej gwiazdy telewizyjnej Billa Mahera. Ten liberał i ateista powiedział w swoim popularnym programie telewizyjnym: „Nie jestem chrześcijaninem, ale chrześcijanie są systematycznie zabijani w Nigerii. To o wiele większa próba ludobójstwa niż to, co się dzieje w Strefie Gazy. Dosłownie próbują unicestwić chrześcijańską populację całego kraju. Gdzie są młodzi ludzie, którzy protestują przeciwko temu?" – zapytał Maher, nie po raz pierwszy wskazując na hipokryzję lewicowego establishmentu.

Jak rozwinie się sytuacja po wystąpieniu Trumpa – czas pokaże. Na tym etapie groźby interwencji militarnej amerykańskich sił w Nigerii należy przypisać znanemu, agresywnemu stylowi negocjacyjnemu lidera mocarstwa, a nie konkretnemu planowi. Wydając oświadczenie, prezydent USA niewątpliwie wywarł silną presję na rząd Nigerii, który najwyraźniej z różnych powodów postanowił zignorować problem prześladowań chrześcijan w ich państwie. Reakcja establishmentu na ultimatum Trumpa była przewidywalna. Krytykuje się go za uderzanie w suwerenność niepodległego kraju i upraszczanie problemu przemocy, który jest znacznie bardziej złożony, niż przedstawia go prezydent.

Nigeria to nie tylko jeden z problematycznych krajów afrykańskich. Jest ona największym producentem i eksporterem ropy naftowej na kontynencie afrykańskim. Państwo, które według demografów do 2050 r. będzie liczyło 400 mln mieszkańców, mimo ogromnego bogactwa, na którym się opiera, boryka się z poważnymi problemami. Nie bez znaczenia jest też fakt, że Rosja zyskuje coraz większe wpływy w tej części Afryki – w państwach, takich jak Burkina Faso, Mali i Niger. Jednocześnie Nigeria nadal koncentruje swoją politykę zagraniczną na Francji jako swoim głównym sojuszniku.

Jak widać, cała sytuacja jest dość złożona. Jasne jest jednak – co przyznają nawet najwięksi krytycy Trumpa – że po długim czasie amerykańska administracja ponownie staje się „zbawicielem" prześladowanych chrześcijan na całym świecie. Jeśli Trump – jak twierdzą jego przeciwnicy – robi to tylko by zadowolić swoich wyborców, nie ma to żadnego znaczenia. Ważne jest, że jego działania – na razie jedynie dyplomatyczne – mogą uratować wiele ludzkich istnień.

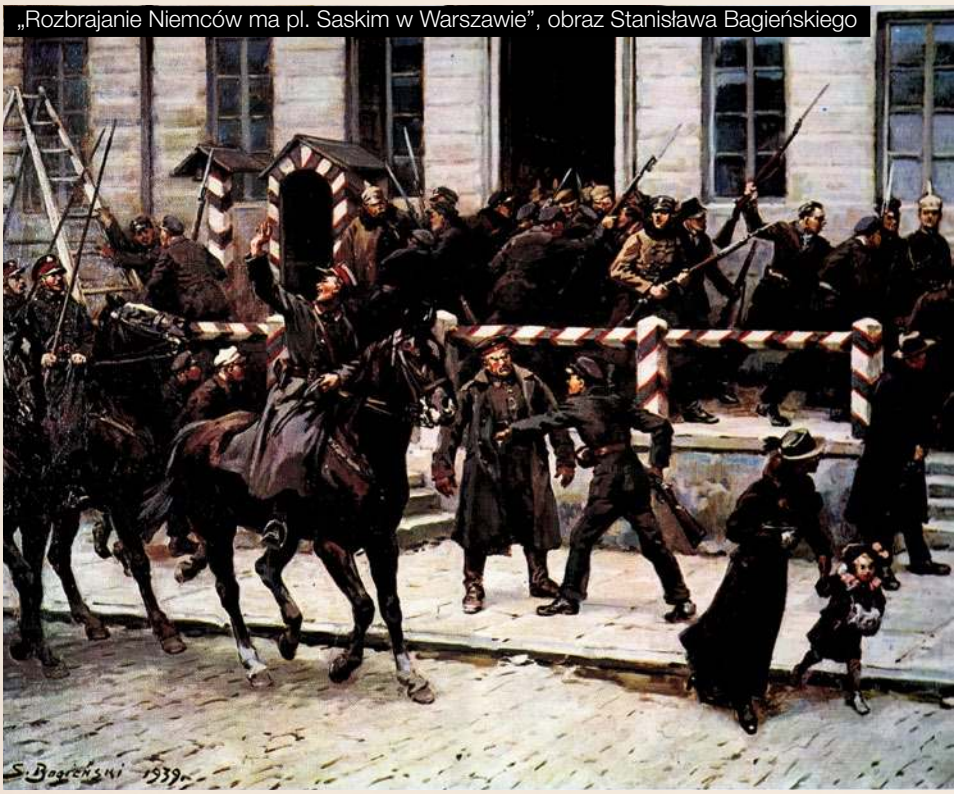
eprasa.pl 90b70bd5a4

Zanim nadszedł 11 listopada – jak rodziła się niepodległość

Przed ostatecznym odzyskaniem niepodległości w całej Polsce wrzało. W Krakowie, Lublinie, Warszawie i Poznaniu tworzono polskie władze, rozbrajano niemieckie garnizony, formowano pierwsze oddziały wojska i policji. We Lwowie trwały walki z Ukraińcami, a Wielkopolska szykowała się do powstania. 11 listopada był jednocześnie zwieńczeniem długiego procesu odzyskiwania Rzeczypospolitej oraz początkiem wojny o granice



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI



„Rozbrajanie Niemców ma pl. Saskim w Warszawie", obraz Stanisława Bagieńskiego

Kiedy 10 listopada 1918 r. Józef Piłsudski wysiadał z pociągu na dworcu w Warszawie, w stolicy było już czuć powiew wolności. Powrót Komendanta po ponadrocznej niemieckiej niewoli nie miał jedynie symbolicznego znaczenia. Stał się impulsem, który umożliwił scalenie rozproszonych dotąd ośrodków władzy i nadał procesowi odzyskiwania państwowości jednoznaczny kierunek.

Następnego dnia Rada Regencyjna, dotąd pełniąca funkcje zwierzchnie, przekazała Piłsudskiemu naczelne dowództwo nad tworzącym się wojskiem. Ten akt stanowił przełom polityczny i militarny. Właśnie dlatego 11 listopada 1918 r. upamiętnia się w Polsce jako dzień odzyskania niepodległości. W rzeczywistości był on jednak zakończeniem trwającej od dawna walki, której intensywność i dynamika rozlały się na wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej w drugiej połowie 1918 r.

I wojna światowa

Wielka Wojna trwała już od czterech lat. Działania militarne przetoczyły się przez cały kontynent, jednak ich skutki były szczególnie mocno odczuwalne na ziemiach polskich, od ponad wieku rozdartych pomiędzy Rosję, Niemcy i Austro-Węgry. Konflikt, który rozpoczął się w 1914 r., już w pierwszych miesiącach przyniósł polskiemu społeczeństwu masowe mobilizacje do zaborczych armii, zniszczenia i głód, a także niespodziewane możliwości polityczne.

Wraz z załamaniem się potęgi trzech zaborców (po rewolucji bolszewickiej w Rosji i narastających kryzysach w Niemczech oraz Austrii) kwestia polska stała się jednym z warunków przyszłego ładu europejskiego. Potwierdził to prezydent USA Woodrow Wilson, umieszczając w swoim 14-punktowym programie pokojowym postulat utworzenia państwa polskiego z dostępem do morza. W 1918 r. było jasne, że dotychczasowy europejski system polityczny nie przetrwa, a Polacy stanęli przed realną szansą odzyskania niepodległości.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 90b70bd5a4

RADA REGENCYJNA WCHODZI DO GRY

W październiku zmiany wyraźnie przyspieszyły. Wtedy to państwa centralne kontrolowały tereny dawnej I RP. W oczach Polaków były jednak całkowicie skompromitowane po pokoju w Brześciu, który przyznawał dużą część Polski Ukraińskiej Republice Ludowej. Postawy lojalistyczne przestały się liczyć. Zdecydowana większość aktywnych politycznie mieszkańców ziem polskich wiązała swoje nadzieje ze stronnictwami niepodległościowymi. Polska Organizacja Wojskowa nasiliła akcje przeciwko okupacyjnej administracji, coraz aktywniejsze były partie polityczne. Narastała atmosfera podniecenia w całym społeczeństwie, nie tylko w wąskim gronie polskich elit.

Od dwóch lat w Królestwie Polskim działała zależna od zaborców, utworzona 5 listopada 1916 r. Rada Regencyjna. Kiedy upadek państw centralnych stał się nieunikniony, podjęła ona próbę przejęcia inicjatywy i usiłowała stać się głównym ośrodkiem odbudowy państwa polskiego. 7 października 1918 r. ogłosiła niepodległość, ale z powodu jej wcześniejszej zależności od Niemców nie wywołało to masowej reakcji społeczeństwa. Napięcie wśród Polaków było jednak na tyle duże, że przystąpili oni do tworzenia własnych ośrodków władzy. Ludzie zaczęli przejmować administrację z rąk okupantów.

PIERWSZY PADŁ ZABÓR AUSTRIACKI

W tamtym momencie najbardziej aktywne okazały się środowiska w zaborze austriackim. 19 października z inicjatywy wszystkich liczących się sił społeczno-politycznych na austriackim Śląsku powołana została Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego. Na jej czele stanęli trzej posłowie do Rady Państwa w Wiedniu: Tadeusz Reger, Jan Michejda oraz ks. Józef Londzin. Rada uznała się za część administracji odradzającej się Polski, a w nocy z 29 na 30 października ogłosiła się władzą państwową na terenie Księstwa Cieszyńskiego. Na gmachach publicznych pojawiły się polskie flagi, a austriackie wojskowe posterunki zostały rozbrojone.

W tym samym czasie w całej Galicji ścierały się różne siły, które chciały przejąć władzę w upadającej monarchii. 28 października w hotelu Saskim w Krakowie z inicjatywy polityków socjalistycznych, ludowych i narodowych 60 posłów do Rady Państwa powołało Polską Komisję Likwidacyjną. Później dołączyli do niej lojalni dotychczas wobec Habsburgów konserwatyści. Na czele PKL stanął działacz ludowy Wincenty Witos. Komisja powołała własne organy administracyjne na prowincji, w tym straże obywatelskie i straże ziemskie, oraz Polską Komendę Wojskową. Był to pierwszy niezależny organ władzy w jednym z ważniejszych polskich miast. 30 października miejscowa POW przystąpiła do rozbrajania Austriaków. To samo uczyniono w Tarnowie. W kolejnych dniach podobne sceny rozegrały się w wielu miasteczkach i gminach wiejskich całej Galicji.

NAJGORZEJ WE LWOWIE

Jeszcze wcześniej, bo już 13 października 1918 r., w Zakopanem pod pomnikiem Grunwaldzkim odbyło się zgromadzenie obywatelskie zwołane przez naczelnika gminy Wincentego Regiecia. W jego trakcie powołano do życia Organizację Narodową, która ogłosiła potrzebę przejęcia władzy z mieście. Na wieść o rozbrojeniu okupanta w Krakowie 31 października polscy legioniści przystąpili do opanowywania okolicy. 1 listopada uchwalono powstanie Rzeczypospolitej Zakopiańskiej z pisarzem Stefanem Żeromskim jako prezydentem. Istniała ona do 16 listopada, kiedy podporządkowała się Polskiej Komisji Likwidacyjnej.

Bardziej skomplikowana sytuacja miała miejsce w Tarnobrzegu. Utworzony 31 października Powiatowy Komitet Samoobrony podporządkował się PKL. Ruch chłopski domagał się jednak znacznie bardziej radykalnych zmian niż te proponowane przez krakowskich działaczy. 6 listopada na 30-tys. wiecu powstał Komitet Rewolucyjny oraz oddziały milicji ludowej. Uchwalono wówczas usunięcie władz mianowanych przez Polską Komisję Likwidacyjną i powołanie własnej administracji terenowej. Powstała w ten sposób Republika Tarnobrzeska została utworzona przez ruch chłopski pod przywództwem Jana Gruszczyńskiego, Tomasza Dąbala i ks. Eugeniusza Okonia. Ogłosiła ona skrajnie radykalny program społeczny i faktycznie kontrolowała część powiatu tarnobrzeskiego, zanim została spacyfikowana przez władze odrodzonego państwa na początku 1919 r.

Najbardziej dramatyczna sytuacja panowała we Lwowie. 1 listopada Ukraińcy ogłosili powstanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, przejęli władzę w mieście oraz w całej Galicji Wschodniej. Natychmiast wybuchły walki z Polakami. Rozpoczęta w ten sposób wojna polsko-ukraińska pochłonęła tysiące ofiar po obu stronach.

PRZYGOTOWANIA DO POWSTANIA

W Wielkopolsce Niemcy wciąż dysponowali znaczną siłą wojskową i nie zamierzali oddawać podległej sobie prowincji. Od 1916 r. w Poznaniu działał Komitet Międzypartyjny, w którym największy wpływy miała endecja. Z tego powodu ściśle współpracowano z Komitetem Narodowym Polskim, kierowanym przez Romana Dmowskiego w Paryżu. Polacy w Wielkopolsce coraz śmielej organizowali się w grupy, które później przybrały formę rad ludowych – stanowiły zalążek polskiej władzy podczas powstania wielkopolskiego.

Na Górnym Śląsku – formalnie wciąż pruskim – dochodziło do coraz odważniejszych wystąpień narodowych. Próby zakładania polskich komitetów podejmowano także na Pomorzu Gdańskim oraz na Warmii i Mazurach, jednak żywioł niemiecki był tam na tyle silny, że sytuacja pozostawała pod całkowitą kontrolą zaborcy.

KOLEJNE RZĄDY, RADY I KOMITETY

W listopadzie wybuchła rewolucja w Niemczech. Także z tego powodu na terenach dawnej Kongresówki sytuacja zmieniała się na niekorzyść zaborcy. Niemieckie oddziały były w coraz większym stopniu zdezorganizowane, a narzucona administracja traciła zdolność utrzymania porządku. W wielu

eprasa.pl 90b70bd5a4

miejscowościach ludność sama przejmowała kluczowe instytucje, powstawały także rewolucyjnie nastawione rady robotnicze. Jedna z nich została utworzona 5 listopada w Lublinie. Kolejne wydarzenia szybko i skutecznie zablokowały jednak działania Rady Delegatów Robotniczych.

W nocy z 6 na 7 listopada 1918 r. z inicjatywy działaczy lewicy niepodległościowej powstał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej w Lublinie z Ignacym Daszyńskim na czele. Był to gabinet socjalistyczny, a w jego skład weszli też ludzie związani z Piłsudskim (np. Wacław Sieroszewski, Edward Rydz-Śmigły). Socjalistyczny rząd był popierany tylko przez PPS i PSL-Wyzwolenie, nadal jednak stanowił konkurencję dla Rady Regencyjnej, która całkowicie utraciła inicjatywę. W tym samym czasie powstawały kolejne rady robotnicze – m.in. w Kraśniku, Płocku, Warszawie, Zamościu oraz Zagłębiu Dąbrowskim.

Nie mniej dynamiczna była sytuacja na ziemiach dawnego zaboru rosyjskiego położonych poza Królestwem Polskim, gdzie trwał rozpad dawnego imperium Romanowów. Od jesieni 1918 r. na Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie, a nawet Mińszczyźnie powstawały polskie oddziały samoobrony, których celem była ochrona ludności oraz przyłączenie tych obszarów do przyszłego państwa polskiego. Ich głównymi ośrodkami były Wilno, Mińsk, Grodno, Lida i Kowno, a z mniejszych miejscowości – Szczuczyn, Ejszyszki, Oszmiana, Wilejka, Niemenczyn, Świr czy Poniewież. Na Polesiu, Wołyniu i Podolu polskie dwory i społeczności ziemiańskie organizowały się w lokalne oddziały przeciwko bandytyzmowi oraz wojskom ukraińskim i bolszewickim.

RZECZPOSPOLITA OSTROWSKA

W ten sposób ukształtowało się kilka niezależnych od siebie polskich organów władzy. Pretendowały one do przejęcia kontroli nad całym obszarem odradzającej się Polski albo aspirowały tylko do roli tymczasowych, regionalnych ośrodków władzy. Sytuację zmienił Piłsudski, którego 8 listopada Niemcy wypuścili z twierdzy w Magdeburgu. Przyszły Naczelnik przybył do Warszawy 10 listopada 1918 r. Na dworcu przywitali go m.in. członek Rady Regencyjnej ks. Zdzisław Lubomirski oraz dowódca Komendy Naczelnej POW, Adam Koc. Zarówno lewica, jak i prawica widziały w Piłsudskim osobę zdolną do objęcia roli arbitra i przywrócenia porządku. W tym czasie w Warszawie zaczęto również rozbrajać żołnierzy niemieckich.

> Najbardziej dramatyczna sytuacja panowała we Lwowie. 1 listopada Ukraińcy ogłosili powstanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, przejęli władzę w mieście oraz w całej Galicji Wschodniej. Natychmiast wybuchły walki z Polakami. Rozpoczęta w ten sposób wojna polsko-ukraińska pochłonęła tysiące ofiar po obu stronach

W Poznaniu powstała polsko-niemiecka Rada Robotnicza i Żołnierska. W Ostrowie Wielkopolskim natomiast Polacy zdecydowali się na rozbrojenie Niemców i ustanowili własną administrację oraz siły porządkowe. Była to pierwsza polska „wyspa wolności" na terenie zaboru pruskiego, znana jako Rzeczpospolita Ostrowska.

ROZBRAJANIE NIEMCÓW

11 listopada stał się dniem przesilenia. Jędrzej Moraczewski tak wspominał ten dzień: „11 listopada wrócił nareszcie po półtorarocznej niewoli do Warszawy komendant Józef Piłsudski. Po entuzjastycznym powitaniu przez niezliczone tłumy oblegające Dworzec Wiedeński, zabrał się Komendant natychmiast do pracy. Odbył dłuższą naradę z Radą Regencyjną, której wynikiem było ustąpienie regentów i oddanie całej władzy w ręce Piłsudskiego".

Rada Regencyjna przekazała dowództwo nad wojskiem, co oznaczało *de facto* uznanie Piłsudskiego za najważniejszą osobę w tworzącej się strukturze państwowej. Tego samego dnia udzielił on gwarancji bezpieczeństwa i ewakuacji dla żołnierzy niemieckich, pod warunkiem oddania strzeżonych obiektów i złożenia broni. W kilku miejscach w mieście doszło do starć, jednak ostatecznie do wieczora Polacy przejęli większość ważnych budynków w stolicy.

Niemców rozbrajano również w innych miejscach. W Krakowie i Lublinie polska administracja funkcjonowała już niemal w pełni, a w Poznaniu ujawnił się Komitet Międzypartyjny, przyjmując nazwę Rada Ludowa (od 14 listopada – Naczelna Rada Ludowa). Organ reprezentował Polaków w całym zaborze pruskim.

W Wielkopolsce nastroje mocno się radykalizowały, co zwiastowało rychły wybuch powstania. Choć Polska formalnie jeszcze nie istniała, jej administracja, władze i armia zaczęły się kształtować w błyskawicznym tempie.

WALKA TRWA...

Odzyskanie niepodległości 11 listopada 1918 r. było następstwem procesu trwającego od długiego czasu. Wybuch rewolucji w Niemczech, upadek monarchii austro-węgierskiej i rozpad imperium rosyjskiego stworzyły historyczne okno możliwości, które Polacy potrafili wykorzystać dzięki własnym organizacjom, determinacji i umiejętności działania w chaosie u schyłku wojny.

To, co się wydarzyło na przełomie października i listopada, było nie tylko początkiem odbudowy państwa i scalania ziem mających tworzyć II Rzeczpospolitą. Rozpoczynała się też walka o kształt granic państwa, która miała zadecydować o trwałości odzyskanej niepodległości.

eprasa.pl 90b70bd5a4



Po spektakularnie malowanych „Chłopach" czy kadrach zapowiadających nową kinową wersję „Lalki" w „Ministrantach" – zwycięzcy tegorocznego FPFF w Gdyni – trudno ją rozpoznać. Warto jednak – wśród wielu znakomitych ról tego filmu – przyjrzeć się też bohaterce stworzonej przez Kamilę Urzędowską

Inna sytuacja, inny czas

Fot. Weronika Kosińska/GiantFilms

eprasa.pl 90b70bd5a4



Kadr z filmu „Chłopi”

*Z aktorką **Kamilą Urzędowską** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Byłam szczerze poruszona pani rolą – matki zagubionej w życiu i w nałogu. Jak pani zareagowała na taką aktorską propozycję?

Kamila Urzędowska: Zadzwoniła do mnie Nadia Lebik [ceniona reżyserka castingu; nagrodzona w Gdyni w 2023 r. za obsadę filmu „Kos” – przyp. red.]. Powiedziała, że od dłuższego czasu szukają odtwórczyni roli matki do filmu „Ministranci” i chciałaby, żebym spróbowała. Nadia bardzo głęboko widzi człowieka i na castingu to ona pomogła mi poszukać tej matki w sobie. A później nasz reżyser Piotr Domalewski utwierdził mnie w przekonaniu, że to, co chce wykreować na ekranie, jest tym, czego oczekuję.

Po dziewczęcej Jagnie z animowanej, malarskiej wersji „Chłopów” czy teraz Izabeli Łęckiej w nowej adaptacji powieści Prusa wydaje się pani zupełnie nie pasować do roli kobiety pogrążonej w depresji, uciekającej w alkohol. Na dodatek wychowującej nastolatka. Nie pomyślała pani, choćby: „Jestem za młoda”?



Kamila Urzędowska w „Lalce”

Joanna została matką niejako wbrew sobie. Zaszła w ciążę jako szesnastolatka. Kiedy ojciec dziecka odszedł, została sama. Dlatego tak mocno zwróciła się w stronę Kościoła, który przez jakiś czas jej pomagał. Jednocześnie czasem ją też oceniał, więc ta relacja była ambiwalentna, chociaż Joanna jest osobą głęboko wierzącą.

Czy dla pani ten film jest – przy całej swojej złożoności – furtką umożliwiającą niektórym powrót do Kościoła? Nie jako instytucji, ale wspólnoty wyznającej tę samą wiarę i zasady?

Bardzo dużo czerpię z wiary katolickiej. To są piękne wartości i myślę, że kieruję się nimi pod wieloma względami. Tak więc ten film niczego nie musiał mi przypominać czy na nowo przyciągać, chociaż rozumiem, że jest trochę osób, które znajdują się gdzieś pomiędzy. I jeszcze nie podjęły decyzji, co dalej.

Bohaterami filmu są ministranci. Dzięki nim wchodzimy w nie każdemu znaną przestrzeń.

Byłam w swojej wiosce ministrantką. Były u nas dziewczyny ministrantki.

W jakiej wiosce?

Karłowice Wielkie. Ks. Wiesław Siwik.

Gdzie leżą Karłowice Wielkie?

W województwie opolskim, pod Nysą.

Fot. Next Film, GigantFilms

eprasa.pl 90b70bd5a4

Wróćmy na chwilę do filmowej Joanny. Z ciemnymi, krótkimi włosami i poszarzałą twarzą. Czyj to był pomysł, by zrezygnowała pani ze swojego dotychczasowego blond anturażu? Momentami trudno panią rozpoznać na ekranie.

To wspaniale. Na tym nam zależało. A zmianę wizerunku wymyśliła Daria Siejak, nasza charakteryzatorka, razem z reżyserem. Ekranowy efekt to jej praca. Również trochę zmarszczek, które mi zrobiła. I krótkie włosy. Kolor tak naprawdę był mój, tylko mocno przyciemniony... Kocham takie kino. Tam, gdzie jest szczerość – jest prawda. Nie ma tony makijażu, tym bardziej że Joanna to kobieta w depresji, uzależniona od alkoholu. W takich okolicznościach człowiek raczej się nie zastanawia, jak wygląda.

Ta rola była chyba bardzo intensywna, mocno eksploatująca. Czy potrzebowała pani konsultacji psychologicznej, by wejść w sytuacje, które przeżywa bohaterka? I jak się pani uwalniała od tej postaci?

Cały czas – również po zakończeniu zdjęć miałam psychologiczne wsparcie, opiekę. Myślę, że aktorom to się przydaje, bo rozładowanie napięć, które tak mocno i tak bardzo głęboko w ciebie wchodzą, nie jest łatwe.

Joanna wciąż w pani jest?

Zostały pewne cząstki, których doświadczyłam i zrozumiałam. One cały czas mi towarzyszą.

W tym filmie ma pani wiele dramatycznych scen do zagrania. W jednej z nich bohaterce udaje się chyba pokonać głęboko skrywany żal do syna, który zamknął jej życie, nim jeszcze stała się dorosła.

Joanna przełamuje się i odkrywa w sobie instynkt macierzyński, o który się nie podejrzewała.

Wierzy pani, że pozwoli jej to wyjść na prostą?

Chciałabym w to wierzyć. Bardzo.

„Ministranci" trafią na duże ekrany już za chwilę, 21 listopada, tymczasem pozostaje pani w świecie Izabeli Łęckiej w kinowej adaptacji „Lalki".

To zupełnie inna sytuacja, zupełnie inny czas. Jesteśmy w trakcie kręcenia zdjęć. Kończymy je pod koniec grudnia, więc przed nami jeszcze trochę dni.

W waszym filmie Wokulskiego gra Marcin Dorociński. Nie jest za przystojny?

Owszem, jest bardzo przystojny, ale w budowaniu postaci nie liczy się tylko wygląd.

Równolegle powstaje druga wersja „Lalki", zapowiadana jako „serialowa reinterpretacja powieści Prusa".



Kadr z filmu „Ministranci"

Czy zastanawia się pani czasami, jak zagra Łęcką Sandra Drzymalska? I jaki będzie Wokulski w wykonaniu Tomasza Schuchardta?

Nie, ponieważ wiem, że my zagramy to inaczej. Nie tylko dlatego, że każdy z nas jest inną osobowością. Ale oczywiście bardzo kibicuję tamtej „Lalce".

Jaka jest pani Łęcka?

Oj, tego jeszcze nie zdradzam.

Niedawno usłyszałam na temat Izabeli Łęckiej, że tkwi w bańce, z której musi wyjść. O wychodzeniu z roli Joanny już wspomniałyśmy, a jak udawało się pani wydostawać z innych filmowych baniek? Bo mam wrażenie, że każdej z granych postaci oddaje pani na planie całe serce, całą duszę, całą energię. Jagna długo z panią była?

Bardzo długo. Nawet wtedy, gdy miałam wrażenie, że już dawno jest poza mną, ale to chyba dlatego, że cały proces powstawania tego filmu był bardzo rozciągnięty w czasie.

A teraz „Lalka", czyli Izabela Łęcka. Musi się zmieścić w określonych ramach?

Właściwie czy dawniej, czy dziś, wszyscy żyjemy w pewnych bańkach. Np. teraz każdy z nas czyta swoje pisma, ogląda swoją telewizję, otacza się ludźmi, którzy myślą podobnie, wyznają podobne wartości. Zna mało osób, które dopuszczają i jedną, i drugą stronę, na prawo czy lewo, nie wchodzą sobie w politykę.

Czyli choć czasem dzieli nas bardzo dużo, jesteśmy do siebie podobni, ponieważ żyjemy w swoich bańkach?

Tak myślę. Izabela też wychowała się w takiej bańce i trudno jest jej z niej wyjść. Jej rolę mocno wyznaczało to, że urodziła się jako arystokratka.

Twórcy konkurencyjnej produkcji zapowiadają zmodernizowanie przekazu. Ciekawe, na ile przebiją tę bańkę.

Zobaczymy. Zapraszam do kin, kiedy nasz film już powstanie. Mam nadzieję, że będzie piękny.

Fot. Michał Charyton

eprasa.pl 90b70bd5a4



HITY i KITY ZAREMBY



Ameryka jako rasowe pole bitwy

„Jedna bitwa po drugiej" Paula Thomasa Andersona jest obrazem obsługującym lewicowe sentymenty i fobie amerykańskich elit artystycznych. Choć zarazem to efektowny film akcji, a chwilami nawet komedia

Anderson jest specem od bardzo długich filmów będących swoistymi traktatami czy epopejami. Jakiż kinoman nie wzruszał się na „Magnolii"? Albo nie uznawał „Aż poleje się krew" za syntezę prawdy o amerykańskim kapitalizmie? Tyle że reżyser – jak wielu jego kolegów w epoce Donalda Trumpa – nie chce się już zadowalać historią społeczną Ameryki. Chce politykować – hałaśliwie, agresywnie. Pisałem tu niedawno o podobnym fenomenie Stephena Kinga.

Znów mamy epopeję, ale tym razem amerykańskich rewolucjonistów. Wysadzających biura senatorów, uwalniających imigrantów z obozów przejściowych i napadających na banki. Ich aktywność ma też podtekst rasowy, więc ich gwiazdy to Murzyni i Murzynki. Biały Bob, grany przez Leonarda di Caprio, specjalizujący się w ładunkach wybuchowych, ma romans z taką czarnoskórą gwiazdą – Perfidią. Owocem jest córka Willa.

Po kilkunastu latach, kiedy Perfidia, zmuszona do donoszenia na kolegów, dawno zniknęła, a Bob prowadzi spokojne życie alkoholika i narkomana opiekującego się córką, pojawia się psychopatyczny płk Lockjaw (Sean Penn). Chce porwać Willę przy użyciu wojska – z najbardziej absurdalnego powodu, jaki można sobie wyobrazić. On także przespał się z Perfidią. Przypuszcza, że dziewczyna może być jego dzieckiem. Aspiruje zaś do udziału w elitarnej organizacji pilnującej czystości rasowej. Ciemnoskóra córka może zaszkodzić jego reputacji.

Reszta to strzelaniny i pościgi, czasem nawet pomysłowo zaaranżowane. Chwilami jest to zabawne. Świetny jest di Caprio w roli podtatusiałego eks-rewolucjonisty, i świetny Penn jako uosobienie amerykańskiego „faszyzmu". On akurat pada ofiarą swojego grzechu, bo karzą go swoi.

Pojawiły się opinie, że Anderson symetrycznie przykłada obu stronom. To nieprawda. Rewolucjoniści mogą być w przeszłości dogmatyczni i brutalni, Perfidię trudno uznać za sympatyczną. Współcześnie mogą być z kolei nieudolni do granic groteski. Film robi jednak wiele, aby podtrzymać ich romantyczną legendę. Pojawia się sugestia, że są oni jedyną odtrutką na koszmarne relacje społeczne. Przecież walka państwa z imigracją i walka radykałów w obronie imigrantów trwa. Pokazano to z plakatową nadgorliwością.

Ohyda drugiej strony jest z kolei bezsporna. Wprawdzie już senator z Karoliny Południowej Strom Thurmond wiele lat temu okazał się ojcem ciemnoskórego dziecka, a walczył z prawami obywatelskimi czarnych. Nie zaszkodziło mu to. Ale dziś jest gorzej niż wtedy – przekonuje nas Anderson. Biała elita jest gotowa zabijać za mieszanie krwi. Można by bronić tej fantazji, dowodząc, że kino nie jest fotografią życia. Ale przecież takie filmy aspirują do bycia politycznym świadectwem. Więc zmyślają apokalipsę. Czy sami twórcy w nią wierzą?

Ameryka jawi się jako wielkie rasowe pole bitwy. To dlatego w filmie Latynosi ochoczo wspierają Boba w jego ucieczce i walce, co jest okazją do występu kolejnego podstarzałego aktora – Benicia del Toro. Nawet łowca nagród obsługujący armię się zbuntuje. Bo poza wszystkim jest pół Indianinem, a zlecenia wydają mu stuprocentowi rasiści.

Takie filmy są świadectwami bitwy nie tyle rasowej, ile ideologicznej. Amerykańskie społeczeństwo rozjeżdża się coraz bardziej i to jeden z przejawów polaryzacji. Mogę tylko żałować dawnego Andersona. Ma zaledwie 55 lat, więc to pewnie nie jest jego ostatnie słowo.

Piotr Zaremba

DOBRZY KONTRA ŹLI W „ZARAZ WRACAM”

Telewizyjna dwójka ma własne tasiemce: „Barwy szczęścia”, „M jak miłość” czy „Na dobre i na złe”. TVP 1 doczekała się nowej opery mydlanej. Na razie „Zaraz wracam” nie wzbudza we mnie entuzjazmu

Telewizyjna jedynka miała własną tasiemcową serię. Była to „Leśniczówka”. Opowieść o mieszkańcach zalesionej prowincji, a także ich krewnych oraz znajomych żyjących w Warszawie, miała sporo fabularnych toporności. Ale była żywa, czasem odjechana. Tworzyła własny mikrokosmos. „Leśniczówkę” zdjęto w 2024 r. Zdaje się, że uznano ją za produkt poprzedniego układu telewizyjnego – po prostu stał za serialem niewłaściwy producent.

Teraz dostaliśmy „Zaraz wracam” – dzieło czterech reżyserów i ośmiu scenarzystów, na ogół mi nieznanych. To opowieść o miejscowości Polskie Pole widzianej przede wszystkim, choć nie wyłącznie, z perspektywy Urzędu Gminy. Wójt Eligiusz Czapla (grany przez Mariusza Kiliana) jest jednym z głównych bohaterów, podobnie jak jego współpracownicy.

Ktoś snuł analogie z „Ranczem” pojedynczego reżysera Wojciecha Adamczyka. No nie – tam zdarzały się pokłady naiwnej dydaktyki, ale były znakomicie zarysowane postacie, świetne, dowcipne dialogi. Również mieliśmy mikrokosmos. Dialogi w „Zaraz wracam” zbyt często są drewniane, sytuacje i postacie ilustrują tylko konkretne tezy.

Mamy oczywiście trochę progresywnego misjonarstwa. Maria Zając, skarbniczka gminy (Dominika Lignicka), jest lesbijką, która wraca do Polskiego Pola, by walczyć z uprzedzeniami własnego ojca. Ale przede wszystkim uderza schematyczny podział na dobrych i złych. Czapla i jego ludzie to entuzjaści, żywe motory postępu i rozwoju. Ich przeciwnicy, zwolennicy poprzedniego wójta (Marcin Kwaśny), są typami spod ciemnej gwiazdy, obsługującymi interesy demonicznego biznesmena.

Czy w życiu naprawdę tak prosto się to rozkłada? „Leśniczówka” była jednak pełna większych ludzkich komplikacji. Jeśli to dalej oglądam, to po części dzięki aktorom. Wrocławski aktor Kilian ujmująco rysuje portret wójta ukrywającego swoją chorobę. Dawid Dziarkowski (prowadzący bufet Michał) czy niezawodny Paweł Kośnik (złota rączka „Faza”) umieją budzić sympatię do swoich postaci. Po części zaś wciąż mam nadzieję na jakiś fabularny przełom. Zapowiadają na razie 45 odcinków. Minęliśmy 32.



„Rytuał”, czyli serio o opętaniu

W wigilię Wszystkich Świętych Canal+ pokazał świeży film „Rytuał” Davida Midella. Miał być jednym z horrorów, które tego dnia kina i kanały telewizyjne układały w całe cykle. A przecież to nie tyle film grozy, ile katolickie świadectwo

Zjawisko opętania to jeden z ulubionych tematów horrorów. W jednych walczą z nim katoliccy kapłani, w innych cała rzecz jest odrywana od chrześcijańskich korzeni. W popularnej serii „Obecność” mamy świeckich egzorcystów, którzy zmagają się nie tyle z szatanem, ile z „demonami”.

Mieliśmy już jeden obraz pod tytułem „Rytuał” – z roku 2015. Bazujący na relacji katolickiego kapłana całkiem serio pokazywał zmagania doświadczonego egzorcysty, którego grał Anthony Hopkins. Film wywołał w Polsce aferę. Pewien katecheta pokazał go dzieciom na lekcji, uznając jego religijne przesłanie. Zaprotestowali rodzice, którzy uznali, że ich pociechy są straszone. Wsparła ich „Wyborcza”. Gdyby straszono te dzieci czymś innym, nikomu by to nie przeszkadzało.

W drugim „Rytuale” amerykański reżyser Midell opowiada podobno autentyczną historię egzorcyzmu z 1928 r. Przedstawia go jako najlepiej udokumentowaną historię opętania w dziejach USA. Zwykle gdy słyszę, że „na faktach”, reaguję dystansem. Tyle że naturą tego filmu nie jest efektowne straszenie. On ma niemal paradokumentalną formę. Jest poważny.

Emmę Schmidt za jej zgodą przenosi się do innej parafii, aby tam uwolnić ją od dręczących koszmarów. Jej proboszcz, grany przez Dana Stevensa (gwiazda brytyjskiego serialu „Downton Abbey”), zgadza się na rytuał, ale jest sceptyczny, a dalsze zdarzenia go przerażają. Domaga się przerwania egzorcyzmu. Prowadzi go stary ksiądz Theophilus, traktujący wojnę z szatanem jako coś, co trzeba koniecznie doprowadzić do końca, mimo strasznych scen i zagrożenia dla samych egzorcystów. Gra go, jak zawsze świetnie, sędziwy Al Pacino.

Szamotanina całej ekipy (w zdarzeniach uczestniczą także zakonnice) nas wciąga. Oczywiście nasuwają się pytania o naturę zjawiska opętania. Na koniec autorzy filmu zasłaniają się relatywizującym komentarzem: może to choroba psychiczna, a może zjawisko duchowe. Rzecz w tym, że pokazują bój z diabłem jako coś realnego. Mamy typowe dowody: kobieta przemawia nieswoim głosem, zna tajemnice obecnych przy rytuale itd. Współczesne kino już widziało takie opowieści – poza pierwszym „Rytuałem” choćby „Egzorcyzmy Emily Rose”. Bo sławny „Egzorcysta” to jednak efektowna fantazja.

Dlaczego coś takiego przytrafia się akurat Emmie Schmidt? Takie tajemnice próbował objaśniać jezuita Malachi Martin i można tylko polecić jego książkę. Poza wszystkim ten film to pochwała wytrwałości w wierze oraz zachęta do uwierzenia nie tylko w miłe aspekty religii, lecz także w diabła. I to wszystko nie w duchu naiwnych protestanckich christian movies.

3 MIŁOŚCI

Wojna ateistów z faktami

Gdy jestem pytany o dowód na istnienie świata duchowego czy sensowność i skuteczność egzorcyzmów, zazwyczaj przytaczam historię Anity, która w snach nawiązała relację z demonem. Trzyletnia depresja i ciąg statystycznie nieprawdopodobnej liczby negatywnych wydarzeń w jej życiu zakończyły się po jednej, pięciominutowej modlitwie.

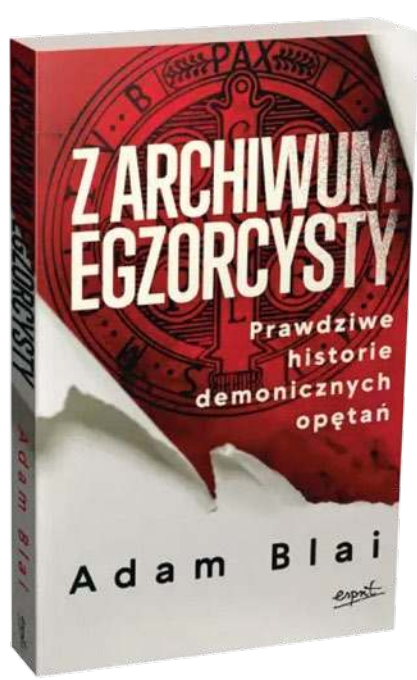
Anita została podstępnie opętana. Gdy dowiedziała się, że osoba, z którą rozmawiała w snach, nie jest jej zmarłym narzeczonym, wyrzekła się niechcianej relacji, a kapłan mocą Chrystusa wyrzucił z niej złego ducha.

Od czasów oświecenia wolnomyśliciele – od połowy XX w. szczególnie intensywnie – oświeceni naukowcy, psychiatrzy, a także psychologowie, wyznawcy monizmu materialistycznego i antyklerykałowie próbują narzucić zachodnim społeczeństwom ateizm. Jedną z bitew tej wojny światopoglądowej jest podważanie sensu egzorcyzmów.

Niewierzący w istnienie świata duchowego próbują w ten sposób walczyć z faktami. Zawsze zadziwiają mnie przy tej okazji oznaki demonstrowanego przez nich poczucia wyższości. Rozumiem, że wynika ono z niepewności poznawczej – kompleksy bardzo często są przykrywane postawą wyższościową – ale mimo wszystko nie przestaje mnie to dziwić.

Nauka a duchowość. Od czasów Swedenborga (1688–1772), a może nawet Paracelsusa (1493–1541), na pewno Mesmera (1734–1815), Rudolfa Steinera (1861–1925) aż po Junga (1875–1961), Mirceę Eliadego (1907–1986) oraz całą plejadę naukowców związanych z nurtem New Age świadomie bądź nieświadomie prezentowane przez nich – różniące się przecież stanowiska – wprowadzają pomieszanie pojęć, a ludzi Zachodu – w błąd. Łączy je gnostyckie z ducha, niezgodne z Objawieniem przeświadczenie o możliwości naukowego („naukowego") poznania rzeczywistości duchowej i o wyższości takiego poznania nad mądrością gromadzoną w Kościele katolickim.

Każda prawda jest katolicka. Nie ma ani jednego prawdziwego zdania na temat rzeczywistości, które byłoby sprzeczne z Objawieniem. Jakie to cudowne doświadczenie





ROBERT TEKIELI

Powyższa kwestia jest przedmiotem mojego wystąpienia przygotowanego na sympozjum zorganizowane przez Wydział Teologiczny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Konieczność strzeżenia zakresu kompetencji nauki i religii oraz zachowywania zasady nieingerencji *ratio* w *fides* oraz *fides* w *ratio* wykazuję na przykładzie stosunku przedstawicieli niektórych środowisk akademickich do fenomenów demonicznych opętań. Tytuł mojego wystąpienia brzmi: „Pomiędzy transem a opętaniem. Współczesna nauka kontra fakty?".

Współczesna nauka – w tym w szczególnie bolesny sposób psychiatria – przerzuca się pomiędzy odrzuceniem wiedzy kumulowanej przez instytucję kompetentną w dziedzinie duchowej – Kościół rzymskokatolicki – po pokorę, wynikającą z doświadczania rzeczywistości niedającej się pojąć językiem naukowym. Ta pierwsza, najbardziej rozpowszechniona postawa jest irracjonalna i szkodliwa. Odrzucenie uporządkowanej wiedzy na temat reguł rządzących światem duchowym owocuje bowiem cierpieniem pacjentów, którym nie są w stanie pomóc ani lekarze, ani terapeuci, ani farmakoterapia.

Oto przykład tej postawy, charakterystyczny i reprezentatywny. W omówieniu kategorii „trans i opętanie", kod ICD-10 F44.3 (Trance and Possession Disorder) z Międzynarodowej

eprasa.pl 90b70bd5a4

Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych WHO zaprezentowanym na jednej z branżowych platform internetowych czytamy: „Typowo osoba pod wpływem transu czy rzekomego opętania wykazuje zachowania odbiegające od jej zwykłej osobowości" (https://leksykon.com.pl/wyszukiwarka-icd-10/f/f44-3/).

Jakie badania przeprowadzili autorzy hasła, by uzasadnić użycie określenia „rzekome"? Z jakich przesłanek – poza własnym światopoglądem – wyszli ci XXI-wieczni lekarze? Na podstawie jakiego doświadczenia dokonują takiego nadużycia?

Ludzkość od zarania zmagała się z istnieniem bezcielesnych, złośliwych inteligencji. Chrześcijanie mówią o upadłych aniołach, muzułmanie – o dżinach lub szejtanach, żydzi o dybukach, część buddystów – o duchach zwierząt, politeiści określają złe moce różnymi mianami w zależności od plemienia.

Kościół katolicki dysponuje w tej kwestii wiedzą pewną, a potwierdzeniem jej skuteczności jest owocność dobrze przygotowanych egzorcyzmów. Istnieją przypadki, gdy przegrywają farmakoterapia, psychiatria, wszelkie szkoły terapeutyczne. Niewolę i niedolę opętanego kończy decyzja, akt woli połączony z rozkazem wypowiadanym przez kapłana w autorytecie Boga-Człowieka, Jezusa Chrystusa.

Kolejnym dowodem na obiektywizm reguł rozeznania duchowego związanych z egzorcyzmami jest brak innego dobrego wyjaśnienia trzech oznak opętania, jakimi są: rozumienie wszystkich języków i mówienie nimi (w tym posługiwanie się martwymi językami) przez osoby niewykształcone, znajomość spraw, o których osoba nie ma prawa wiedzieć, niechęć do świętości przedmiotów czy osób.

O wskazanych wyżej klasycznych oznakach opętania pisze w swej świetnej książce „Z archiwum egzorcysty" Adam Blai, amerykański demonolog i konsultant egzorcystów. „Ustalenie ich zajęło wiele wieków. Kościół był sceptyczny i próbował demaskować rzekome opętania – nie dlatego, że jego zwierzchnicy nie wierzyli w demony, ale ponieważ już wtedy wiedzieli, że podobne zjawiska często da się wytłumaczyć w inny sposób". I dalej: „Po pierwsze, upadłe anioły znają wszystkie języki – zjawisko to nie może być objawem epilepsji czy choroby psychicznej. Zaobserwowano wiele przypadków, kiedy osobie opętanej zadawano pytania w nieznanym jej języku i albo odpowiadała na nie poprawnie po angielsku albo w tym samym języku. Zdarza się też, że mówi lub pisze w obcym sobie języku sama z siebie". Jak wytłumaczą to głosiciele tezy o nieistnieniu świata duchowego?

„Po drugie, opętani często podają szczegóły z życia osób obecnych w ich otoczeniu, zwykle księży, ale też innych, jeśli uznają, że w ten sposób ich odstraszą. Wydaje się, że demony czerpią przyjemność z naigrywania się z ludzi, którzy w nie nie wierzą, poprzez wypominanie im skrywanych grzechów". I jeszcze: gdy np. w trakcie seansu spirytystycznych ustawień Berta Hellingera ktoś mówi o rzeczach ukrytych, wyjawiając prawdę o relacjach rodzinnych osoby spotkanej pierwszy raz w życiu, musi paść pytanie o źródło mocy. Kto jest nośnikiem tych informacji?

„Po trzecie, opętani są w stanie rozpoznać święte przedmioty. Nie dotkną ani nie wypiją wody, która została poświęcona w tajemnicy, a nie będą mieli problemu ze zwykłą. Potrafią podać imię świętego, którego relikwię chowamy w kieszeni, unikają siadania na krześle, jeśli na dywanie pod nim znajdzie się choć kilka ziarenek soli egzorcyzmowanej". Konsekrowana i niekonsekrowana hostia niczym materialnym się od siebie nie różnią. Opętany odróżnia jedną od drugiej. Jak?

Jeśli nie z przymusu środowiskowego czy światopoglądowego, to skąd bierze się arbitralne ograniczanie przez niektórych przedstawicieli środowisk akademickich tych fenomenów do sfery psyche? Przecież to niedorzeczne. Liczba dowodów, że mamy do czynienia z rzeczywistością duchową, jest przytłaczająca. Akceptowanie przez naukowców motywacji „poprawnościowych" to tendencja samobójcza. Walka z faktami nie ma sensu. A mimo to nauka tak często odżegnuje się dziś od swych filozoficznych, greckich korzeni. Od bycia niczym nieskrępowanym poszukiwaniem prawdy.

A my oddychamy pełną piersią. Każda prawda jest katolicka. Nie ma ani jednego prawdziwego zdania na temat rzeczywistości, które byłoby sprzeczne z Objawieniem. Jakie to cudowne doświadczenie.

Sympozjum odbędzie się w czwartek 13 listopada 2025 r. w Centrum Dialogu Jana Pawła II, pl. Frelichowskiego 1 w Toruniu. Nosi tytuł: „Satanizm, magia i okultyzm – moda czy zagrożenie? Kontekst społeczno-prawny".

Tytuł mojego wystąpienia w bloku popularno-edukacyjnym zatytułowanym „Satanizm, magia i okultyzm. Okiem rodzica i wychowawcy" brzmi: „Demon w centrum kultury Zachodu". Rozpocznie się o godz. 17.00.

Bardzo ciekawie zapowiada się inne wystąpienie w części popularyzatorskiej sympozjum: „Między baśnią a inicjacją. Jak Harry Potter wprowadza młodych w świat okultyzmu" dr Małgorzaty Więczkowskiej.

W części naukowej przewidziano natomiast następujące konferencje:

- „Typologia demonów i hezychastyczna taktyka walki z wyobrażeniami pochodzenia demonicznego – prof. dr hab. Krzysztof Leśniewski, Katedra Teologii Prawosławnej, KUL;
- „»Szatan jest dobry«. Obserwacja kontekstów (analiza danych językowych)" – prof. dr hab. Viara Maldjieva, Katedra Bałkanistyki, UMK;
- „Co może ludziom zaoferować Szatan? Kilka uwag o złudnej atrakcyjności zła" – prof. dr hab. Robert T. Ptaszek, Wydział Filozofii, KUL;
- „Szatan w Apokalipsie św. Jana" – ks. prof. dr hab. Dariusz Kotecki, dziekan Wydziału Teologicznego, UMK;
- „Szatan – przereklamowany? Zdań kilka z Katechizmu" – ks. prof. dr hab. Jan Perszon, Wydział Teologiczny, UMK.

Konferencja odbędzie się w auli głównej Centrum Dialogu Jana Pawła II – Bibliotece Diecezjalnej. Zapraszam.

eprasa.pl 90b70bd5a4



Maciej Walaszczyk

Węgier jest znów Węgrem

Znana dobrze w Polsce Hungarica powraca z nową płytą. Od pięciu lat jej wokalistą jest ponownie Balázs Sziva, znany też z aktywności w Romantikus Erőszak, innej słynnej węgierskiej grupie grającej narodowego rocka (nemzeti rock). Album zawiera pięć nowych utworów oraz nowe wersje pięciu klasyków supergrupy. Te ostatnie wykonują specjalnie zaaranżowane na tę okazję duety, będące dokumentem wspólnych występów z gościnnym udziałem ważnych postaci węgierskiej sceny rockowo-metalowej. Wśród nich znaleźli się m.in. Endre Paksi, József Kalapács, Miklós Varga, Péter Molnár „Stula", a także Egedy Piroska – budapeszteńska wiolonczelistka, która potrafi łączyć występy u boku Jennifer Lopez, Pavarottiego oraz grup grających narodowego rocka. Szczególną postacią w tym gronie jest Mihály Pohl, wokalista zespołu Lord – legendy węgierskiego hard rocka.

Wydaną płytą zespół chce oddać również hołd postaci i twórczości Zoltána Pusztaia. To autor wielu kultowych tekstów pisanych nie tylko dla Hungariki, lecz także grup, takich jak Moby Dick i Aurora. W tym roku poeta obchodzi 70. urodziny. Węgierski czytelnik wraz z płytą może nabyć także wydany z tej okazji wybór kultowych tekstów i wierszy tej emblematycznej dla węgierskiej poezji rockowej postaci. Oprócz płyty dokumentuje on dzieło życia świadczące o jego wierze, miłości ojczyzny i przenikliwej krytyce społecznej. Taka jest też „Veritas Hungarica" – bardzo zróżnicowana stylistycznie i świetnie wyprodukowana płyta. Otwiera ją tytułowa metalowa galopada, do której klip nakręcono w miejscowości Sóskút, w której krzyżują się ślady węgierskiej państwowości czasów Arpada. Album zawiera także wiele innych historycznych odniesień, w tym m.in. liryczne „Ismét magyar lett a magyar" („Kiedy Węgier znów stał się Węgrem") do wiersza Sándora Petőfiego. Klip do piosenki zrealizowano na terenie historycznego parku pamięci w Pákozd, gdzie w 1948 r. węgierska armia stoczyła wielką bitwę z Austriakami. Po upadku rewolucji w mieście Arad stracono 13 generałów dowodzących insurekcyjną armią. Jak podkreślają muzycy zespołu, ci męczennicy są do dziś odwiecznymi symbolami wolności Węgier. Poza tym znajdziemy tu także kolejny kibicowski hymn pt. „Eljött a meccs napja" („Nadszedł dzień meczowy"). W końcu Carpathian Brigade to jedna z najlepszych ekip dopingujących swoje drużyny narodowe w Europie. „Ria, ria Hungária!".



Hungarica, „Veritas Hungarica", H-Music 2025

Strażnik dziedzictwa Pink Floyd

Niewielu gitarzystów ma tak łatwo rozpoznawalne brzmienie gitary jak David Gilmour. Tak niezwykłe wyczucie frazy i melodii. Ta płyta jest kompilacją 23 nagrań zarejestrowanych podczas ubiegłorocznej trasy koncertowej. Udowadnia, że ten 78-letni mężczyzna po prostu wychodzi na scenę i daje wyjątkowy koncert wraz z gronem wyjątkowych, specjalnie dobranych muzyków. Nie tyle odtwórców i imitatorów stylu Pink Floyd, ile potrafiących wyjść poza znany wszystkim ideał, co potwierdzali naoczni świadkowie nielicznych występów, jakie dali wówczas w Rzymie, Londynie, Los Angeles i Nowym Jorku. Przede wszystkim sam Gilmour – także na żywo – dowodzi, że posiada rzadkie wyczucie smaku i kunsztu w konstruowaniu gitarowej solówki. Wydobywane z jego gitary brzmienia same w sobie są dziełem sztuki – zawsze przemyślane i inteligentne, nie są tylko i wyłącznie pochodną melodii piosenki.

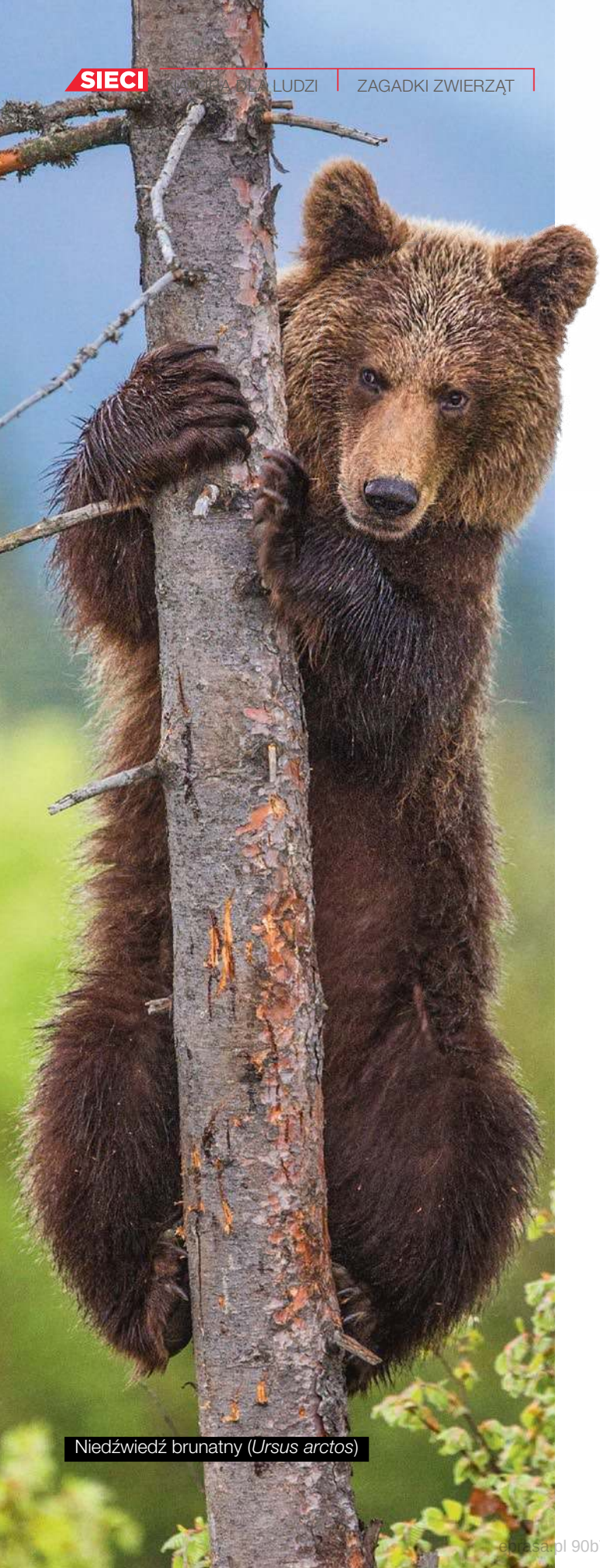
Pod względem repertuaru koncert jest skomponowany wręcz idealnie, a składają się na niego utwory z zarówno z ostatniej, solowej płyty, jak i pinkfloydowe „pomniki", głównie pochodzące z „Dark Side of The Moon" i „Division Bell". Jednak podczas występu na żywo artysta potrafi dodać do starych i nowych zawsze jakieś wartościowe szczegóły. Mamy tu m.in. chyba najlepszą wersję „Marooned" w historii, a wykonany przejmująco „Time" wraz z zawierającym swą chłodną prawdę tekstem o zbliżającej się z każdą sekundą naszego istnienia śmiercią sprawia, że jego wymowa jest jeszcze bardziej realna. Mamy też obowiązkowe „Wish You Were Here" – inne niż zazwyczaj, trochę luźniejsze dzięki improwizacji jazzowego fortepianu. No i wspomniane piosenki z ubiegłorocznej płyty „Luck and Strange", które odnalazły nowe życie na scenie już rok po premierze. Ten zbiór raczej przeciętnych utworów na tle „pomników" też jest znakomicie wykonany, okraszony znakomitymi gitarowymi solówkami. Na finał kolejna już wersja „Comfortably Numb". Najważniejszy utwór w jego życiu prezentuje się wręcz triumfalistycznie. Niemal osiemdziesięcioletni Gilmour jest w szczytowej formie jako muzyk i wykonawca, strażnik odzyskanego przez siebie dziedzictwa wielkiego zespołu, którego był niekwestionowanym liderem. To zbiorowe pożegnanie wszystkich duchów Floydów – Wrighta, Barretta, a nawet nieobecnego z wiadomych względów Watersa.



David Gilmour, „The Luck and Strange Concerts", Sony Music Entertainment 2025

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 90b70bd5a4



Niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*)

Tajemnica niedźwiedzi

Niedźwiedzie to niezwykle interesujące zwierzęta. Ciekawy jest już sam przegląd gatunków, których istnieje aż osiem. Okazuje się też, że niekoniecznie tylko ich siła i mądrość są cechami, które powinny zwracać uwagę. Niedźwiedzie mają pewną zdolność, o której zawsze wiedzieliśmy, nie zdając sobie sprawy z jej znaczenia również dla nas, ludzi



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Mowa o śnie zimowym. To oczywista cecha niedźwiedzi (chociaż nie występuje u niedźwiedzi malajskich i co dziwniejsze – sen zimowy jest rzadki u niedźwiedzi polarnych). Tak oczywista, że z jednej strony informacja o tym, że niedźwiedzie zasypiają na zimę, pojawia się w piosenkach i rymowankach dla dzieci, a z drugiej – nawet krótkie zastanowienie się nad tym zjawiskiem nasuwa pytania, które są proste tylko pozornie.

Odpowiedzi na nie jeszcze nie znamy, ale wiemy, że będą one bardzo istotne. Zwłaszcza obecnie, kiedy społeczeństwa się starzeją, a długość ludzkiego życia rośnie. Od niedawna sen niedźwiedzi jest przedmiotem pogłębionych badań – przede wszystkim medycznych, z odniesieniem do fizjologii organizmu ludzkiego.

STARY NIEDŹWIEDZ MOCNO ŚPI

Sen niedźwiedzi trwa nawet kilka miesięcy. Przez ten czas zwierzęta przebywają w gawrze. Nie jedzą, nie piją, nie oddają moczu i nie wypróżniają się. Po prostu leżą.

Mimo bardzo długiego braku aktywności wiosną niedźwiedzie budzą się w zadziwiająco dobrej formie. Owszem, są chude, trochę osłabione i tyle – żadnych dolegliwości, żadnego istotnego pogorszenia stanu zdrowia. Nie mają jednak odleżyn, problemów z krążeniem, a ich mięśnie i układ kostny

Fot. Shutterstock

ebrasa.pl 90b70bd5a4



nie ulegają degradacji. Tylko lekki spadek formy, która bardzo szybko powraca. Nawet dopiero co wybudzony niedźwiedź jest stworzeniem zdolnym do stawienia czoła wszystkim wyzwaniom, jakie mogą go czekać.

A jak wygląda człowiek, gdy dłuższy czas leży w łóżku, np. w szpitalu, w którym ma do dyspozycji całą potęgę współczesnej medycyny? Nie myślimy o tym, żeby mógł nie jeść i nie pić przez kilka miesięcy tak jak niedźwiedź, ale o najprostszej kwestii – by nie dostawał odleżyn, żeby mięśnie nie ulegały nieodwracalnemu często zanikowi, a kości nie traciły wytrzymałości, nie doznawały osteoporozy itp. Tylko jedna, prosta rzecz: żeby wstający z łóżka człowiek (albo człowiek leżący na stałe) był w normalnej, dobrej formie. Prosta, a zarazem niewiarygodnie cenna.

Oczywiście w dalszej perspektywie można myśleć o wykorzystaniu takiej wiedzy chociażby podczas organizacji lotów w kosmos. I nie chodzi tu tylko o odległe loty, jak z filmów science fiction – z kosmonautami spoczywającymi w kapsułach. Nawet kilkumiesięczny pobyt na pokładzie statku kosmicznego, kiedy astronauci dokładają wszelkich starań, żeby ich stan zdrowia się nie pogorszył, i tak ma poważne konsekwencje dla zdrowia, których można by uniknąć, dogłębnie poznając fizjologię niedźwiedzi i wdrażając rozwiązania stosowane przez ich organizmy.

Wbrew pozorom kosmos nie jest dla nas tak istotny. Zdecydowanie cenniejsza byłaby wiedza o tym, jak zaimplementować przystosowanie niedźwiedzich organizmów do codziennej opieki nad ludźmi. Np. nad pacjentami w czasie leczenia wymagającego długiego leżenia, po którym powinni wrócić do formy, ale bywa to trudne, a nawet często nie w pełni możliwe.

Albo w przypadku leżących ludzi starszych. Położenie się do łóżka, np. po złamaniu, często wiąże się z tym, że taki człowiek już nie wstaje, bo nawet po krótkim leżeniu po prostu nie jest już w stanie i nigdy nie będzie. Nie mówiąc o odleżynach, nie tylko bardzo bolesnych, lecz także grożących zakażeniem itp. W przypadku niedźwiedzi nie ma o tym mowy, mimo że warunki w gawrze są dużo bardziej surowe niż te w szpitalnym łóżku. Poznanie specyfiki niedźwiedziego snu mogłoby pomóc wielu ludziom zachować sprawność i samodzielność, a także zaoszczędzić im cierpień.

Niedźwiedzie są tu szczególnie ciekawe. To duże ssaki, tak jak my. Ich sen nie jest tak głęboki, jak chociażby hibernacja nietoperzy, podczas której tak bardzo obniżają one temperaturę, że niekiedy bardziej przypomina to zimowanie organizmów zmiennocieplnych, np. płazów. Badania nietoperzy również są cenne, ale nie dostarczają wiedzy mającej aż tak bezpośrednie przełożenie na kondycję ludzi.

Sen niedźwiedzi zdecydowanie bardziej przypomina sen i spoczynek ludzki. Mówiąc w uproszczeniu – jesteśmy bardziej jak niedźwiedzie niż jak nietoperze.

Swoją drogą jest to zjawisko intrygujące i domagające się badania z czystej ciekawości przyrodniczej: jak wielki niedźwiedź jest w stanie przeżyć kilka miesięcy, nie załatwiając potrzeb fizjologicznych, nie tylko nie jedząc, lecz także nie pijąc, a wszystko, co potrzebne do życia, czerpie z zapasów tłuszczu? Tak rzeczywiście jest, ale jak to dokładnie wygląda? Powinniśmy to poznać.

OSIEM GATUNKÓW

Rodzina niedźwiedziowatych obejmuje aż osiem gatunków. Każdy z nich ma wiele wyróżniających, unikalnych cech. Popatrzmy na krótki przegląd systematyczny – jako na ciekawostkę.

W Polsce, a także w dużej części Azji i Ameryki Północnej, żyje niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*). Jest najbardziej zróżnicowanym pod względem wyróżnianych podgatunków. Oprócz naszych niedźwiedzi karpackich można wymienić np. bardzo rzadkie niedźwiedzie syryjskie o jasnym futrze

eprasa.pl 90b70bd5a4

czy wymarłe w XIX w. niedźwiedzie berberyjskie z północnej Afryki – jedyne niedźwiedzie na tym kontynencie. Do niedźwiedzi brunatnych zalicza się m.in. także północnoamerykański grizzly (*Ursus arctos horribilis*, czyli „straszliwy"), a także gigantyczny niedźwiedź kamczacki i niedźwiedź z amerykańskiego archipelagu Kodiak, który dorasta do 700 kg masy ciała, a kiedy staje na tylnych łapach, mierzy 3 m wysokości.

Większy od niego jest niedźwiedź polarny (*Ursus maritimus*), występujący w pasie okołobiegunowym na półkuli północnej. Może ważyć nawet 1 t i jest największym drapieżnikiem... – tu pojawia się problem z klasyfikacją: lądowym czy morskim. Zgodnie ze swoją nazwą *maritimus* niedźwiedź polarny spędza mnóstwo czasu w północnych morzach, przepływając jednorazowo dziesiątki kilometrów, nurkując i polując na foki. Nie zasypia na zimę (zdarza się to samicom z młodymi, ale nie jest regułą). Czy kiedyś się dowiemy, jakie przygody przeżywa i czego jest świadkiem wielki biały drapieżnik, kiedy przez kilka miesięcy zimy samotnie i w ciemności przemierza arktyczne pustkowia?

W Ameryce Północnej liczny jest także niedźwiedź czarny, czyli baribal (*Ursus americanus*). Całkiem często ataki na ludzi są związane z tym właśnie gatunkiem, pojawiającym się w miejscach odwiedzanych przez turystów i nierozsądnie karmionym. Nie jest największym ani najsilniejszym spośród niedźwiedzi, ale wystarczająco groźnym dla człowieka.

Trzema gatunkami azjatyckimi, żyjącymi na tym kontynencie oprócz niedźwiedzi brunatnych i polarnych, są niedźwiedź himalajski (*Ursus thibetanus*), niedźwiedź malajski (*Helarctos malayanus*) i wargacz, czyli niedźwiedź leniwy (*Melurus ursinus*). Pierwszy z nich żyje na stokach Himalajów, a dwa pozostałe w ciepłej, a nawet tropikalnej części Azji. Każdy z nich ma na piersi jasny znak półksiężyca. Niedźwiedź malajski wyróżnia się półksiężycem żółtawym, a do tego krótkim, gładkim futrem – z tego powodu wygląda trochę jak niedźwiedź, a trochę jak małpa.

> Poznanie specyfiki niedźwiedziego snu mogłoby pomóc wielu ludziom zachowywać sprawność i samodzielność, a także zaoszczędzić im cierpień

PANDA I ANDONIEDŹWIEDŹ

Do niedźwiedzi należy także panda wielka (*Ailuropoda melanoleuca*; panda mała, kiedyś zaliczana do niedźwiedziowatych, obecnie jest klasyfikowana do rodziny pandkowatych). Przez długi czas była nieznana Europejczykom. Uważano ją za zwierzę mityczne aż do drugiej połowy XIX w., kiedy jej istnienie udowodnił francuski misjonarz, o. Dawid.

Ostatnim z niedźwiedzi jest andoniedźwiedź okularowy (*Tremarctos ornatus*). To jedyny niedźwiedź południowoamerykański. Jest rzadki i skryty jak duch. Nie wiadomo dokładnie, ile andoniedźwiedzi żyje w Andach, bo obserwacje są rzadkie, a wiedza na ich temat – skąpa. Jest on spokrewniony z wymarłym pod koniec plejstocenu niedźwiedziem krótkopyskim, największym z żyjących kiedykolwiek niedźwiedzi – wysokości konia, lecz znacznie cięższym.

Andoniedźwiedź okularowy, który nazwę zawdzięcza jasnemu wzorowi na pysku i wokół oczu, bardzo dobrze wspina się na drzewa, niekiedy buduje na nich nawet gniazda, w których odpoczywa i śpi.



Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 90b70bd5a4



MOSTOWIAKOWIE Z SERIALU „M JAK MIŁOŚĆ”

Jubileuszowa szarlotka

„W Grabinie jest słodko, świat pachnie szarlotką” – można by sparafrazować słowa dziecięcej piosenki. W specjalnym odcinku serialu „M jak miłość” – świętującego właśnie 25-lecie – nie mogło zabraknąć ciasta z jabłkami. W końcu w ekranowej Grabinie te owoce są obecne na każdym kroku. I w otaczającym rodzinne gniazdo Mostowiaków sadzie, i w kuchni.

Oprócz jabłecznika kulinarne ciepło od lat dopełniają jeszcze „kultowe” pierogi babci Basi i kruche ciasteczka pani Zosi.

Tych drugich – w specjalnej, udramatyzowanej roli – nie zabrakło w jubileuszowych nagraniach, doprawionych też wspomnieniami i archiwalnymi kadrami (emisja miała miejsce równo ćwierć wieku od premiery telenoweli, czyli 4 listopada, jednak „25 lat M jak miłość. Nasz srebrny jubileusz” można nadal oglądać na VOD).

Specjalna edycja – choć wokół już późna jesień – ściągnęła bohaterów do Grabiny w pięknie zielony czas początku lata. W rodzinnej miejscowości spotkali się wciąż obecni w telenoweli aktorzy z nestorką rodu na czele, graną przez Teresę Lipowską. Zostali też przywołani dawni bohaterowie oraz ich odtwórcy, m.in. niezapomniany Witold Pyrkosz (ekranowy Lucjan), przywrócony do nowych nagrań dzięki sztucznej inteligencji.

W retrospekcjach i wspomnieniach powrócili również: Dominika Ostałowska, Kacper Kuszewski, Joanna Koroniewska, Krystian Domagała, Anna Mucha, Agnieszka Perepeczko, Steffen Möller, Iga Krefft, Marcjanna Lelek, Gabriela Raczyńska czy Hanna Mikuć. A przed kamerami w jubileuszowej odsłonie stanęli: Teresa Lipowska, Małgorzata Pieńkowska, Katarzyna Cichopek, Marcin Mroczek, Olga Cybińska, Aleksander Bożyk, Dominika Kachlik, Rafał Mroczek, Małgorzata Rożniatowska, Krzysztof Tyniec, Dominika Suchecka, Wiktoria Basik, Robert Moskwa, Patryk Szwichtenberg, Paweł Janyst, Mark Myronenko.

Twórcy serialu ani jego aktorzy do tej pory nie zdradzili receptury na szarlotkę z Grabiny (podany poniżej przepis zaczerpnięty został z zasobów porannego programu Dwójki, programu „Pytania na Śniadanie”), „upiekli” za to dla fanów inny okolicznościowy „deser”. To 25 „ciasteczek”, czyli dwuminutowe odcinki, w których ulubione pary z serialu pojawią się w zabawnych, codziennych sytuacjach. Miniserial „Życióweczka z M” zadebiutuje 10 listopada na oficjalnych profilach TVP oraz „M jak miłość” na TikToku.

Jolanta Gajda-Zadworna



Szarlotka

Składniki: **Ciasto:** mąka pszenna – 400 g, mąka ziemniaczana – 50 g, cukier – ok. 100 g, jaja (żółtka) – 4 szt., masło –150 g, śmietana 18 proc. – 2 łyżki. **Reszta:** jabłka szara reneta – 6–7 szt., jaja (białka) – 4 szt., cukier – 4 łyżki, mąka ziemniaczana – 1 łyżka, masło – 1 łyżka, bułka tarta – trochę, cynamon.

Wykonanie: Mąki wymieszaj z cukrem, dodaj żółtka z jaj i miękkie masło, szybko wyrób ciasto i zawiń w folię, a potem włóż do lodówki na ok. godzinę. Jabłka zetrzyj na grubych oczkach i odciśnij. Wymieszaj z odrobiną cynamonu. Ubij pianę z białek z cukrem i wymieszaj z mąką ziemniaczaną. Jedną trzecią piany wymieszaj z jabłkami. Ciasto rozwałkuj albo rozłóż na blasze wyłożonej papierem do pieczenia, pamiętaj, by zrobić boczki. Wierzch posmaruj odrobiną masła i posyp bułką tartą. Nałóż jabłka, a na wierzchu rozłóż resztę piany. Piecz 40–45 min w 180 st. Celsjusza.

eprasa.pl 90b70bd5a4



SŁODKO-SŁONY

Naturalna słodycz

ANNA MONICKA

W „dawnych” czasach, czyli gdy byłam dzieckiem, w spiżarniach królowały kompoty. Robiło się je z rabarbaru, truskawek, czereśni, wiśni, agrestu, porzeczek, jabłek, grusze, najrozmaitszych śliwek. Na rodzinnych imprezach panie dyskutowały o tym, ile udało im się zrobić zimowych przetworów, nalewek, a panowie chwalili się taaakimi rybami, które im się zerwały z haczyków (te mniejsze okazy mamy robiły na zimę w occie). Pamiętam nasze powroty z wakacji. Maluch miał przyczepione do dachu bagaże, ponton, wiosła i wędki, a w środku grzechotały słoje i słoiki. Ja zajmowałam mniej więcej jedną ósmą siedzenia z tyłu i jeszcze trzymałam na kolanach psa.

Potem te nasze trofea stały równymi rzędami na kilku poziomach. Najwięcej było kiszonych ogórków, następnie grzybki, bateria owoców w różnej postaci. Tata specjalnie skonstruował półkę na słoiki, wąską i wysoką, żeby nie zajmowała dużo miejsca, ale można było na niej umieścić wiele rzeczy. Pamiętam, jak kiedyś jakiś obwieś włamał się do naszej piwnicy, licząc na to, że ukradnie opony. Zaplątał się jednak w wędkarskich skarbach ojca, a po przekopaniu naszego blokowego sezamu uznał, że na pocieszenie zje słoik korniszonów. Zabrał sobie wek z prawdziwkami, a na koniec popił kompotem wiśniowym (moim ulubionym) i zostawił karteczkę z napisem: „Dziękuję”.

Przypomniałam sobie tę historię, bo w tym roku na nowo odkryliśmy kompoty. Mąż naprodukował kilkanaście litrów nalewek z malin, wiśni, pigwy, aronii i derenia, a ponieważ szkoda nam było pozbywać się nasiąkniętych alkoholem owoców, popaczkowaliśmy je, zamroziliśmy i zaczęliśmy dodawać do gotujących się owoców. Zapach w domu jest cudowny, a napary tak pyszne, że od kilku tygodni właściwie zapomnieliśmy o herbacie, kawie czy sokach z kartonów, które nie umywają się do domowych napojów.

Nasze kompoty długo dochodzą, bo po kilkudziesięciu minutach podgrzewania zostawiamy je, żeby naciągnęły kilka godzin pod przykrywką. Receptury są dziełem inwencji osoby, która akurat dorwie się do garnka. Ale zawsze mają w środku jabłka, śliwki, po garści aronii i domowych winogron i zamrożoną kostkę z owocami z nalewki oraz laskę cynamonu, kilka goździków i strączek kardamonu. Nie dodajemy do nich cukru, bo i tak mają mnóstwo naturalnej słodyczy. Na zakończenie można dodać plasterek świeżej pigwy, cytryny, limonki, odrobinę miodu. Kiedy chorowaliśmy, przetrwaliśmy dzięki naszym kompotom, bo doskonale rozgrzewają, nawadniają i odżywiają. Pamiętajcie, kompoty to zdrowie.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Znikające wstężyki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Będąc ostatnio na cmentarzu, małym, wiejskim, w ramach porządków przez świętem Wszystkich Świętych, poczyniłem zastanawiającą obserwację.

Po pierwsze, jest coraz mniej drzew – obecnie można je policzyć na palcach jednej ręki. Krzewów również jest coraz mniej i są coraz bardziej wystrzyżone. Przybywa za to kostki i murowanych grobów. Po drugie, jakiś czas temu na cmentarzu żyła spora populacja jaszczurek zwinek. Wraz z ubywającą zielenią i zmniejszającą się liczbą bezkręgowców stały się one rzadkie i obecnie raz na jakiś czas widzę jedną czy dwie, ale nie podczas każdej wizyty.

Trzy groby, którymi się zajmowałem, są nieduże, z obmurówką. Wewnątrz niej jest ziemia, w której rosną rośliny. Ostatnio odkryłem, że te trzy groby są jedną z ostatnich oaz ślimaków wstężyków.

W Polsce żyją dwa gatunki wstężyków: ogrodowy (*Cepaea hortensis*) i gajowy (*Cepaea nemoralis*) – to te nieduże ślimaki z żółtą, często paskowaną muszlą. Do niedawna na cmentarzu było ich wiele, niekiedy trzeba było uważać, żeby ich nie nadepnąć. Obecnie, kiedy nie ma zieleni, wstężyków jest wyraźnie mniej. Być może za jakiś czas znikną zupełnie. Dlaczego to niepokojące?

Pokazuje to, jak z gatunków pospolitych łatwo można zrobić gatunki rzadkie, a w perspektywie – wyeliminować je (nie mówiąc o tych rzadszych, jak jaszczurki). Cmentarz to tylko małe laboratorium. Widać tu, jak przyroda reaguje na nasze działania i jak łatwo jest ograniczyć bioróżnorodność.

A bioróżnorodność to nie tylko ciekawostka (chociaż również), podobnie jak cecha stworzenia, za które jesteśmy odpowiedzialni. Bioróżnorodność to cecha świata konieczna do przetrwania ludzi. Wszystkie rośliny uprawne wywodzą się z różnorodności roślin dzikich. I nadal potrzebują swoich dzikich przodków, bo potrzebują wzbogacanej bazy genowej – bez tego nie będziemy mieć upraw. Do funkcjonowania rolnictwa potrzebne są też zwierzęta, i to nie tylko pszczoły – wstężyki również mają swoją rolę w ekosystemie, a przez to w naszej gospodarce. Potrzebujemy ich.

Przeraziła mnie też liczba plastikowych kwiatów, których części poniewierały się po całej okolicy. Podobnie jak zniczy, będących kombinacją plastiku i trudnej do określenia substancji, którą każdego roku beztrosko spalamy w niezliczonych ilościach.

eprasa.pl 90b70bd5a4

OGNIEM NA WPROST

Gościu, ty nie strasz!



Andrzej Rafał Potocki

Donald Trump pogonił Władimira Putina i rozmów w Budapeszcie nie będzie. Powiedział krótko i jasno, że trzeba poczekać, aż Kreml będzie gotowy do negocjacji, a nie stawiał warunki, które *de facto* oznaczałyby kapitulację Ukrainy i Zachodu. W ten sposób prezydent USA postawił Moskwę w roli petenta, który zabiega o spotkanie, a nie – jak do tej pory – Waszyngton i Kijów musiały spełniać żądania Ruska. To zupełnie zmienia pozycję negocjacyjną Moskwy. Na podrzędną. Kreml to doskonale zrozumiał i spróbował zagrać va banque, jak pies Pawłowa „dzwonek-ślina", wyciągając lagę do walenia przeciwnika po głowie, ogłaszając udaną próbę rakiety Buriewiestnik (Albatros lub Zwiastun Burzy – nawiązanie do wiersza Maksyma Gorkiego).

Ten pocisk – jeśli nie jest kolejnym propagandowym picem na wodę – ma być technologicznym cudem, czyli międzykontynentalną rakietą manewrującą z napędem jądrowym. Może lecieć daleko, zmieniając trasę lotu, co utrudnia namierzenie i zestrzelenie, i zabiera na pokład głowicę jądrową. Putin z dumą ogłosił, że rakieta przebywała w powietrzu 15 godzin i przeleciała 14 tys. km! Według eksperta płk. rez. Macieja Korowaja to technologiczne cudo jest jednocześnie... porażką! Dlaczego? Słabości tkwią w tym, co jest jej siłą. Po pierwsze – silnik jądrowy. Owszem, rakieta jest manewrująca. Może zatem podlecieć skrycie, bo jest trudna do śledzenia... No nie. Silnik jądrowy zostawia ślad, widoczny dla wszystkich systemów monitorowania skażeń, co w zasadzie wyklucza możliwość ukrycia pocisku. Manewrowanie niczego nie zmienia. W dodatku ten sam silnik emitujący promieniowanie jądrowe daje piękne skażenie w miejscu startu (szczególnie że w przypadku Kacapii możemy zapomnieć o szczelności systemu napędowego). Nie dość, że rejony magazynowania i startu stają się niezdatne do życia, to jeszcze są doskonale widoczne dla systemów monitorowania skażeń. Co więcej, dzięki temu można śledzić trasy transportu pocisków i... zniszczyć je, zanim zostaną odpalone. Czyli skutki odczuje Moskwa, a nie potencjalny cel. Na dokładkę rakieta leci z prędkością około poddźwiękową (1,3 tys. km/h), więc w czasie jej lotu z Federacji do USA Dowództwo Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej (NORAD) ma mnóstwo czasu, żeby ją wykryć, przygotowując bezpieczne zniszczenie. Całe 15 godzin! Prezydent Trump skomentował to w iście westernowym stylu: „Gościu, ty pomyśl, jak zakończyć wojnę, która miała trwać tydzień, a trwa już prawie cztery lata. Czym ty nas straszysz? Mamy atomowy okręt podwodny koło wybrzeży Rosji. Uderzymy cię, zanim twoja rakieta doleci do Stanów".

W odpowiedzi Putin ogłosił udaną próbę napędzanej jądrowo torpedy, a w zasadzie drona podwodnego Posejdon. To ustrojstwo ma mieć masę ponad 100 t, poruszać się przy dnie oceanu i wykorzystywać technologię stealth, co ma ją czynić niewykrywalną dla radarów. Na papierze wygląda to niesamowicie. Problem w konkretnych rozwiązaniach technicznych, a szczególnie w ich ostatecznym wykonaniu. Znając rosyjską kulturę techniczną – a raczej jej brak – nawet jeśli taki pocisk istnieje (Putin opowiadał o nim już w 2018 r.), to podstawowym problemem będzie odporność jego poszycia na ciśnienie pod powierzchnią oceanu, szczególnie przy dnie. Może się okazać, że Rów Mariański stanie się największym śmietnikiem atomowym na Ziemi. Ech! Tiechnika, job twoju mać.

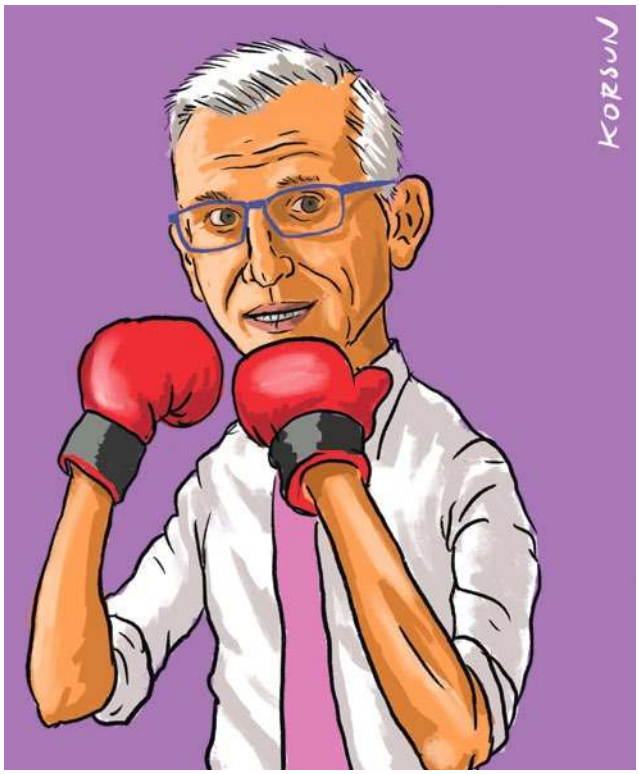
Pod Pokrowskiem i w samym mieście gorąco. Z jednej strony siły I Korpusu „Azow" kontynuują likwidację wyłomu na północ od Myrnogrodu. Spadochroniarze z 82. Brygady uwolnili z rąk moskiewskiego okupanta wieś Sucheckie. Większość bojców użyźniła czarnoziem, kilku się poddało. Z drugiej strony Moskale starają się odblokować ostatnie kotły. Siły Kremla wdarły się do Myrnogrodu i dość swobodnie zaczęły hasać po Pokrowsku, zagrażając Ukraińcom okrążeniem (kremlowska propaganda trąbi o kotle, do którego zapraszają dziennikarzy, a Ukraińcy zaprzeczają). W rejonie Pokrowska działa ok. 27 tys. bojców, a główne odwody ukraińskie były dotąd zajęte likwidowaniem wyłomu na północ od Myrnogrodu. Inna rzecz, że kiedy te siły zostaną uwolnione, to sytuacja w rejonie może ulec gwałtownej zmianie. 31 października ok. godz. 21.00 naszego czasu w zachodniej części Pokrowska, na północ od toru kolejowego, zaczęła się jakaś operacja sił specjalnych HUR. Szczegółów oraz efektów jeszcze nie znamy, ale jest to kwestią czasu. Walka trwa!

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 90b70bd5a4

***Michał Korsun prezentuje:* Senator Krzysztof Kwiatkowski – bokser Pierwszej Damy**



Wycinki z przeszłości

Polskie produkcje rzadko są doceniane za granicą, ale nie zawsze tak było. W 1964 r. Polacy odnieśli niespodziewany sukces na Kubie, o czym informował „Dziennik Łódzki". W rankingu dziennika „Revolución" aż trzy polskie filmy trafiły do pierwszej dziesiątki: „Popiół i diament", „Samson" oraz „Matka Joanna od Aniołów". Dodatkowo – „mimo silnej konkurencji" – Lucynę Winnicką uznano za najlepszą aktorkę roku, a Jerzego Wójcika – za najlepszego operatora.

(sp)


DZIENNIK ŁÓDZKI

Fale eteru eliminują druty telefoniczne

Przemówienie H. Wilsona

Inauguracja VII FFF

Ponad 30 min. zł strat

Zobowiązania pracowników budowlanego konwentu

Wysoka ocena polskich filmów przez krytyków kubańskich

Na liście 10 najlepszych filmów roku, proponowanej tradycyjnie przy końcu grudnia przez dział krytyki filmowej kubańskiego dziennika „Revolucion", znalazł się tylko jeden film włoski („Słodkie życie" – czwarte miejsce) i aż trzy dzieła polskich reżyserów: „Popiół i diament" – drugie miejsce, „Samson" – ósme i „Matka Joanna od Aniołów" – dziesiąte. Za najlepszy film roku na ekranach kraju krytycy „Revolucion" uznali dzieło Bunuela „Anioł zagłady".

Mimo silnej konkurencji, najlepszą aktorką filmową roku wybrana została Lucyna Winnicka w „Matce Joannie". Wśród operatorów, jako jedynego, „Revolucion" wymienia Jerzego Wójcika.

Z WOLEJA

Jeden dzień, trzech piłkarzy, trzy planety



Ryszard Czarnecki

Co łączy futbolistów tak różnych, gdy chodzi o sportowe życiorysy, jak Andrzej Iwan, Igor Sypniewski i Ludovic Obraniak? Oczywiście poza najważniejszym: grą dla Biało-Czerwonych? I jeszcze poza tym, że cała trójka grała z przodu, w pomocy czy napadzie?

Otóż w dniu, w którym trafi do państwa ten numer „Sieci", czyli 10 listopada, obchodzili/obchodzą urodziny. Tak – tego dnia w trzech różnych latach futbolowa Rzeczpospolita, nawet tego nie przypuszczając, wzbogaciła się o trzy wielkie talenty. Ich sportowe CV mają jednak wiele wspólnego.

Sypniewski miał wielkie papiery na granie, ale jeszcze większą słabość do alkoholu. Pod koniec krótkiego, bo 48-letniego życia, mocno skróconego przez nałóg, więcej siedział w więzieniu, niż widziano go na meczach jego ukochanego ŁKS. Skądinąd raz go aresztowano, jak nietrzeźwy wraz z innymi kibicami klubu grającego tradycyjnie w biało-czerwonych strojach zaatakował fanów konkurencyjnej drużyny.

Monsieur Obraniak urodził się i wychował we Francji, ale przez pięć lat grał dla Polski, m.in. na zorganizowanych w naszym kraju (razem z naszym wschodnim sąsiadem) EURO 2012. Do dziś od czasu do czasu udziela się w polskich mediach, ale ostatnio wystąpił w reprezentacji... Francji w piłce plażowej. Trzeba trafu, że na mistrzostwach świata w tej odmianie „prawdziwego" futbolu zagrał przeciwko (!) nam. I przegrał, Bogu dzięki.

Andrzej Iwan, legenda Wisły Kraków, setki razy słyszał charakterystyczny doping na stadionie przy ulicy imienia wielkiego gracza Henryka Reymana, wyrażany najprostszym wezwaniem: „Jazda, jazda, jazda Biała Gwiazda!". Też już nie żyje, ale zostawił następcę: jego syn Bartosz również grał na poziomie Ekstraklasy.

Amerykanie mieli swój słynny film Olivera Stone'a „Urodzony 4 lipca" z Tomem Cruisem w roli głównej (od jego premiery minęło już 36 lat, ale „się pamięta"). Czy Polacy nakręcą triadę o trzech polskich piłkarskich muszkieterach, tak różnych od siebie, jakby pochodzili z innych planet? Byłby – chociażby ze względu na Sypniewskiego – dozwolony od lat 18. Rzadko bowiem sportowiec, nie tylko polski, siedzi w więzieniu za znęcanie się nad matką. Choć akurat to było również udziałem bardzo znanego w Polsce polityka. Piłkarza totalnie za to potępiono (i słusznie). Polityka jakoś rozgrzeszono i sprawę zamieciono pod dywan.

eprasa.pl 90b70bd5a4



OD A DO ZYBERTOWICZ

Jest droga

Jak to możliwe, że tak rozwinięta cywilizacja, w której żyjemy, pozbawiła dzieci beztroskiego dzieciństwa?

Ilu młodych ludzi po obsesyjnym scrollowaniu smartfonów, liczeniu lajków albo – co gorsza – przytłaczających sygnałach odrzucenia czy upokorzenia czuje podświadomie, że potrzebuje czegoś w rodzaju zimnego prysznica dla duszy? Czegoś, co radykalnie oczyści? Tylko co mogłoby być tym prysznicem?

BEZDROŻA FILOZOFICZNE

Duże wrażenie zrobiło na mnie kazanie, które usłyszałam w dniu Wszystkich Świętych w wiejskim kościele w Zbicznie w województwie kujawsko-pomorskim. Ksiądz w prostych słowach przypomniał o wezwaniu do świętości. Przyznał, że to trudne, także dla niego. Ale czyż mamy ważniejsze wyzwanie?

Rozpoczął mniej więcej tak (cytuję z pamięci): „We Francji było dwoje ludzi. On nazywał się Jacques Maritain, ona miała na imię Raïssa. Spotkali się jako studenci na Sorbonie. Ulegając dekadenckiemu nastrojowi ówczesnej kultury, uznali, że życie jest tak okropne, że chyba nie ma sensu. Dali sobie rok na poszukiwania. Postanowili, że jeśli nie odnajdą w tym czasie głębszego sensu istnienia, popełnią samobójstwo".

I spotkali Henriego Bergsona, wybitnego francuskiego filozofa (Nobel z literatury za 1927 r.), który mówił o duchowej naturze człowieka. Tak rozpoczęła się ich droga ku katolicyzmowi.

Jacques Maritain stał się jednym z najważniejszych filozofów chrześcijańskich XX w., a jego koncepcja godności osoby ludzkiej wpłynęła na kształt Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ z 1948 r. Raïssa Umancewa, mistyczka i poetka, była jego duchową towarzyszką. Jako małżeństwo wspólnie artykułowali to, co w życiu najistotniejsze.

HIPERDOJRZEWANIE

Nieoczekiwanie kazanie domknęło emocje, z którymi zmagałam się po obejrzeniu brytyjskiego miniserialu „Dojrzewanie" (tytuł oryg. „Adolescence", Netflix 2025).

Kanwą opowieści jest przypadek 13-letniego Jamiego, który za pomocą noża brutalnie zamordował koleżankę z klasy. Chcąc zrozumieć, dlaczego tak się stało, prowadzący śledztwo policjant uzyskuje wgląd w młodzieżową subkulturę tzw. inceli (ang. *involuntary celibates* – osoby, które wbrew ich woli żyją w celibacie). Chodzi o młodych ludzi, którzy deklarują, że nie są w stanie nawiązać relacji romantycznych lub seksualnych, mimo że tego pragną. Są bowiem brutalnie odrzucani (także przez *social media*, na oczach rówieśników) przez osoby, którymi się interesują.

Tak, trzynastolatek jest incelem!

Jak to możliwe, że tak rozwinięta cywilizacja, w której żyjemy, pozbawiła dzieci beztroskiego dzieciństwa? Dlaczego dziś dorastanie odbywa się tak boleśnie, w tak brutalnej formie, typowej dla czasów wojny albo zagłady?

Gdzie nasze dzieci mają spotkać swojego Henriego Bergsona?

CYBERBEZDROŻA

Rodzina serialowego bohatera nie jest patologiczna. W jakimś sensie jest zupełnie normalna. Typowa dla klasy średniej społeczeństwa brytyjskiego. Ludzie prości, ale przyzwoici i pracowici. Chcą godnie żyć.

Niestety są jeszcze *social media* – cyfrowy wir porywający dzieci, czego rodzice chyba za bardzo nie widzą. A nawet jeśli, to są wobec tego bezradni. Szkoła też. Niby wszystko działa – instytucje, system sprawiedliwości, profesjonalna pomoc – a jednak czujemy, że nad *złem* nikt nie panuje.

Zło, które odsłania serial, nie jest tylko aktem przemocy. To proces, który rozgrywa się w psychice. Narasta w beznadziei, poczuciu utraty kontroli nad życiem w zwyrodniałym cyfrowym świecie. W telefonach dzieci roi się od przemocy, pogardy, seksualizacji.

KTO POKAŻE DROGĘ?

Serial zdaje się pytać – czy społeczeństwo potrafi jeszcze chronić dzieci? Czy potrafimy rozpoznać moment, w którym zaczyna się duchowa pustka?

W świecie Jamiego nie ma Bergsona ani Maritainów, nikogo, kto mógłby nakierować na głębszy sens życia. Gdy jako promyk światła jawi się więzienna psycholog, szybko się okazuje, że sama jest pogubiona. Gdy rozmawia z nastolatkiem, jakby był dorosłym mężczyzną – nieczule – dziecko się niepokoi: czy wolno pani zadawać takie pytania?

Jaka terapia, jaka droga jest w stanie wyprowadzić z labiryntu algorytmów, fake newsów, pornografii i piekła hejtu?

Droga do świętości. Chrystus. Innej nie widać.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 21/1025/F

eprasa.pl 90b70bd5a4

wPolsce 24

Minęła 20:05

Rozliczamy polityków i piętnujemy absurdy
– od poniedziałku do soboty o 20:05



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52 telewizja naziemna
909 921, 196 polsat box
62 CANAL+
192 netia
32 orange
825 vectra
65 339, 121 PLAY
459 inea
631 TOYA
43 evio

eprasa.pl 90b[illegible]d5a4

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Narodowy Bank Polski posiada już

520 ton złota

o wartości ponad 200 mld zł!



Dzięki swojej niezależności Narodowy Bank Polski konsekwentnie realizuje strategię zarządzania rezerwami i zwiększania zasobów złota, budując bezpieczeństwo finansowe kraju. W tych trudnych czasach globalnych zawirowań i poszukiwania nowego porządku finansowego złoto jest jedyną pewną lokatą rezerw państwowych.

prof. Adam Glapiński,
Prezes NBP



Wysokie rezerwy złota przyczyniają się do stabilności gospodarki Polski. Zakupione przez NBP złoto wzmacnia wiarygodność ekonomiczną i finansową kraju. Własne rezerwy złota to inwestycja w przyszłość i bezpieczeństwo naszej ojczyzny.

Zarząd Narodowego Banku Polskiego podjął decyzję o strategicznym zwiększeniu udziału złota do 30 proc. oficjalnych aktywów rezerwowych. Skala i tempo zakupów będą zależały od uwarunkowań rynkowych.

Dowiedz się więcej z darmowych publikacji Narodowego Banku Polskiego





eprasa.pl/90b70bd5e4